Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XIII. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. KOHNA.

Cena 1 złr. 80 ct.

dla wszystkich prenumeratorów z wyjątkiem prenumeratorów stale w Samborze i Przemyślu zamieszkałych.

SAMBOR.
CZCIONKAMI SCHWARZA i TROJANA.
1889—1890.

Nr. 39.

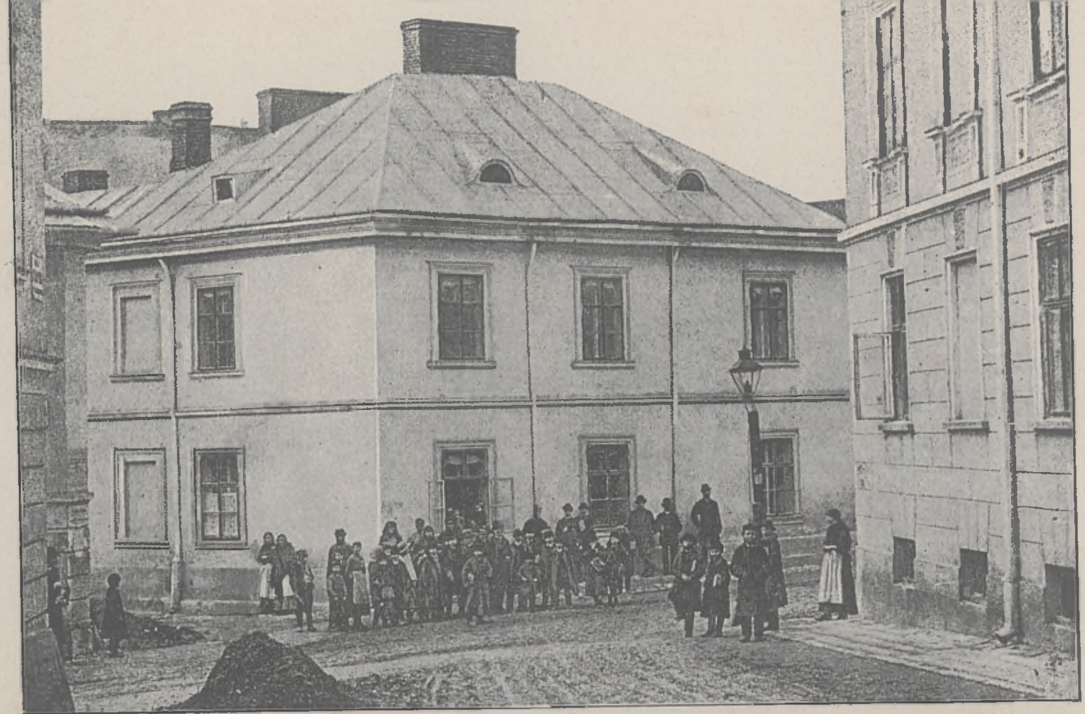
Bilet prenumeracyjny

dla W. Pana Dra Karola Estreichera, dyrektora biblioteki Jagiellońskiej

w Krakowie,

który obok przedpłaty na „Rocznik Samborski,“ uiścił trzecią roczną ratę w kwocie 20 ct. na dzieło: „Polska w świetle niemieckiej poezji,“ wypłacić się mające w pięciu ratach rocznych.

G. Kohn.



Widok kamienicy jednopiętrowej we Lwowie, w której otruty został rabin ABRAHAM KOHN.
(Według fotografii J. Hennera we Lwowie.)

Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

XIII. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. KOHNA.

SAMBOR.
Z DRUKARNI SCHWARZA i TROJANA.
1889—1890.



Polityczna działalność

ABRAHAMA KOHNA

i stosunek jego do stronnictw.

ARTYKUŁ UZUPEŁNIAJĄCY,

skreślony

przez

G. Kohna.

(Z RYCINĄ TYTUŁOWĄ.)

Każda praca, która nie chybiła celu, cieszy autora, powinna go przynajmniej cieszyć. Tak jak go martwi niepowodzenie literackie, tak też cieszyć go powinno uznanie publiczności, objawiające się bądźto w formie ustnych, bądź pisemnych krytyk. Inaczej ma się rzecz tam, gdzie się autorowi rozchodzi o badania historyczne, a najprzychylniejsze oceny publiczności nie mogą jeszcze całkowicie zadowolić

autora, skoro sam widzi i poznaje pewne niedokładności, pewne braki w swojej pracy.

Im odleglejszy wiek, tem trudniej o wiarygodne źródła; im większego pośpiechu wymaga praca literacka, tem bardziej autor jej narażony na niedokładności i pomyłki; im w bliższych stosunkach pokrewieństwa lub przyjaźni pozostaje z przedmiotem historycznych swoich badań, tem bardziej naraża się na zarzut stronniczości. A przecież nie możemy i nie powinniśmy nie uwzględniać szczegółu, że gdyby nie krewni, mający pod ręką wszystkie ważniejsze daty, odnośne do życia sławnego przodka, — że gdyby nie ci krewni pisali o nim, lecz pracę tę pozostawiali obcym, — to wtedy ci obcy, nie mając z natury rzeczy historycznego i właściwego poglądu na dzieje życia nieboszczyka, łatwo przedstawiać by je mogli w zupełnie fałszywem świetle.

Nie jest jednak wykluczona także możebność, że brat pisząc o bracie, syn o ojcu, pracę swoją mimowoli oszpeca pomyłkami, że poniża jej wartość literacką niedokładnością. Dzieje się to, jeśli praca na poczekaniu została wykonaną; ale dzieje się także, jeśli autor w dobrej wierze polegając na błędnych informacjach trzecich osób, takowe powtarza, albo skończywszy i wydawszy już pracę, szczegóły ważne, w ścisłym związku z nią pozostające, za późno otrzymuje, a tem samem zmuszonym jest, szczegóły te dopiero później a to w osobnym artykule zużytkować.

Niestety! przyznać muszę otwarcie, że od podobnych niedokładności nie była wolną moja praca o Abrahamie Kohnie, i z tem większem upokorzeniem odczuwam też zarzut pewnego pisma lwowskiego, że „żywot bł. pamięci Abrahama Kohna opracowany przezemnie skrupulatnie i obszernie, acz przesadną dokładnością.“ Ja, zbadawszy moją pracę sumiennie i dokładnie, twierdzę wręcz przeciwnie. Przyznaję nawet otwarcie, że niemiłe mi są niedokładności i błędy, które się wkradły w moją pracę a które są wynikiem zbyt wielkiego pośpiechu. To jedno tylko pociesza mnie, że te błędy

nigdy i nigdzie nie odnoszą się do zdarzeń historycznych a tylko miejscami do dat i imion.

I tak proszę czytelnika o sprostowanie następnych pomyłek: na stronicy 6, w. 6 z dołu raczy on imię Getego zastąpić imieniem Herdera; do uzupełnienia wzmianki na str. 21 w. 8 z dołu, że „przyszła w r. 1846m dla kaznodziei definitywna nominacja na rabina obwodowego“ niech służy szczegół, zaczerpnięty później z kalendarza Izydora Buscha na rok 1848, że kaznodzieję Abrahama Kohna na podstawie dekretu gubernjalnego z datą 24. Października 1846, l. 60576 zamianowano dopiero prowizorycznym rabinem obwodowym we Lwowie, stała zaś nominacja nastąpiła jeszcze później, nie był więc Abraham Kohn wówczas rabinem obwodowym, kiedy wygłosił kazanie poświęcalne z datą 18go Września 1846go roku; na str. 44, w 15, 16 ustęp: „wzdłuż całej ulicy Szerokiej (teraz ulicy Kopernika)“ należy zrektyfikować na zgodniejszy z prawdą: „na ulicy Szerokiej (teraz ulicy Kazimierzowskiej,)“ gdyż według topografji lwowskiej ulice: „Stara Szeroka“ i „Kazimierzowska“ są identyczne; na str. 52 proszę spis nauczycieli uzupełnić imieniem Secklera; na str. 54, w ostatnim ustępie proszę według wskazówek „Gazety Narodowej z roku 1848 (Nr. 109 z 5go Września tegoż roku) zastąpić imię burmistrza Gnoińskiego, mylnie podane według Schnürra-Pepłowskiego imieniem Henigera, który w burzliwych czasach, towarzyszących otruciu mego ojca, burmistrzem był we Lwowie.

Tyle co do kwestji, szczególnie dla mnie niemiłej, niedokładności i pomyłek. Inna niedokładność powstała z tego powodu, że dotychczasowi biografowie Abrahama Kohna, pisząc o nim, albo wcale nie zaznaczali, albo zaznaczali za słabo i niewybitnie jego stosunek polityczny do partyj. Chciałem zaradzić temu brakowi, ale nie mogłem inaczej jak tylko napisaniem osobnego artykułu „o politycznej działalności Abrahama Kohna.“ Niechaj więc życzliwy czytelnik tak rzeczony artykuł, jak i następny, zawierający mowę pogrzebową Michała Wolfa, uważa za uzupełnienie treści literackiej „Żywota prawego

męża,“ a rycinę tytułową przedstawiającą dom historyczny przy ulicy Kohnowskiej, niech uważa za uzupełnienie treści illustracyjnej wyżwymienionej pracy.

Niezwykłą pod każdym względem jest polityczna działalność Abrahama Kohna, wyjątkowym jego stosunek do partyj w kraju. Jako Niemiec przybył do Galicji, wówczas po większej części jeśli nie niemieckiej, to zniemczonej. Że go nic a nic łączyć nie mogło, że nic a nic nie miał wspólnego z partją zacofańców i chałatowców, tak niesłusznie i wbrew wszelkim zasadom zdrowego rozumu i loiki nazwanych „polskimi żydami“ — to udowodniłem zdaje się jasno i dobitnie w drugim rozdziale mojej pracy o kaznodzieju lwowskim na stronicy ośmnastej. Ale Abraham Kohn nietylko że był uzdolnionym mowcą i kaznodzieją, on był także prawdziwym patrjotą żydowskim, ubolewającym szczerze nad upadkiem moralnym i intellektualnym, nad korrupcją, szerzącą się wśród współwyznawców. Próżno biadał, próżno łamał sobie głowę, jak zaradzić złemu.

Już w pierwszych latach urzędowania swego przeczuwał prawie instynktownie przyszłą potęgę, przyszłą — rzekłbym — misję cywilizacyjną języka polskiego nad ciemnemi masami, ale nie zdawał sobie wyraźnie rachunku z myśli i uczuć swoich. Jeszcze w r. 1847 pisze on jako współpracownik do kalendarza Izydora Buscha na rok 1848my w swoich „Listach z Galicji:... „Polski język krajowy powinniśmy przed wszystkiemi innemi narzeczami troskliwie pielęgnować i wyuczyć go się według wszelkich prawideł gramatyki, gdyż od tego warunku zależy naturalizowanie się nasze wśród krajowców, nasza egzystencja cała; ale ojczysty język niemiecki jedyną tylko dla nas może tworzyć podstawę prawdziwego wykształcenia*)“.

Przekonamy się niebawem, że w późniejszych swoich pracach i listach Abraham Kohn już cokolwiek zmodyfikował głoszone pierwotnie co do przewagi języka cywilizacyjnego zdania. Coraz więcej

---

*) Izydora Buscha kalendarz na rok 1848, str. 64.

przejmował się polskim duchem, coraz więcej tracił z niemczyzny swojej, ale żydowskim patrjotą w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu być nigdy nie przestawał.

Przypuszczamy, że to silny prąd wolności, który w pamiętnym roku 1848 ogarnął wszystkich, i jemu nie pozostawił czasu do rozwagi, do trzeźwego namysłu. Był to szał ogólny, który oddziaływał na umysły, jak pobudka wojenna na żołnierza; ale szał ten oddziaływał tylko na umysły niepospolite, niepoziome.

Widzimy też Abrahama Kohna, wybranego do „Rady Narodowej“; na czele deputacji, wybranej z łona tejże Rady a wyprawionej do ówczesnego gubernatora, Stadiona, widzimy go znowu, a donosi o tem ówczesny „Dziennik Narodowy“ z 24go Marca:... „Deputacja złożona z pp. Tadeusza Wasilewskiego, z rabina żydowskiego Kohen*), Leona Sapiehy, Jana Dobrzańskiego i t. d. miała ruszyć z całym tłumem podpisujących o godzinie 6tej z domu Kulczyckiego do Gubernatora.“

W liście noszącym datę 14go Maja a wystosowanym do mego stryja, pisze też Abraham Kohn:.... „wybrano mnie nietylko na członka deputacji polskiej, ale i na członka wydziału tejże. Ustęp też 9ty, przytoczony w centralnym organie stronnictwa**) wyłącznie przezemnie został zredagowanym.“

Wystarczy zaś, jeśli przytoczę brzmienie tego ustępu, wymienionego w numerze 18m „Rady Narodowej“ z daty 12go Maja 1848, aby dać jakie takie wyobrażenie o intencji autora. Ustęp rzeczony brzmi:

Organizacja Rady Narodowej lwowskiej.

„§. 9. Do wydziału duchownego i naukowego należą sprawy tyczące się urządzenia dziennikarstwa, szkół, odczytów publicznych, postarania się o zdolnych

---

*) Ówczesne narodowe pisma lwowskie zastępowały ustawicznie niemiecką nazwę Kohna hebrajskiem brzmieniem tejże nazwy Kohen; urzędowa „Gazeta Lwowska“ z r. 1848go o moim ojcu nigdzie nie czyni wzmianki.

**) W tak zwanej „Radzie Narodowej,“ której tytuł następnie przeinaczono na stosowniejszy „Gazety Narodowej.“

nauczycieli, tudzież utrzymanie stosunków z korporacjami duchownemi wszelkich wyznań i obrzędów.“

Widzimy tu rzucony projekt organizacji przyszłej nietylko nauki i szkolnictwa, ale także dziennikarstwa, mającego wesprzeć oświatę krajową, dźwignioną swoją drogą za pomocą „zdolnych nauczycieli“ i wykluczającą już z góry wszelką nienawiść rasową i wyznaniową, bo „do wydziału duchownego i naukowego należy utrzymanie stosunków z korporacjami duchownemi wszelkich wyznań i obrzędów.“

Jeszcze jaśniej i dobitniej wypowiada tę myśl Abraham Kohn w pięknej, w języku niemieckim na posiedzeniu „Rady narodowej“ wypowiedzianej mowie, którą organ stronnictwa w języku niemieckim i w polskim przekładzie przytacza*):

Odezwa Izraelitów do braci Polaków i Rusinów.

„Bracia Polacy i Rusini!

Nowa jutrzenka zabłysła w cywilizowanej Europie! Rozpłoszyła ponure mgły zastarzałych instytucyj i rozjaśniła pomrokę, w której narody świata odwiecznym snem złożone — gnuśniały.

Przebudzonym do nowego życia otworzyły się oczy, ożywcze światło pokrzepiło ich siły a otrząsając się z więzów długością czasu rozwolnionych — zerwały się — plemię Gigantów — i wywalczyły sobie nowe niebo na ziemi, — zasępiony ten padół płaczu w raj zamieniły.

Ale ten raj jeszcze nie zupełnie zdobyty; narody uszczknęły owoc z drzewa poznania, nabyły prawdziwe doświadczenie o niezachwianych i odwiecznych prawdach przekonań — jakiemi są prawa narodów i prawa ludzkości, przyszły do świadomości hańbiącego upokorzenia — w którem tak długo usychać musiały.

---

*) „Rada Narodowa“ z 2go Maja 1848, nr. 11sty, wtorkowy. Wszystkie w pismach narodowych zawarte szczegóły czerpałem z archiwów Ossolińskiej Biblioteki, i składam niniejszem urzędnikom pożytecznej tej instytucji narodowej, publiczne a gorące podziękowanie za nadzwyczajną tychże uprzejmość.

Lecz wnijścia do raju wzbrania jeszcze system stary, niedozwala zbliżyć się do drzewa życia, by zakosztować wybornych owoców jego.

Ludzie dawnego systemu niechcą żadną miarą odwiecznych i uznanych prawd doprowadzić do upragnionego urzeczywistnienia, chcą przeszkodzić spojeniu się różnorodnych części ludności — kraju w tej jednej myśli narodowego braterstwa. Starają się rozsiać ziarno nienawiści, aby narody różnicą wiary w rozdwojeniu utrzymać.

Szlachetni polscy mężowie! okazaliście się wielkodusznymi w chwilach próby — okazaliście szlachetność waszej duszy, waszą gorejącą miłość ludzkości! Z poświęceniem własnego interesu staraliście się wywołać z pośród was wszelki ucisk i przymus, jednym węzłem braterstwa połączyć chcieliście wszystkie dzieci ojczyzny — ażeby wszystkie do wspólnego dążyły celu, aby żadnych wewnętrznych nie było rozdwojeń, serce matki rozdzierających, ażeby szczęśliwsza potomność, lub jeśli Bóg zechce — my jeszcze zbierali, coście wy zasiali, — a teraz czyż milczyć na to będziecie, aby jedna klasa dzieci krajowych wykluczoną była od używania praw ludzkości?! Czyliż ścierpicie, by po ziemi waszej snuła się partja religijna — cień smutny z zamglonej przeszłości, ścierpicież obok siebie owo niewolnicze plemię parjów — któremu by tylko patrzać było wolno na szczęście wasze, niemając żadnego w niem udziału?

Od wieków żyjemy pomiędzy Wami, od wieków wraz z wami patrzymy na smutne i wielkie wypadki, przechodzące zdarzenia waszej historji, — tu w waszym kraju są nasze kolebki — tu groby nasze! — byliśmy wprawdzie przez zasadę średniowiecznej intolerancji wyłączeni od publicznego życia krajowego, lecz mamyż przeto i nadal, kiedy i wy przebudzacie się do wolności, gdy nadzieje i oczekiwania nadchodzącego dnia nowego, odrodzenia się narodu pierś waszę wznoszą — mamyż być wyłączeni od innych dzieci tej ziemi? Możeż nam być wzbronionem z równą dumą i z równem wewnętrznem przekonaniem zwać się wiernymi Polski synami? Nie... tego nie możecie ścierpieć i nie zniesiecie, by głos uskarżający się wpośród was

powstawał, by nie zaumarło na zawsze ostatnie westchnienie ujarzmienia w waszej wolnej ojczyznie.

Podnieście więc wasz silny ludzkości przyjażny głos, wystąpcie przed tron naszego dobrotliwego Monarchy, i wsparci na waszych świętych prawach — spieszcie — do ostatka spełnić to, coście szlachetnie i wielkodusznie w interesie naszym poczęli.

Wyrzeczcie głośno, że wy — wolne Polski syny, nieścierpicie obok was niewolnictwa, że wolność wyznania i równość praw, dla wszystkich ludzi jest pierwszą podstawą wolnego życia, kamieniem węgielnym, na którym wszystkie święte prawa ludzkości się opierają. Gdzieby jeszcze choćby najmniejsze ograniczenie praw takich istniało i choćby najmniej znaczący przymus moralny, tam wolność wyznania była by próżnem tylko echem, czczem tylko mamidłem, kuglarskiem złudzeniem, bawidełkiem dziecinnem. I zaprawdę nie będą życzenia wasze niewysłuchane, przemożą one tajemne podszepty ludzi wstecznych — sprawie waszej nieprzychylnych, — co usiłują usunąć od tronu prawdy dźwięki łagodne, głos szlachetny narodu. Wasz głos się przebije i znajdzie przystęp do serca wzniosłego Monarchy — przychyli się tenże do wielkiego przez kraj cały wyraźnie wyrzeczonego słowa: „Równość praw dla wszystkich wyznań“ i dokonacie wielkiego dzieła, jakiego naród polski jest godzien, aktu wolności ku zbawieniu kraju całego dokonacie, i silnie skojarzycie 400.000 dusz z ojczyzną, które zdolne pojąć zapewne, co tylko wzniosłe — szlachetne.

I Bóg dzieło Wasze pobłogosławi, i z upodobaniem spoglądać będzie na swoje dzieci, i zleje swoje błogosławieństwo niebiańskie na nowo utworzony związek braterski. Amen.“

Na tem miejscu muszę dla łatwiejszego pojęcia czytelnika pewną zasadniczą różnicę w zapatrywaniach moich rodziców podnieść i uwydatnić. Podczas gdy śp. ojciec mój jako rodowity Czech a więc po-

bratymiec słowiański mimo nawskróś niemieckiego wychowania, przecież bardzo znacznie inklinował ku narodowości polskiej, podczas gdy stryj mój Bernard Kohn — jak wynika z listu ojca mego, zaopatrzonego datą 15go Sierpnia r. 1848go — sam służył w gwardji narodowej czeskiej, narażając się mimowoli przez tę gorliwość w służbie na niechęć i wyrzuty swego ojca a mego dziadka, — to matka moja jako rodowita Niemka, w obec całego ruchu rewolucyjnego bierne, jeśli nie nawet odporne zajmowała stanowisko. Była przedewszystkiem matką: ubolewała więc srodze nad osamotnieniem swoich dzieci, nad prześladowaniami, któremi fanatycy chałatowi ścigali niewinne istoty; przewidywała jak na dłoni dwulicowość i tchórzostwo stronnictwa postępowych żydów, jednem słowem tych wszystkich krzykaczów, na których pomoc tak bardzo — niestety zupełnie napróżno! — liczył mój ojciec; namawiała go ustawicznie, jak gdyby przewidując smutną katastrofę, aby porzucił ten niewdzięczny kraj, w którym uznania nie doczeka się nigdy, aby partje borykające się ustawicznie między sobą, zostawił rozwaśnione, aby nie dokończył dzieła cywilizacyjnego, rozpoczętego tak pomyślnie a grożącego tak tragicznym końcem, a sam, aby poszedł w szeroki świat, gdzie go oczy poniosą, aby tylko ocalić życie.

I była chwila, w której mój ojciec się wahał i już ustąpić chciał ze stanowiska zajmowanego tak zaszczytnie, wyrzec się chciał prawie wszystkich swoich godności. Nie posądzam go i nikt nie ma prawa posądzać go o to, że w tej stanowczej i ważnej chwili sprzeniewierzył się swoim zasadom, że się obawiał śmierci; ale jeśli się wahał, jeśli dobrowolnie zakres swoich czynności chciał uszczuplić a w danym razie może nawet zupełnie wycofnąć się z kraju, to uczynił to niezawodnie tylko ze względu na bezpieczeństwo swojej rodziny.

W chwilę tę, tak ważną w życiu Abrahama Kohna wtajemniczają czytelnika listy moich rodziców, noszące datę 15go Sierpnia r. 1848go a wystosowane do stryja mego, Bernarda Kohna, mieszkającego podówczas w Humpolecu w Czeszech:

„Lwów, 15. Sierpnia 1848.

Kochany Bracie!

Z listu twego, zaopatrzonego datą 2go Lipca br. dowiedziałem się ku wielkiemu memu niezadowoleniu, że zmieniasz znowu miejsce pobytu. A przecież dosyć już jesteś starym i doświadczonym*), abyś sam osobą swoją rozrządzał i rozumne układał postanowienia. Radzę Ci tylko, abyś był ostrożnym i nie wdawał się w żadne sprawy, którym wydołać nie możesz. Wiesz przecie, że na wsparcie zkądinąd nie powinieneś liczyć. Ojciec nasz jest sędziwym starcem i dosyć namozolił się w życiu swojem, a ja muszę się troszczyć o własną rodzinę.

Dalibóg! gdybym nie miał pięcioro dziatek, chwili nie pozostałbym wśród tej zdziczałej hołoty we Lwowie! Zrzeknę się prowadzenia ksiąg metrykalnych i złożę godność rabina obwodowego, aby jedynie pozostać kaznodzieją i rabinem postępowej gminy wyznaniowej; ale i na tę nie ma co liczyć, a dochody moje w każdym razie znacznego doznają uszczuplenia. Już i teraz możemy się li tylko za pomocą wielkich oszczędności jako tako utrzymać, ciepłą strawę jemy chyba tylko raz na dzień, i tak wlecze się mozolnie ten żywot biedny i pozbawiony wszelkich przyjemności, póki Pan Bóg nad nami się nie zmiłuje.

Wśród tych wszystkich zmartwień jedna tylko rzecz mnie pociesza, a mianowicie, żeśmy obecnie wszyscy o wiele zdrowsi, niźli w poprzednich latach naszego tu pobytu. Zwłaszcza mój Gothilf, to śliczny i żywego usposobienia chłopak, tylko Terenia ciągle słabowita, pod każdym względem od natury została upośledzoną. I dla dzieci moich w tym kraju nie ma najmniejszych widoków na przyszłość, tu, gdzie cudzoziemca nie cierpią a tylko wtedy go tolerują,

*) Stryj mój wówczas liczył dopiero 19 lat; ojcu memu jednak jako człowiekowi śmiałej inicjatywy, który w młodszym jeszcze wieku samoistne rozpoczynał działania, wiek ten wcale nie zdawał się zbyt wczesnym dla wyboru przyszłej karjery.

jeśli obejść się bez niego nie można*). Co to za życie dla dzieci, otaczanych wrogami na każdym kroku i niezabezpieczanych przed znęcaniem się tłumu!

Chrześcian, t. zn. prawdziwych Polaków, nie ma się czego obawiać; oni wszyscy prawdziwie wolnomyślni; żeby tylko żydzi tak byli szczerymi!

Ojcu przykro, żeś się zapisał do gwardji narodowej. Sam nie wiem, czemu go o tem uwiadomiłeś; obawia się o bezpieczeństwo twoje i myśli też, że za wiele czasu tracisz przez tę służbę.

Spodziewam się, że skoro spokój się znowu ustali, wtedy w Austrji a szczególnie w Czeszech żydom zwłaszcza po wsiach nie źle się będzie wiodło. Włościanie zniesieniem pańszczyzny wzmogą swój dobrobyt znacznie, podniesie się handel, stan średni w ogóle więcej będzie poważany, aniżeli dotychczas. A żydzi — żydzi bodaj częściowo, porzuciwszy dotychczasowy tryb życia — zostaną rolnikami. Ufajmy Bogu i spodziewajmy się po Nim rezultatów jak najpomyślniejszych.

Wierny Twój brat

ABRAHAM KOHN.“

List ten odźwierciedla jasno cały sposób myślenia kaznodziei: ciągle i zewsząd otaczany zajadłymi, nieubłaganymi, niesumiennymi wrogami, fałszującymi dzieje i ścigającymi równą zaciekłością jego i niewinne jego potomstwo, duma jeszcze męczennik fanatyzmu o tem, na jaki sposób podnieść i uszlachetnić swoich współwyznawców. Myśl, że „żydzi bodaj w części porzuciwszy dotychczasowy tryb życia, zostaną rolnikami“ — myśl ta zgadza się poniekąd z inną myślą, wypowiedzianą w przytoczonych przezemnie „Listach z Galicji“**): . . . . . . „Pierwszym wymogiem społeczeństwa jest, aby praca należyty

*) Nie potrzebujemy zapewne przypominać czytelnikom, że cały ten ustęp odnosi się li tylko do stosunków wzajemnych w gminie wyznaniowej.

**) Tamże, str. 68.

dla siebie zdobyła szacunek i aby żyd jedynie o to się starał, stać się niezawisłym od innych mężem a pożytecznym i szanowanym obywatelem kraju. Niechaj wykształceni zarzucają wszelki przepych i wygodę, wszelki luksus, narażający na szwank przyszłość rodziny a prosty tłum niech zarzuca swoją dotychczasową bezmyślność i niech przestanie na zewnątrz się stroić a na wewnątrz zasklepiać się w brudach.“ Myśl o przyszłości rolniczej żydów, którаby skutecznie zastąpić miała dotychczasowe niedozwolone handle i szacherki żydowskie, myśl tę wypowiada także autor w innym ustępie swoich „Listów z Galicji.“ Jest to myśl przewodnicząca „Alliance Israélite,“ jakoteż „Ojczyzny“, zakładających w tym celu rozmaite szkoły i szkółki izraelickie w kraju i prędzej czy później myśl ta musi zwyciężyć!

O wiele pesymistyczniej niżli ojca, brzmi list matki mojej:

„I ja pozdrawiam Pana, kochany Panie Bernardzie! Wreszcie i ja dorwałam się do pióra, a ile jeszcze miałabym do pisania, gdyby nie to, że mi brak czasu. Przeczucia Pańskie sprawdziły się niestety; zrobiliśmy wiele smutnych doświadczeń, o jakich mi się przedtem ani nie śniło. Charakter naszych żydów od czasu ogłoszenia konstytucji rozwinął się tak pięknie, ach! tak pięknie, że mi się — jeśli tylko gdzie wychodzę — wnet wydaje, jakobym się znalazła w menażerji zapełnionej dzikiemi zwierzętami. To też wychodzę jak najrzadziej, aby się nie zetknąć z tą menażerją ludzką*).

---

*) Jakie wymagania mieli niewykształceni fanatycy lwowscy do małżonki postępowego rabina, wynika już z tego jednego szczegółu, że się nie wahali, żądać od niej całkiem na serjo uczęszczania publicznego do brudów lwowskiej „mikwy“ celem osłabienia zarzutu nowatorstwa i kacerstwa. O tem zaś, co to jest taka żydowska „mikwa“ czyli łaźń, oczyszczać mająca

Kochany mój Abraham napisał Panu zapewne, co ci łotrowie Bernstein, Ornstein, Münc*) i inni wynachodzili przeciwko niemu, jak podburzali prosty lud, pieniądze obiecywali i dawali zaprzańcom, zamieszanie wywoływali w całej gminie a nawet się nie wahali podjudzać najpodlejsze indywidua, aby go napadały i poniewierały, co się mu też pewnego razu zdarzyło, kiedy ze szkoły do dom wrócił. Także nad dziećmi naszemi znęcano się, aby nam życie we Lwowie obrzydzić.

Gdybym tylko postawić mogła na swojem, to musielibyśmy się bezwarunkowo wynieść ze Lwowa zaraz po świętach pajsecznych; byliśmy już nawet zdecydowani do tego kroku, ale w tej chwili zeszli się wszyscy członkowie postępowej gminy i prosili mego męża i nalegali na niego, aby swój zamiar porzucił. A nawet wtedy, gdy Abraham w templu oświadczyć się chciał z rezygnacją swoją, przekrzyczeli go i nie dopuścili do słowa. Gmina postępowa obawia się najsmutniejszych następstw, gdyby odszedł; i rzeczywiście poszłaby wtedy cała jego praca w niwecz, ale mnie zależy więcej na przyszłości moich dziatek, niż na gminie żydowskiej we Lwo-

---

z wszelkich grzechów, o tem niemieccy i w ogóle postępowi żydzi nie mają wyobrażenia. Nadużywali także chałatowcy swobody konstytucyjne i w ten sposób, że po rogach ulic porozlepiali plakaty, poniżające rodziców moich a zwłaszcza matkę za wrzekomo niskie pochodzenie, co się jednak także z prawdą nie zgadzało.

*) Bernstein działał głównie z namowy żony swojej Wittie, przeciwko ojcu memu; Ornstein chusytą był z przekonania; na Münca oddziaływały zupełnie inne pobudki, nakłaniające go do przymierza z naszymi wrogami. Był on sobie człowieczyskiem próżnym i zarozumiałym, obdarzonym połowiczną tylko wiedzą, krzykaczem raczej niżli uczonym, walczącym argumentami. W polemice drukowanej a prowadzonej wrzekomo dla obrony czystości języka niemieckiego, nibyto skażonego przez postępowych żydów wykazał on zupełną swoją nieświadomość rzeczy; jako kandydat narodowy przeciwko hr. Leszkowi Borkowskiemu poległ sromotnie mimo najzaciętszych kontragitacyj chałatowych sprzymierzeńców. Pozostała mu tylko jedna, choć więcej niż wątpliwa droga do sławy i rozgłosu: droga Herostrata. I tę też drogę wybrał bez namysłu.

wie, gdzieśmy przeżyli przeszło cztery lat wśród ciągłych tylko przykrości, nie mogąc się ani materjalnie ani duchowo starać o los naszych dzieci.

A teraz straszą nas w dodatku jeszcze cholerą; ale ja się jej nie boję. Niech tylko Bóg da zdrowie mężowi i dzieciom moim; bez obawy patrzę ja w przyszłość, cokolwiek Bóg zarządził. Jeśli się miernie żyje tak jak my i raz na dzień tylko gotuje ciepłą strawę, to wtedy nie ma się czego obawiać.

Żegnam Pana, życząc z całego serca pomyślności.

Wierna Pańska bratowa

MAGDALENA KOHN.“

Z tego listu odsłaniającego zaledwie rąbek ponurej rzeczywistości, możemy wnioskować, jakiego rodzaju były kontynuowane systematycznie prześladowania chałatowców, jeśli nawet takiemu mężowi, jakim był Abraham Kohn, chwilowo zbrzydzić mogły stanowisko i nakłonić go do odwrotu. Była to chwila, chwila przemijająca. Jak Achilles, któremu zostawiono do wyboru długowieczność i zapomnienie, albo nieśmiertelność połączoną z krótkiem życiem, — tak kaznodzieja lwowski miał do wyboru dwie drogi i wybrał drogę, jedynie godną jego, drogę prowadzącą po cierniach! I oświadczył: „Pozostanę na miejscu i potrafię umrzeć!*)“ A może już przeczuł duchem swoim wszechmocne działanie ducha czasu, który tryumfować musi czy prędzej czy później i który jak rolnik ziarno swoje, — rzuca wielki posiew myśli, wschodzącej z łez i z krwi i z pożogi gorejących stosów, aby nieść zbawienie przyszłym pokoleniom! Jak on to zbawienie pojmował, to wynika z ostatnich prac polityczno-organizatorskich, religijnych i literackich Abrahama Kohna. W chwili gdy dłoń występna truciznę mu sypie do garnka, kaznodzieja pragnąc uszlachetnić tłum prostaków, pragnąc go pouczyć i wznieść ponad poziom mier-

---

*) Słowa z niemieckiej mowy pogrzebowej Michała Wolfa, podanej poniżej w moim przekładzie.

ności, wypracowuje prospekt do swego pisma ludowego, mającego wyjść pod tytułem: „Przyjaciel ludu izraelickiego.“

Pisma polityczne lwowskie z roku 1848go krótką nam tylko przynoszą wzmiankę o ostatnich chwilach kaznodziei. Że o nim na zabój milczy urzędowa „Gazeta Lwowska“, choć fakt otrucia rabina głośny był w całym Lwowie, to mnie nie zastanawia wcale. Dziwniej atoli wydaje mi się, że „Dziennik Narodowy“, zupełnie niezawisły od rządu, milczy o tem zdarzeniu, choć w innem miejscu uczynił wzmiankę o moim ojcu. Jedynie „Gazeta Narodowa“, zostająca już podówczas pod redakcją Jana Dobrzańskiego, krótką czyni wzmiankę o zdarzeniu, które wtedy cały Lwów poruszyło, i rzeczoną wzmiankę podaję też niniejszem:

(Sprawy polskie. Ze Lwowa*).

„Wczorajszego dnia w południe dokonana została we Lwowie okropna zbrodnia. Zatruto całą rodzinę tutejszego rabina. Oddawna starozakonni Izraelici z noworeformowanymi byli w zaciętej kłótni. Rząd nadał całej gminie rabina wedle życzenia noworeformowanych. Starozakonni oddawna jak najmocniej przeciw temu protestowali. Sekty te dwie odstrychnęły się między sobą jak najdalej: żądali więc Starozakonni, starozakonnego rabina. W pierwszych naszych chwilach konstytucyjnych zaczęli głośno przeciw rabinowi Kohen powstawać, napadali na dom jego, insultowali go na ulicy. Teraz wzięli się do zbrodni, aby go usunąć. Widać cały spisek ukartowany. Żydek niby po ogień wszedł do kuchni i rzucił nieznacznie sporą ilość arszeniku w garnek z rosołem stojący. Cała rodzina wraz z sługami, razem dziewięć osób, natychmiast zasłabła. Z ratunkiem lekarskim pospieszono zaraz. Dotąd umarł rabin i dziecię, inni zostają przy życiu ale bez nadziei.

---

*) „Gazeta Narodowa“ z 7. Września 1848. Nr. 111sty, czwartkowy.

Przyaresztowano kilku Izraelitów, na których podejrzenie padło. Wczoraj wieczór konfrontowano ich ze słabą służącą — nie poznała w nich winnego.“

A w kilka dni później o tem samem zdarzeniu pisze „Gazeta Narodowa“ pod rubryką „Sprawy polskie“:

(Główny sprawca zatrucia rabina schwytany*).

„Główny sprawca otrucia rodziny Rabina jest już schwytany. Jest to złotnik Pilbel**). W pierwszej chwili był ukrył się. Rozumiano że umknął. Lecz podczas samego pogrzebu rabina wszedł do oficyny cyrulika i kazał sobie ogolić brodę i obciął długie włosy. To zwróciło uwagę chłopców obecnych; przywołali gwardzistów i przyaresztowali go. Poznany został natychmiast przez siedmioletnią córkę***) rabina zmarłego, chociaż przedtem umyślnie kilku innych jej pokazywano. Podobnież i trzy sługi z tego samego domu poznały go zaraz. Przed wejściem do kuchni, był w dwu innych kuchniach w tym samym domu i pytał się o kuchnię rabina.“

Uznanie należy się „Gazecie Narodowej“ za to, że sprawę otrucia rabina wlicza w poczet „spraw polskich“, tem samem uznając zasługi cudzoziemca Abrahama Kohna, nietylko około sprawy cywilizacji żydów polskich, ale Polski w ogóle. Jeśli jednak obok dowodów współczucia w słowie, zestawimy i uporządkujemy dowody współczucia w czynie, to rezultat okaże się nader opłakanym — wszak 400 złr. rocznej pensji, wyznaczonej ryczałtowo wdowie i sierotom na utrzymanie przez gminę wyznaniową lwowską, pensji mającej ustać z 24m rokiem życia najmłodszego syna, oraz dodatek roczny w wysokości 200 złr., przeznaczony na wychowanie sierót,

---

*) „Gazeta Narodowa“ z 12. Września 1848. Nr. 114sty wtorkowy.

**) Tu imię mylnie jest podano: rzeczonemu winowajcy na imię było Pilpel a nie Pilbel.

***) Wiek mojej siostry mylnie jest podany: liczyła bowiem wówczas już półdziewięta roku.

zapreliminowany na 10 lat a zaliczać się mający zacząwszy od 6go roku życia mego —, to odszkodowanie więcej niż skromne za unieszczęśliwienie całej rodziny. A i tę pensję wypłacano bardzo nieregularnie, tak że się głód i nędza na każdym niemal kroku dawały w znaki.

Prawda, że pierwsze wrażenie, jakie śmierć kaznodziei lwowskiego wywołała, było niepospolite. Wszakże w jego osobie pochowano nietylko żyda-męczennika, ale także przedstawiciela postępu, poległego w walce z ciemnotą i reakcją. Równocześnicy gwardziści mówią o dzikich scenach, które sie wydarzyć miały podczas samego obchodu pogrzebowego; mówią o odpartych przez gwardzistów usiłowaniach chusytów, aby odbić trupa. Inni znowu twierdzą, że trup wykradziony został z pod grobowca pod zasłoną nocy i powtórnie pochowany na starym żydowskim cmentarzu na uboczu. Nie mamy dowodów na tę zbrodnię w ręku i dowodzić jej w ogóle nie można, gdyby nawet rzeczywiście pogłoska podobna na prawdzie polegała, bo przeciąg lat czterdziestu, — to czas ogromnie długi!

Natomiast otaczała i otacza cienie poległego cześć wszystkich prawych ludzi, wszystkich dobrze myślących. Dowody tego uznania, tej czci ma rodzina w rękach. Pamięci Abrahama Kohna poświęca głośny poeta Karol Beck († 1879) swoją „Pieśń o umarłym rabinie;“ o nim pisze historyk Jost: „Tak rabin Wechsler w Oldenburgu, jak i Abraham Kohn we Lwowie, (otruty tamże w r. 1848m) udowodnili szkodliwość obstawania przy bezmyślnym ceremonjale“; o nim pisze rabin Salamon Sachs w swojej „Biblii ludowej“: „Abraham Kohn, czcigodny ten rabin a najdroższy nasz przyjaciel i kolega, otruty został przez nikczemnika, który ludzkość całą a zwłaszcza żydowstwo czynem swoim pozbawił pierwszorzędnego rzecznika. Nie paradował kaznodzieja lwowski w ornacie obłudy, nie dla oka ludzkiego przywdziewał odznaki pozornej pobożności, ale był rzeczywiście pobożny, a przytem pokorny i otwarty. Wiele wniosków pożytecznych, wiele instytucyj dobroczynnych pochodzi od niego, choć nie-

znane dotąd imię i wpływy kierownika. Tak jak niegdyś Aaron, tak i on był wybrańcem, kapłanem najwyższego Boga.“

Najwybitniejszy dowód tej czci ogólnej dał pogrzeb kaznodziei we Lwowie, na który w literalnem tego słowa znaczeniu pół Lwowa wylęgło; na którym uczestniczyli bez różnicy wiary i zapatrywań wszyscy zwolennicy i czciciele cnoty; na którym wygłoszono aż trzy mowy pośmiertne, z których jedną a mianowicie mowę nauczyciela izraelickiego Michała Wolfa poniżej przytaczamy:

Słowa pociechy nad grobem pobożnego rabina Abrahama Kohna, wypowiedziane na dniu 8. Września r. 1848-go przez Michała Wolfa, nauczyciela przy głównej szkole ludowej izraelickiej.

„Kiedy śmierć nieubłagana z grona naszego porywa ofiary, kiedy się zbliża w kształcie pomoru lub złośliwej choroby i rozluźniając najdroższe węzły, tu rozdział wiekuisty czyni między troskliwym małżonkiem a kochającą go wiernie małżonką, tam znowu dzieci nieopatrzone pozbawia opieki ojcowskiej; tu zabija wiernego przyjaciela, tam ubezwładnia przewodnika i dowódcę, mądrego rozjemcę i sędziego; o! wtedy tęsknota i współczucie ściskają nam serce aż płakać musimy z płaczącym, którego los dotyka tak srogi.

Ale współczucie nasze przemienia się w zgrozę, jeśli mord kroczy, w kosę śmierci uzbrojony, jeśli jednym zamachem w tyle serc ugadza, jednem uderzeniem tyle ran zakrwawia.

Czy słyszycie to szlochanie wdowy? Najpiękniejszą ozdobę jej życia grób pochłonął! Czy słyszycie ten płacz dziatek? Rozstał się ze światem ich opiekun, ich wychowawca, ich nauczyciel! Czy słyszycie te boleśne skargi tysięcy jego uczniów? Stracili oni bezpowrotnie nauczyciela swego i przewodnika na drodze do poznania czci i bojaźni Bożej! My, jego przyjaciele, jego uczniowie, jego gmina, straciliśmy

w nim najlepszego przyjaciela, mądrego mistrza, wiernego pasterza!

*„Spadła korona ze skroni naszej! Biada, biada! Zbyt ciężkiem musiało być brzemię naszych grzechów!**)“

Dopóki ten pobożny, ten święty mąż żył wpośrodku nas w tem mieście, dopóty był jego ozdobą, jego blaskiem, jego dumą; z jego śmiercią znikła ozdoba, zgubił się blask, rozprószona duma nasza.

Wielka i niepowetowana dla nas ta strata, bo piękną i wspaniałą była jego nauka, która zawsze na nas oddziaływała; bo wielkim i wzniosłym był jego przykład, który nas wzmacniał w wierze. Nauka prawdy odzywała się ustami jego, bezprawia i fałszu nie głosił nigdy, z sercem Bogu oddanem żył i działał, z drogi grzesznej nawracał wielu, usta tego kapłana szerzyły wiedzę, naukę z ust jego czerpaliśmy ustawicznie, aniołem Bożym był on wśród nas.

Wiernym był on bojownikiem za prawdę, a pobojowiskiem, na którem walczył, to światło i prawo: aż poległ jako męczennik za swoje ideały, poległ, bo był wielkim.

„Jakim sposobem giną bohaterowie? na polu walki! Tak i ten namazaniec Boży! Poległ z powodu swej wyższości.“

Ale nie tylko na wewnątrz podejmował on zwycięzką walkę przeciw kłamstwom i fałszom, przeciw zabobonom i niedowiarstwu, przeciw bezprawiu i złości możniejszych, także na zewnątrz walczył on bronią zwycięzką imieniem swojej gminy, imieniem swego narodu przeciw uciskowi i przesądom. Jaką cześć, jaki szacunek wywalczył on sobie a przez siebie i nam!

„Ale nasz bohater poległ, nasza broń dostała się w poniewierkę!“

Przyjaciele moi! zastanawiajmy się jeszcze nad tem, jakim sposobem poległ ten pobożny. Zginął dłonią mordercy, dłonią brata, dłonią żyda! Winę tę przypiszą całemu Izraelowi, srom ten spadnie na całe

---

*) Drukujemy kursywą i przytocznikami ustępy wybitniejsze, wzięte z pism świętych a których w tem tłumaczeniu uwydatnić na inny sposób nie możemy.

żydowstwo! Jakiem czołem zwalczymy naszych oskarzycieli, jeśli takie zbrodnie się dzieją wpośrodku nas!

„Ach! poległ nasz bohater! nasza broń dostała się w poniewierkę!“

Ale i w obec przedwiecznej sprawiedliwości przenika nas strach i trwoga, że będziemy musieli wszyscy odpowiadać za taką zbrodnię!

Uczą nasi mędrcy:

Wonczas gdy pobożni mistrzowie rabi Szymon i rabi Ismael poszli na stracenie, wtedy przemówił rabi Akiba do swoich uczniów: „Przygotowujcie się na straszny sąd Boży, bo gdyby coś dobrego czekać nas miało, to tylko tamci cnotliwi jedynie zasłużyli sobie na łaskę Bożą; ale ten, który świat stworzył z niczego, nieubłaganym sądem karać zamyśla plemię ludzkie, i dla tego pozbawiono nas tych zacnych.“

A może i my, kochani bracia moi, stoimy w przededniu smutnych zdarzeń? Ach! w takim razie stracilibyśmy naszego obrońcę, nasz puklerz, tego co by za nami przemawiał, w którego opiece żyć moglibyśmy szczęśliwie!

„Ach! poległ nasz bohater! nasza broń dostała się w poniewierkę!“

Tak! niezmierną jest nasza strata, oburzającą, okropną śmierć uwielbionego naszego mistrza! I tak wypadło mu zginąć? Zginąć dłonią morderczą żyda? Zginąć w sile wieku? Zginąć w pełni swoich działań? Kwestję tę podnoszą wszędzie, ale rozum ludzki nie ma odpowiedzi na te pytania, nie ma pociechy na nasze bole. Święta nasza religja jedynie, której gorliwym kapłanem był poległy bojownik wiary, święta ta religja posiada jeszcze balsam kojący, aby nim leczyć nasze rany, ona niebios posłanka pociesza i uspokaja nas wśród najgłębszej nawet rozpaczy; ona wzrok załzawiony każe nam wznieść ku niebiosom. Przekonanie, że litościwa i mądra opatrzność najlepiej nami rządzi, przekonanie to użycza nam pociechy, której pozbawić nie zdoła nas najsmutniejsze nawet zrządzenie losu.

Życie naszego kaznodziei, tego świętego męża oddane było służbie prawdy, poświęcone było jego narodowi, jednak mimo najgorliwszych usiłowań mało

tylko udało mu się za życia; ale jedna rzecz udała mu się w śmierci, gdyż jako nowy Samson pogrzebał wraz z sobą w gruzach świątynię żydowskiego pogaństwa i pogrzebał w jej gruzach nieprzyjaciół sprawy uczciwej. Śmiercią swoją zabezpieczył zasadę żydowstwa; ustalił ideę, dla której walczył i cierpiał, na wieki. A więc uczynił zadość misji swojej, zadanie jego życia spełnione! Gdyby był umarł śmiercią naturalną, mniej by zwrócono nań uwagi, tragiczne wrażenie nie skutkowałoby tak silnie, jego przeciwnicy tryumfowaliby może, wołając: „Patrzcie! Oto Bóg sam ubezwładnił go!“ Ale właśnie śmierć okropna tego sprawiedliwego zelektryzowała wszystkich, wywołała niebywałą sensację, która się wszechstronnie skuteczną okazać musi. Upokorzeni są jego nieprzyjaciele, upokorzeni i pozbawieni wpływów; z dnia na dzień wzrasta zastęp jego wiernych; połowiczni i obojętni stali się gorliwymi żydami, a wierni łączą się jeszcze ściślejszemi węzły. Osierocona rodzina naszego przewodnika także większego niż dotąd dozna od ogółu współczucia.

„Ginie sprawiedliwy a nikt nie troszczy się o to, umierają pobożni a nikt tego nie zauważa; wtedy tylko poznają stratę, gdy przed złością ludzką ulegnie sprawiedliwy.“

A więc nie płaczcie nad umarłym, nie litujcie się jego doli, ale płaczcie losu żyjących. Lepsze życie jego jest udziałem, a duch jego w niebieskich zamieszkuje sferach; ale jeszcze żyje wpośrodku nas jego wdowa, jeszcze nieopatrzone jego pięcioro sierót*), niech je więc pocieszy nasze współczucie, niech im nie zabraknie niczego, nie możemy mu się odpłacić za jego troskliwość, a więc odpłaćmy się im, o które się za życia troszczyć musiał.

A i my żyjący, bierzmy się za ręce i stójmy i nadal jako jeden mąż w obronie świętych

---

*) Szanowny mowca myli się w tym ustępie: wtedy, kiedy piękną swoją mowę wygłaszał, nie żyła już najmłodsza moja siostra Terenia, uległszy na równi z ojcem moim wpływom trucizny.

zasad, za które cierpiał i walczył nieśmiertelny nasz nauczyciel; bądźmy i nadal posłańcami tej idei, dla której żył, dla której poniósł śmierć męczeńską; zostańmy i nadal przyjaciółmi prawdy, najszczytniejszej jego cnoty; sprawiedliwość i prawda niech i nadal wszystkie czyny nasze odznaczają, tak jak odznaczały całe jego życie, a zaklniemy ducha jego, by na zawsze zamieszkał wśród nas!

Nie płaczcie nad umarłym, nie żałujcie go! Krótki przegląd dziejów jego życia wystarczy nam, aby się przekonać o tem, że z utratą życia nie wiele stracił: młodość jego przeszła wśród ciągłych trosk i niedostatków, wśród abnegacyj i ofiar ustawicznych, poniesionych w służbie wiedzy, potem widzimy dojrzałego już mężczyznę, walczącego imieniem wiary, wplatającego pierwszy wawrzyniec w skroń swobodną i śmiałą, ale pooraną już przedwczesnemi bruzdami, noszącą ślady niewyspanych nocy i podkopanego pracą zdrowia.

Tu wpośród nas, w gminie naszej spodziewał się wreszcie znaleźć uznanie i wynagrodzenie za niezmordowaną czynność swoją; wiemy już, jaka go czekała nagroda, wiemy że porzucając świat, nie porzucał radości niezaznanych. Ale mimo wszelkich przykrości i prześladowań pozostawał on czynnym do ostatka w zastępstwie swojej gminy, niewyczerpanie cierpliwym w wykonywaniu ciężkich swoich obowiązków.

Na ulicy napadnięty i sponiewierany przez łotra, zniósł tę poniewierkę z cierpliwością godną świętego, oświadczył mi bezpośrednio po tym wypadku z zimną krwią: „Muszę listy pisać w zastępstwie gminy a przeszkadzają mi.“ Prostą przeszkodą nazwał on to brutalne znęcanie się nad osobą bezbronnego; rodzina, przeczuciem smętnem wiedziona, usiłowała go namówić, nieprzyjaciele najpodlejszemi intrygami go zniewolić, aby opuścił stanowisko. „Pozostanę na miejscu i potrafię umrzeć“ — te słowa wypowiedział on z ambony, przewidując wczesny swój a tragiczny koniec. Jako święty, jako męczennik prawdy przebaczył swoim mordercom i modląc się za nich, wrócił

do niebios, aby tam odebrać nagrodę, która go w życiu tem minęła.

Jeśli więc tyle zdziałał dla nieprzyjaciół swoich tak za życia, jak i na łożu śmiertelnem, za nich się modląc, im przebaczając; tem bardziej więc my, jego przyjaciele i zwolennicy, my członkowie, osieroconej po nim gminy Izraela, bądźmy przekonani, że nieśmiertelny nasz mistrz uczuć ziemskich nienawiści i zemsty nie zabrał z sobą w błogosławioną krainę zbawienia i pokoju.

„Jego zasługi będą nam puklerzem, jego głos przemówi za nami, aby łez ślad ostatni znikł z oczu naszych. Amen!“

Dwaj aniołowie.

Gdy anioł życia do życia mię wzbudzi,
Mniejsza mi o to, czyli ono twarde:
Na trudy, znoje mam ja czoło harde;
Pracować jest to obowiązkiem ludzi.
Gdy zawiść ludzka drogę mi zagrodzi
I gdy szyderstwo we mnie budzi trwogę,
Toruję sobie w pocie czoła drogę;
Bo nikt w kolebce mistrzem się nie rodzi.
Ostatnim nawet niezatrwożon ciosem,
Gdy nad mą głową niebo się już wali,
Kroczę ja dalej, kroczę ciągle dalej:
Wszak całe życie walka tylko z losem.
Lecz gdy do walki sił mi już nie stanie;
Gdy wypoczynku duch zapragnie chory;
Gdy się kawałek już odbyło spory
Podróży ziemskiej; gdy przyjdzie konanie,

A z śmiercią bolów, wspomnień ziemskich świta.....
Gdy z pełnej napić się wypada czary:
Niech anioł śmierci w kształcie sennej mary
Do strudzonego pielgrzymką zawita.....
Niech bole życia ciężkie me osłodzi;
Niech przed szaleństwem mię uchroni groźnem;
Niech swojem tchnieniem zimnem, silnem, [mroźnem
Spragnione, blade usta me ochłodzi.
Tak niechaj pierwsze kroki moje pieści,
Niech siły w walkach życia podtrzymuje
Ten anioł, co się nami opiekuje,
I anioł śmierci nad łożem boleści.

Sambor, 18. Lipca 1874.

G. Kohn.

Dumka ruska.

Tiażko — tiażko nam w czużyni!
Kołyż wernem' w ridnyj kraj?
Tam pry seli na dołyni,
Berezowy szumyt haj;
Tam dwa duby, tam chatońka,
W chati koby wesny ćwit,
Synooka diwczynońka
Wyzeraje w świt.
Czy ne werne do nej myły,
Wyzeraje — oj! raz w raz,
A jej hrudy zatużyły,
I zawodiat dumku w hłas. —
Ałe marnyj płacz nebohy

Myłoho ne dołetyt,
Ni zputani jeho nohy
Ne pribihnut do jej writ;
Tut hde hlane, wsiuda kraty,
Wysokij stosy scin;
Hodi tobi ho wydaty!
Bo ne chutko werne win. —

Nałęcz Pius z Witoszyna.

Przed ślubem — po ślubie,

przez

Bolesława Mogiłę Andruszewicza.

NOWELLA.

I.

Zniknęły śniegi i lody, a wiosna wszystko tuli do swego łona, rozwija listki i kwiatki polne, zieleni lasy, pola, ogrody i zapełnia je śpiewem ptasząt, co przyleciały igrać śród nowej zieleni. Słoneczko z góry rozświeca dzionek, weseli kwiatki, ptaszki weseli i ludziom także serca rozgrzewa, budząc w nich nowych nadziei roje. Wiaterek lekki buja, przewiewa, otrąca perły rosy z gałązek, swawolnik psotny igra listkami i leci dalej, by skryć się w ciemnym, dalekim lesie. Fala jeziorka płynie i goni za złotą rybką, co jej ucieka; słonka blask złoty w niej się przegląda i w kroplach rosy w tęcze się zmienia. W wiklinach słowiczek swą piosnkę dzwoni a za nim chórem tysiące ptaszków o Maju śpiewa.

Czyż śpiew ten wszystkim w duszy oddzwania? Tak mi się zdaje — bo któryż z nas się powracającą wiosną nie weselił? komuż nie zbudziła ona w sercu tysiące nadziej, tysiące myśli nowych, tysiące zamiarów i uczuć.

O czarowna wiosno! ja zawsze tęsknię za tobą, bo tyś mi dała w życiu mem chwile najpiękniejsze, które, ach które niestety tak krótko trwały!

I ty kwiateczku, coś mi wykwitał ponad jeziorka śrebrzystą tonią, coś się w niej krasie swojej przyglądał — i ty kwiateczku zwiądłeś, uschnąłeś, pory nie dożywszy. Wszystko zniknęło jak mara urocza, uleciało jak sen złocisty.....

Pamiętam tę wiosnę, pamiętam dzień ten, kiedym „ją“ poznał, tu ponad brzegiem tego jeziorka! O i wtenczas ptaszki śpiewały, na kwiatkach jaśniała rosa perłowym blaskiem, gdzieś dalej szumiał strumyk ukryty, a wietrzyk falą śród drzew przeganiał — „ona“ nad brzegiem kwiaty zbierała i robiła wiązankę, nie wiem dla kogo!

Patrzyłem na nią jak na nieziemskie jakie zjawisko. Smukłe jej, wiotkie a pełne kształty, spięte leciuchną, białą sukienką, kruczy warkocz w bogatych splotach rozsnuł się po jej białych ramionach. Na ustach wpół otwartych uśmiech igrał wesoły.

Ona śmiała się do kwiatków i ich krasne usta do swoich tuliła. O czemuż mnie w tym kwiatku nie było!

Bukiecik z kwiatków polnych zebrany, na swojej piersi ona przypięła. Jakże jej cudnie było z tymi kwiatkami! Jej oko ciemne jak szafir śród kopalń indyjskich — na kwiatach polnych spoczęło, czemuż nie na mnie!

Błądziłem drugą stroną jeziorka, słuchałem gwaru leśnych śpiewaków, słuchałem szumów wierzby nadbrzeżnej, a okiem goniłem za jej ruchami. Zdało mi się, że spojrzała na mnie i że jej myśli ku mnie pobiegły.

Tak, nie omyliłem się, ona skinieniem mię przywołuje!

Skoczyłem do łódki, co się na falach chwiała jeziorka i jednej chwili u stóp jej byłem.

Spojrzała na mnie....

O to spojrzenie zostało na wieki w mem sercu wyryte — nie zapomnę go nigdy!

Podała mi rączkę i poszliśmy błądzić śród cienistych alei ogrodu. Co czułem wtedy, nie jestem w stanie wyrazić. Całym sobą utonąłem w jej cichym a tak dźwięcznym głosie — czułem się uniesionym w nieznane światy, bałem się odetchnąć, by nie znikło to urocze zjawisko.

Tak, to było zjawisko nieziemskie, mara, sen co uleciał, by nie wrócić więcej!

Szedłem obok niej — czy co mówiłem nie pamiętam, ale uchem goniłem za każdą nutą, za każdym dźwiękiem jej głosu; słuchałem tej harmonii czystej i dźwięcznej i upajałem się nią.

Na koniec wróciliśmy nad brzeg jeziorka, ona skoczyła lekko do łódki i fala nas uniosła na środek jego. Patrzyłem w nią jak w tęczę, jak w obraz pędzla Rafaela. Ona odpięła bukiecik z piersi i na dwie połówki go rozdzieliła i jednę — o pamiętam tę chwilę —, jednę z nich mnie oddała, a drugą rzuciła w fale jeziora.

Przycisnąłem kwiatek do ust moich i ssałem słodycz jej pocałunku z niego — wszakże widziałem i ona go całowała i ona go tuliła do ust swoich, a gdy był na jej piersi przypięty, to pod nim serce jej biło!

Co druga gałązka znaczyć miała? Ja nie wiem........

I dzień zbiegł jasny — i ją żegnając tuliłem kwiatek do ust moich. Ona mi rączkę swoją podała, chwyciłem ją drżący cisnąc do piersi mojej, a pierś ma drżała i serce w niej biło! I ona lekko swą drobną rączką moję ścisnęła mówiąc: „dobranoc!“ a drugą rączką kwiatek wskazała i rzekła:

— Kwiatek ten chowaj, bo on dla ciebie — innego nie mam.... a drugi — wiesz, spoczął śród toni jeziora.

Żar palił me czoło, drżącemi usty dłoń białą goniłem, ściskałem jej drobną rączkę w mej dłoni i na dobranoc raz jeszcze na niej gorący pocałunek złożyłem.

Ona pobiegła i znikła w oddali; tylko szum wiatru przyniósł mi jedno, jedyne słowo:

— Pamiętaj!

II.

I odtąd widywałem ją codziennie.

Z dniem każdym nową rozkoszą się upajałem, byłem coraz bliższy jej serca i przyszła chwila, kiedy to serce na mojej piersi zabiło, kiedy ją mogłem nazwać swoją, swoją na zawsze!

O pomnę ją w szacie ślubnej na ślubnym kobiercu, dziwnie mi wybielała, a krok jej był drżący i niepewny, i usta jej drżały czerwieniąc się ledwie wąziuchnym paskiem.

Podałem jej ramię, ona oparła o nie swą główkę i piękną była jak anioł tej chwili..... Na piersi mojej miałem kwiatek przypięty, com go miał od niej — o bo ten kwiatek był wiecznie przy mnie. Ona nań spojrzała i tej chwili uczułem mocniejsze drżenie jej dłoni. O! ona także wspominała sobie tę chwilę i drżała błogiem wspomnieniem.

Przyszliśmy do ołtarza.....

Ołtarz ustrojony w kwiaty i zasłony, tysiące świateł na nim jarzących, a cienie kolumn i arabesek dziwnie się z sobą plątały. Tam na obrazie płomyk złocistym ogniem migotał, tu dym kadzideł lekkim się w górę wznosił obłokiem i ponad nami chwilę się wstrzymał jakby baldachin i wyżej wzleciał, a po chwili rozsnuł się i zniknął w ciemnych stropach kościoła.

Klękliśmy na kobiercu.....

Spojrzałem w obraz, obraz był ciemny i niewyraźny — nie mogłem poznać co wyobrażał, podniosłem głowę, a wzrok się gubił w ciemnej przestrzeni. Zrobiło mi się słabo na chwilę i zapomniałem o mojem szczęściu.... patrzyłem przed się w górę.... i nic nie widziałem — chciałem swe myśli skupić, zgromadzić — byłem bez czucia, bez siły.... o czem myślałem.... ja nie wiem.... Spojrzałem niżej — migotnym blaskiem lampa płonęła.... patrzałem w jej bladoniebieski płomyk, co zdawał się gasnąć i znów

rozpalać — patrzyłem w niego, zapomniawszy o świecie całym, o szczęściu mojem, o skarbie — który o ramię moje oparty, poglądał na mnie wzrokiem niespokojnym. Wtem lampa silniejszym błyskiem spłonęła, jeszcze raz płomień silniej wystrzelił i zagasł.......

Byłaż to wróżba szczęścia mojego?

Ocknąłem się z zadumy, ksiądz stał przed nami, łączył nam dłonie i kolejno wymawialiśmy słowa przysięgi.

Przyszedłem do siebie, przyszedłem do poznania szczęścia, które dotąd było marzeniem tylko.

Odtąd zostaliśmy oddani jedno drugiemu, odtąd mogłem nazywać ją moją, moją na zawsze!

Wyszliśmy z kościoła, powóz zajechał — i za chwilę wchodziliśmy do salonu jaśniejącego słonecznym blaskiem. Sala przecudnie ustrojona w kwiaty i opony, po niej się piękne snują dziewice, strojne w brylanty i diademy, a z śnieżnych ramion, jak mgły powiewne w tęczowe barwy, rozpływają się stroje gazowe, a woń czarowna w koło upaja, a śpiew brzmi z dala.

To echo pieśni: „Veni creator!“

Muzyka zagrała, w szalonych kołach pary wirują — gwar, ścisk, wesele, radość w około!

Szliśmy ręka w rękę, ustępywano się nam i kłaniano, a zewsząd dochodziły nas głosy życzące lat długich szczęścia, radości!

Duszno nam było i gwarno w tej sali. Rzuciliśmy wszystkich idąc spocząć gdzieś w ustroniu.

Wyszliśmy na balkon.

Majowa noc czarownem światłem ziemię darzyła, woń świeżych kwiatów zapełniała powietrze. Cichość i spokój dokoła. Żaden się listek nie ruszył, tylko tam z wiklin, z ponad jeziorka dolatał nas luby głosik słowika. Sparłem się o filar, ona swą główkę na mojej piersi złożyła, ja schyliłem usta i gorący pocałunek złożyłem na jej czole, co jak najbielszy marmur jaśniało. Potem zadumaliśmy się oboje, patrząc przed siebie, patrząc na srebrną toń jeziorka, na ciemną zieleń drzew dookoła, na gwiazdkę co do nas mrugać się zdała.

O jak byliśmy — jak byłem szczęśliwy, któż to wypowie?

Przed oczami memi snuły się czarowne obrazy, jasne niebo, raj, ogród cudowny, pośród którego byliśmy sami, we dwoje... Ja ją tuliłem w objęciu, ona rączkami swemi obejmowała mię za szyję i jak anielskie ptaszę, szczebiotała mi hymn niebiański, hymn najpiękniejszy bo miłości, bo kochania, hymn którym się można upoić, zapomnieć na wieki. O wiem teraz, o rozumiem i pojmuję, jakie szczęście samo niebo zawierać może!

Miłość moją mogłem nazwać szczęściem prawdziwie niebiańskiem, świętem, wielkiem!.....

Lecz czy wiecznem? — szepnął mi głos jakiś.

Obejrzałem się — byliśmy sami! Zkądże głos ten pochodził, głos który od razu rozwiał marę snów czarownych.... który mię przybił do ziemi nieznanym ciężarem i polot myśli zniżył, zdusił i stłumił?

Przypomniałem ową lampę w kościele, owo marzenie na jawie, ów obłoczek mglisty..... mróz mię przejął, wstrząsłem się i drżącą dłonią chwyciłem rączkę tej, którą miałem już prawo zwać swoją..... swoją!

Spojrzałem w jej oczy.... były cudne i jasne jak dwie skry na niebie, a tak anielsko we mnie patrzyły, że oczarowany ukląkłem całując skraj jej szaty i przeklinając myśl niegodną, co się w mem sercu urodziła. Potem w objęciu jej długo.... długo.... śniłem znów o tem szczęściu, lecz już bez mar i wróżb czarnych, śniłem w spokoju, tuląc swe usta do ust mej lubej.

Wróciliśmy do sali.

Tu wnet otoczyło nas liczne koło zazdrośników.... i w krótce patrzyłem jak ona, ona królowa śród koła tanczników najpierwsza jaśniała, a za nią rój, tłum cały par wirujących się posuwał, gonił, dopędzał.....

Zmęczona, z cudnym rumieńcem na licach, wyrwała się z tego zaklętego koła i przybiegła do mnie.

O lube, urocze dziecię! Ona nie chciała mię zostawić samym. Przybiegła, główkę o moje ramię oparła i szeptała słodko, lubo, upajająco:

— Przy tobie, zawsze przy tobie!

Gołąbka moja! Ona przy mnie, koło mnie.... O słów nie mam na wyrażenie uczuć mię przejmujących, niema melodji na wypowiedzenie wrażeń! Weźcie serce, otwórzcie, zobaczcie, a może pojmiecie.... Lecz nie — wy i pojąć nie jesteście w stanie. Kto nie kochał, nie był kochany, ten nie pojmie tej iskry elektrycznej, co wstrząsa od razu całą istnością do głębi, co żywot od razu przemienia na dobry, na lepszy, na inny, co wyaniela człowieka, robi go wyższym, większym, świętszym!

Jam posiadł miłość... jestem kochany, kocham.. to dosyć! I cóż mam żądać więcej?

III.

Najpiękniejsze dnie w życiu mojem płynęły jak ten strumyk tam w wiklinach, srebrną, cudną wstęgą. Byliśmy razem, zawsze razem, przy sobie, koło siebie.

Minęła zima, wiosna spłynęła i słońce jasne schylało swą głowę do snu, do spoczynku i ptaszęta już milkły, jeden tylko słowik jak ongi przed rokiem pieśń swą rozpoczął i nucił, nucił długo i pięknie, my słuchaliśmy, bo to była jedyna pieśń, jaką tylko śpiewać może, to była pieśń, co w sercach naszych żyła, co ją serce nuciło, nie umiejąc słowami wyrazić.

Długo tak, długo siedzieliśmy ręka w rękę, aż noc na dobre zapadła, aż księżyc swój krąg srebrzysty na niebo wytoczył i promieniami olśnił rosy kropelki, co w jego świetle jak rozsypane perły jaśniały.

— Czas na spoczynek, dobranoc —, szepnęła ona.

Ja tuliłem usta do jej białej dłoni i szeptałem toż samo:

— Dobranoc, dobranoc ci luba!....

I za chwilę ona znikła mi w ciemnym pokoju...

Jeszcze słyszałem jej kroki w oddali i echo umilkło i cichość zaległa — ja byłem sam.

Zerwałem się, trąciłem drzwi od ogrodu i wybiegłem w jego cieniste aleje... Błądziłem długo, daleko, śród drzew odwiecznych, pośród kwiatów, co we dnie tysiącem barw do słońca się śmieją, a teraz tylko główki schyliły i śnią i milczą, nie wonią nawet.... Wtem mi zabłysło szeroką taflą srebrne jeziorko, biegłem ku niemu, skoczyłem w łódkę i łódka sama w środek pobiegła, a ja patrzałem w tę toń przejrzystą i niezgłębioną, patrzałem a dziwne myśli w głowę mi biegły:

Tam na dnie wody widziałem niebo, świat inny, nowy, widziałem gwiazdy, co mię wabiły, ciągnęły ku sobie — i księżyc mrugać się zdawał, potem śmiał się serdecznie, długo, straszno — śmiał się ze mnie i w głos wołał szyderczo, piekielnie, wołał do siebie, do toni wodnej.

O potęgo żywiołu! Jakąż ty siłą ciągniesz do siebie!

Tam na dnie wody nagle ujrzałem korowód jakiś, jakąś procesję dziwną a poważną. Szły parami dziewice w bieli z wiankami — w koło nich i przed niemi i za niemi, rój złotych rybek mknął, igrał, przepływał. Dziewice stanęły, zrobiły koło, pląs rozpoczęły nucąc pieśń jakąś..... Melodja jej to, melodja gdzieś już słyszana, a taka piękna, a taka rzewna i rozkoszna razem i anielska i szatańska, namiętna i dzika, nie ziemska! Pląsy ustały lecz pieśń wciąż brzmiała.... Dziewice roztoczyły koło, jakby czekając wejścia czyjegoś — stały patrząc w jedną stronę. Nagle światło wybłysło długim, cudnym promieniem, za światłem patrzę: idą, lecą, płyną on i ona, za ręce się wziąwszy, patrząc sobie w oczy, tuląc się do siebie. Jej warkocz czarny rozsnuł się po cudnych ramionach — ona wpół się przegięła, główkę przechyliła i przebóg!... ujrzałem.... to ona!

. . . .

Padłem bez zmysłów.... Kiedym się obudził, dzień świtał.... W głowie mi szumiało, puls bił gorączkowo — byłem chory....

Chwiejąc się i zataczając poszedłem do domu.

Rankiem ona przyszła do łoża mego, patrzyła we mnie, patrzyliśmy w siebie — ja chciałem czytać w jej oczach, oczy te były jak zawsze piękne, czyste jak lazur, a płonęła w nich jedna tylko iskra—iskra miłości.......

Ona wzięła mię za rękę, swą rączkę na czole mem położyła, głowa ma była zapalona.....

— Tyś chory, blady, mój luby!

Jej luby!....

O tak tylko ona powiedzieć potrafi!

Tak, byłem chory, był to początek długiej i strasznej gorączki. Mało co pomnę z czasu mej choroby.... Nieraz widziałem ją jak przychodziła, nachylała się nademną, śledziła życia w oddechu moim, potem smętna, a piękna jak posąg — odchodziła do swych pokojów.....

Powoli przychodziłem do siebie.....

I była znów noc jasna, widna i piękna jak ongi; i promyk księżyca, co wpadł w me okno, wabił i nęcił ku sobie.... powstałem.... mam siły.... idę!... Letni, ciepły wiaterek mię objął, było mi błogo, lubo, swobodnie!... Jakaś nieprzeparta siła wiodła mię i ciągnęła pod jej okna; tam było światło.... drzwi otwarte, wchodzę... jej nie ma!....

Myśli straszne i dziwne spłynęły mi w głowę— zdawało się że czaszka od nich rozpęknie. Wybiegłem w ogród.... tam.... tam na końcu alei, widzę coś białego.... to ona tam sama.... skradam się jak kot.... szedłem cieniem niewidzialny.... i ujrzałem!..... ha! czemuż nie umarłem pierwej!... Ujrzałem ją w cudzych objęciach!

. . . .

Skoczyłem do altany.... byłem wtedy silny jak Samson, a jak tygrys krwi chciwy. Stanąłem między nimi.... on pobladł, zachwiał się, lecz czekał spokojny.

— Z nami do jutra! — zawołałem.

— Dobrze — odpowiedział jak echo.

Chwyciłem ją za rękę, chwyciłem wściekle i wiodłem do domu.

W piersi mej wrzało całe piekło, myślałem, że padnę, zginę, umrę — nie umarłem.... ha nie wiem, zkąd taka siła we mnie — przeklinałem ją, bluźniłem

Bogu i naturze, że nie byłem słaby jak ten motyl lub liszka, że żyłem, że żyć mogłem!

Puściłem jej rękę.... ona potoczyła się i upadła na fotel... była piękna jak nigdy... Rozwiany warkocz bramował te białe lica rumieńcem lekkim okryte, a w oczach jej, w tych oczach, gdziem niebo widział, coś jakby łza lśniło....

Kochając ją — znienawidziłem. Wzrok jej był mi teraz jak wzrok jaszczurki.. Szydziłem z łzy tej..

Podniosła się... rękę oparła o fotel, patrzyła we mnie, patrzyliśmy w siebie... Ona nie mogła znieść wzroku mego, bo w nim piekło widziała.

— Dość tej męczarni! — zawołała, jestem winna... nasyć się zemstą!

Milczałem.

Ona drżała jak liść osiny — byłem bez litości! Zakryła oczy, upadła znów w fotel z jękiem boleści... ja milczałem....

Zegar sunął się powoli i monotonnym głosem wywoływał sekundy — zresztą było cicho, straszno, jak w dzień sądu....

— Boże mój, Boże! — szepnęła, kiedyż się skończy ta męczarnia gorsza od piekielnej?

— Ona się już nie skończy — odrzekłem jak echo, odtąd nie ja, nie ludzie, ale sumienie sądzić cię będzie, Bóg ukarze, a jak On jest bez końca, tak bez końca twe potępienie!

Z piersi jej wyrwał się okrzyk straszny, wielki, bolesny — okrzyk co serce rozrywa, co mózg zamraża, okrzyk co już nie woła litości — ale okrzyk zgrozy — okropny okrzyk co śmierć przyzywa!...

Ja chwiejąc się jak pijany, umknąłem z pokoju. . . . .

. . . .

Skolin, dnia 8. Listopada 1885 r.

TĘSKNIĘ...

Tęsknię, o tęsknię! do strzechy mej chaty,
Do niw złoconych a strojnych w bławaty,
Do grządek kwiatów przed oknami ślicznych,
Do drzew — przyjaciół... silnych — niebotycznych.
Tęsknię do głosu dzwonu od kościoła,
Gdy w ciszy zmierzchu do modlitwy woła,
Do gwaru dziatwy wracającej z błoni,
Do srebrnych włosów na mej matki skroni...
Tęsknię do lampki, która jasno płonie
Przed tą Najświętszą, co na swojem łonie
Piastuje dziecię, — a Mistrza naszego
I jest królową... męczeństwa strasznego.
I tęsknię do tych, co mi są najdrożsi,
A w dary szczęścia może najubożsi,
Którzy tak cierpią i cicho i rzewnie,
Że nikt tych cierpień nie zrozumie pewnie.
Nikt ich nie słyszy i nikt nie obaczy,
Bo w poświęceniu nie ma łez rozpaczy!
Tęsknię za ciszą, co w wieczornej dobie
Płynie nad wioską i zwisa na grobie
I budzi tyle strun na mojej lutni,
Że śpiewam wtedy tak rzewnie, tak smutnie,
Jakbym w swych dłoniach miała ludzką nędzę
I znała wszystkich cierpień szarą przędzę.
Tęsknię za tymi, co płyną bez skazy
I w drodze brudnej są jako oazy
Dla myśli zacnych, dla wielkich miłości,
Dla życia duszy i piękna jasności.
Tęsknię za wszystkiem, co nasze i smutne,
Co strojne w dumki i zna łzy pokutne,
Za tem, co śledzi gwiazd srebrzystych drogi
A wierzy w przyszłość — i rodzinne progi
Ze czcią szanuje, nie trwożąc się krzyża,

Przed cnotą kornie swoje czoło zniża,
A kocha dobrze, szczerze i głęboko
Wszystko co jasne jako gwiazdy oko,
I błędnym — ciemnym rozumnie przebaczy,
Bo wie, co walka z wrogiem strasznym znaczy!

Błękitna.

Noc na niebie.

Noc na niebie, lekka, senna,
Światła płoną, gwiazdy płoną,
Pod iskrzącą z gwiazd oponą
Płynie piosnka ma wiosenna!
Płynie barwnych tęcz kaskadą
Ponad ziemi, morza, góry,
Wita senne niebios chmury,
Wita przeczuć marę bladą.
Przeczuć jasnych przyszłej doli
I promiennych czarów życia,
I dziecięcych snów odbicia....
Płyną, lecą poniewoli.
A wśród nich widnieją w dali
Purpurowe szczęścia zorze,
I natchnienia wieszcze, boże
Płyną w złotej blasków fali.
Te urocze natchnień chwile
Złocić można marzeniami,
Całe wieki żyć chwilami,
Wspomnieniami żyć w mogile.

Czortków, 25. Maja 1884.

Janina Antonowiczówna.

JAKIMI MAJĄ BYĆ NAUCZYCIELE JAKO WYCHOWAWCY?

Rozprawka pedagogiczna.

Opracował

ADAM WOJDAŁOWICZ.

Pedagogika, czyli nauka o wychowaniu uczy nas, iż wszelkie istoty organiczne mają warunki do rozwoju swoich zdolności przyrodzonych, które przy sprzyjających zewnętrznych okolicznościach mniej lub więcej pomyślnie się rozwijają. Tyczy się to przedewszystkiem człowieka, który już od kolebki wystawiony na wpływy wychowawców, pod których okiem rozwija się w sposób, przez naturę wskazany. Najlepszym tego dowodem jest ta okoliczność, że dzisiaj ludzie lepiej są rozwinięci niż przed lat tysiącem. Ale z drugiej znowu strony człowiek wcześniej narażony jest na zmarnienie, niż inne istoty. Przyroda i w ogóle wszystko, co z człowiekiem w ściślejszym związku pozostaje, co nań oddziaływa, wpływa na niego rozwijająco, t. j. wychowuje człowieka.

Ale wpływ ten naturalny jest często niepewnym, przypadkowym i dla tego może być dla nas niebezpiecznym. Z tego też powodu nie można człowieka zostawić samopas owemu przypadkowemu wpływowi natury. Dowodem tego choćby i ta okoliczność, że natura uczyniła nas słabszemi istotami od innych, a tem samem wskazała nam niejako drogę, którą postępować winniśmy, aby przed czasem nie zmarnieć. Człowiek potrzebuje dłuższej, lepszej opieki, podpory, kierownictwa ze strony wychowawców, aby celu

ziemskiego mógł dopiąć. O jednym takim wychowawcy, mianowicie o nauczycielu szkolnym wypowiem tutaj bodaj słów kilka.

Każdy wychowawca w ogóle a nauczyciel w szczególności winien mieć głównie dwie rzeczy na względzie: 1) cel, do którego przy wychowaniu zdążać powinien i 2) środki, do celu tego prowadzące. Cel, jak się tego każdy łatwo domyśli, jest, aby wychowanek stał się dla siebie i drugich użytecznym. Należy więc w pierwszym rzędzie do zadań nauczyciela, przygotowywać to wszystko, co wpływa korzystnie na rozwój dziecka a usuwać to, co rozwój tegoż tamuje. Dlatego to starać się powinien nauczyciel, poznać w zupełności naturę swego pupila, co niezbędnem jest przy używaniu poszczególnych środków, jakie za stosowne uzna.

Religja nas uczy, że człowiek składa się z dwu części, t. j. z ciała i duszy. Otóż nauczyciel winien baczyć i na to, aby, wychowując duszę, nie zapomniał także o ciele, bo któż zdoła zaprzeczyć, że już w starożytności mawiano: „tylko w zdrowem ciele mieszka zdrowa dusza?“ A mawiali tak Rzymianie, naród, który przez długie wieki władał prawie całym światem, wychowywując nietylko duszę, ale i ciało. Nie wypływa ztąd bynajmniej, jakobym żądał, aby nauczyciele większego starania dokładali przy wychowaniu cielesnem, aniżeli duchowem. Owszem, sam to najzupełniej przyznaję, że wychowanie duchowe u każdego większą powinno odgrywać rolę, aniżeli cielesne. Przychodzą mi tu mimowoli na myśl słowa Chrystusa: „Nie bójcie się tych, którzy ciało wasze zabić usiłują, ale tego, który nietylko ciało, ale i duszę potępić może.“ Ze słów tych boskiego nauczyciela najlepszy przykład dla nas ziemskich nauczycieli.

Pomówmy najsamprzód o wychowaniu cielesnem. Że w pierwszym rzędzie obowiązuje ono rodziców, to nie ulega wątpliwości, choćby tylko z tego powodu, że do 6go roku życia dziecko wyłącznie pod opieką rodziców pozostaje; nauczyciel jednak także nie powinien zaniedbywać w szkole wszelkich tych czynności, któreby miały na celu zdrowie dziatwy, na naukę uczęszczającej.

Wie każdy z nas, jak ważną czynnością jest oddechanie i jak częstym i niebezpiecznym słabościom ulegają nasze organa oddechowe. Same powietrze zawiera nietylko zdrowe, ale tąkże szkodliwe składniki, dla tego jest nauczyciel obowiązany czuwać nad tem, by dzieci, opiece jego poruczone, oddechały świeżem i czystem powietrzem i przebywały w suchych i czystych izbach szkolnych. Pod wyrażeniem: „czystych“ rozumiem także i to, aby były należycie pobielone, co także ze względów hygienicznych nie powinno być dla nas obojętnem.

Trzeba również wpływać na dzieci, jakoteż i na ich rodziców, aby stosowali odzież do pór roku, bo to wywiera ważny wpływ na organizm dziecka. Zbyt ciasne ubranie jest szkodliwe dla zdrowia. Co do powietrza, to dodać i to jeszcze muszę, że ono psuje się nadzwyczaj w izbie szkolnej przez oddechanie dzieci; mało bowiem jest takich miejscowości, gdzieby stosunek objętości izby szkolnej odpowiadał należycie ilości dziatwy, w niej przebywającej. Z tego to powodu baczyć winniśmy, aby należna ilość świeżego powietrza zastępowała zawsze powietrze zepsute a ułatwić to bądźto za pomocą otwierania okien, bądź też przez inne stosowne środki. W końcu dodać wypada, że i regularna i odpowiedna porom roku temperatura w klasie niepośledną tutaj odgrywać powinna rolę.

Tyle o powietrzu. A teraz nieco o ruchu. Ruch dzieci w szkole jest niezbędnym środkiem przeciw karłowaceniu ich w ławach szkolnych. Trudno bowiem zaprzeczyć temu, że siedzenie kilkogodzinne w szkole przy natężonej mniej lub więcej uwadze, jest dla zdrowia dzieci nader niebezpieczne. Aby przynajmniej w części to złe usunąć, bo w zupełności jest to niemożebnem, potrzeba uważać na siedzenie przy pisaniu, rysowaniu i t. p. czynnościach, które, gdy się nieprawidłowo odbywają, pociągają za sobą zgubne następstwa. Jak się mają zachować dzieci przy wyżwymienionych zajęciach, nie będę tu opisywał, bo każdemu z nas mówiono już o tem, gdyśmy jeszcze na ławach szkolnych siedzieli.

Ważną bardzo jest w szkole gimnastyka. Ma ona tę znakomitą zaletę, że wprawiając w ruch wszystkie organa człowieka, przyczynia się do czyszczenia krwi i do wzmacniania sił, ustawicznem siedzeniem na ławie szkolnej nadwerężonych. Ponieważ natura dzieci jest ruchliwa, dla tego nie należy im wzbraniać ruchu, bądźto zarządzając przystanki czyli pauzy pomiędzy godzinami, bądź też zmieniając pracę umysłową na fizyczną i odwrotnie. Pauzy dla dzieci małych częstszemi być winne niż u starszych, a więc w każdą godzinę. W ogóle wpływać powinniśmy przedewszystkiem na ruchy dowolne u dzieci przy gimnastyce i zabawach. Pierwsza powinna być wszechstronnie w szkole udzielaną, aby mogła kształcić cały system muszkularny, drugie zaś budzą u dzieci fantazję, przytomność umysłu, odwagę i siłę, a ponieważ mają niejaką łączność z gimnastyką, dla tego winne być równie jak i ona w szkole pielęgnowane. Mam tu na myśli także wycieczki wspólne pod okiem nauczyciela i tak zwane majówki; życzyłbym sobie, aby takowe częściej się odbywały z powodu znakomitych wpływów na ciało i ducha, jakie wywierają. Miałbym jeszcze wiele do powiedzenia o zabawach szkolnych w ogóle, ale brak miejsca zmusza mię na razie do zaniechania dalszych wniosków w tej mierze.

Niepośledną rolę w wychowaniu fizycznem zajmuje także kształcenie zmysłów. Nie wspominam tutaj o tem, jak się je kształci w najpierwszej młodości, albowiem rzeczą to rodziców. Wspomnę tylko, jak należy kształcić zmysły w dalszym ciągu nauki, t. j. w okresie od 6—12 lat, kiedy dziecko nietylko pod opieką rodziców, ale i nauczyciela pozostaje.

Powinniśmy więc uważać, by dzieci nie psuły sobie wzroku zbyt bliskiem trzymaniem pisma i druku przy oczach, by nie czytały wieczorem, gdy słońce zaszło, jakoteż aby nie czytały ani pisały przy świetle mięszanem, by nie patrzyły w słońce ani w ogień, bo to szkodzi i t. d. Co się tyczy zmysłu słuchu, to ten kształcimy śpiewem i muzyką, które to dwa przedmioty a przynajmniej pierwszy ustalić pragnąłbym w szkołach wszelkich kategorij. Śpiew i muzyka

podnoszą człowieka ponad inne stworzenia, przyczyniają się potężnie do rozbudzenia w dzieciach poczucia piękna, uczucia estetycznego.

Zmysł dotyku kształci się w dzieciach, pielęgnując w nich rozwój nerwów i mózgu. Ponieważ mózg dziecięcia nie jest jeszcze w zupełności rozwinięty, więc rozwija się go nadzwyczajną bacznością. Bezwarunkowo należy wstrzymać się od targania za włosy lub za uszy, bicia po głowie, bo tego rodzaju kara może zwichnąć dziecko na całe życie, czyli uczynić zeń niedołęgę. Potrzeba również, aby nerwów, które z mózgiem w bezpośrednim są związku, zbyt wcześnie i zanadto nie natężać. Dopiero po skończonym 6-m roku życia powinno się dziecię kształcić, gdyż przedtem niemożliwą jest nauka. Jestem więc w zupełności przeciwny zwyczajowi w tej lub owej szkole przyjętym, że nauczyciele z „dobrego serca“ przyjmują dziecko przedwcześnie na prośbę rodziców do szkoły. Wprawdzie przyznaję, i wiem to sam z doświadczenia, że dziecię 5cioletnie czasami lepsze okazało postępy w nauce niż starsze, atoli żywię obawę, czy objaw ten przedwczesny nie wykaże zastoju w późniejszych latach? Najlepszym na to dowodem sławny Karol White, który licząc zaledwie lat kilkanaście, władał pięcioma językami, potem jednak zawiódł oczekiwania ojca.

Wychowanie duchowe odbywa się głównie przez naukę, jest ona bowiem środkiem ułatwiającym wykształcenie. Nauka ma cel dwojaki: 1) formalny, 2) materjalny, które w parze ze sobą postępować powinne. Przez udzielanie wiadomości kształci się ducha, któremu w ten sposób ułatwiamy myślenie, jakoteż porządkowanie nabytych już wyobrażeń. Nam w szkole ludowej idzie głównie o to, by myślenie u dzieci należycie się rozwinęło. W takim bowiem razie poznają obowiązki względem Boga i bliźniego, stają się cnotliwe, pracowite i drugim krzywdy nie czynią. Nauczyciel powinien wiedzieć, że nauka jest istotną częścią wychowania, że przez nią wytwarzają się wyobrażenia, które im jaśniejsze są, tem szlachetniejsze pociągają za sobą uczucia, z których wytwarza się następnie życie moralno-religijne. Im wiedza dziecię-

cia, które nam w opiekę oddano jest roztropniejsza, tem i wola tegoż lepszą się stanie, bo przecież wiemy, że wola najlepsza jest ta, która się rozsądkiem i rozumem kieruje.

Również i o tem wiedzieć powinien nauczyciel, że podczas wychowania domowego, dziecię nabiera wyobrażeń, jednak takowych nie porządkuje, w szkole zaś przeciwnie; powinno zatem dziecko nietylko wytwarzać różnorodne wyobrażenia, ale także porządkować je podług pewnych obmyślanych prawideł. Dlaczego tak się dzieje, pozna to łatwo każdy: przed 6-m rokiem życia bowiem dziecko nie jest w stanie porządkować nabyte wyobrażenia — co więcej wyobrażenia te nie są jeszcze jasne, nie są zupełne, w ogólności: nie są tak uporządkowane, jak się to dzieje w szkole, gdzie nauczyciel mając już dzieci... przynajmniej do pewnego stopnia rozwinięte, a posiadając przy tem niektóre odmienne od domowych środki naukowe, wpływa z daleko większym niż dom na dzieci skutkiem. Niezbędnem tu oczywiście jest, umieć dydaktykę, która nam podaje wskazówki, podług których postępować powinniśmy.

Główną czynnością przy wychowaniu duchowem jest rozwój uczuć, na co nauczyciel także baczność swą zwrócić powinien. I tak: uczucia estetyczne możemy wzbudzać u dzieci, gdy je zajmujemy pięknem. Piękno zaś streszcza się w przedmiotach natury, sztuki a wreszcie i w czynach ludzkich.

Pierwszym środkiem do wytworzenia u dzieci uczuć estetycznych, jest nakłanianie ich do porządku i czystości, której to czynności odwrotną stroną jest odwykanie od nieporządku. Kto przywykł do porządku, ten też łatwiej przyzwyczai się do czynności uporządkowania, a okoliczność ta wpłynie znakomicie na wytworzenie charakteru. Porządek zależy od wpływów, jakie się na dziecię wywierało, a zatem jest to rzeczą nauczyciela wywierać na dziecię wpływ taki, aby stało się kiedyś wzorem czystości.

Również i uczucia intelektualne należy wzbudzać u dzieci. Są to uczucia towarzyszące nam przy poznaniu prawdy i wyprzedzające jej poznanie. Nie ulega wątpliwości, że przyczyniają się dzielnie do

rozwoju dzieci tak w domu, jak i w szkole. Na uczuciach tych polega pewna metoda nauczania; jeżeli bowiem tak uczymy, że uczniowie zaczynają się stopniowo przyzwyczajać do myślenia, natenczas doznają oni przyjemności. Taka więc metoda byłaby przedewszystkiem w szkole ludowej pożądaną. W końcu dodać mi wypada, że uczucia intelektualne są niezbędne dla nas, gdyż na nich polega nasza wiara, a ponieważ człowiek bez wiary byłby zniżony do rzędu zwierząt i nieznałby wyższego życia prawdziwego, starać się więc należy wytwarzać w nim uczucia intelektualne.

Co się tyczy uczuć religijnych, to one wytwarzają się u dzieci podczas rozpamiętywania, podczas dumania, co je czeka w życiu pozagrobowem, jakoteż podczas myśli o Stwórcy, który wszystko utrzymuje i wszystkiem rządzi. Wytwarzanie tych uczuć u dzieci nie jest jednak rzeczą łatwą. Należy je zawczasu wzbudzać, bo dusza ma tę właściwość, że jeżeli w niej nie zajmą natychmiast miejsca uczucia dobre, to złe starają się do niej dostać. Powiedziałbym nawet, że matki większe mają tu pole do działania, aniżeli nauczyciele. Ponieważ dziecko wykładu naszego o Bogu nie pojmie łatwo, dlatego unikajmy udowadniania tej lub owej prawdy wiary, ale starajmy się, by z nauki naszej dzieci przeczuwały istność Boga.

Na końcu jeszcze słówko o uczuciach moralnych. Te również starajmy się wzbudzać u dzieci, najlepiej za pomocą przykładu. Wiemy bowiem, jak żywą jest natura dzieci i jak prędko przyjmują złe i dobre obyczaje domowe i szkolne. Dziecko stara się zawsze naśladować swoich rodziców i nauczycieli. Z początku nie rozpozna łatwo złych i dobrych ludzi i nie rozróżni takowych. Później dopiero odróżnia dobre od złego.

Miałbym jeszcze wiele do mówienia o rozwoju uczuć u dzieci, o poczuciu własnej godności, o wzbudzaniu w dzieciach współczucia czyli sympatji, o rozwoju woli czyli pożądania, wreszcie o posłuszeństwie, ale sądzę że zbytnio bym wykład swój rozszerzył. Zresztą myślę, że każdy mniej lub więcej doświadczony pedagog znajdzie należyte ku temu

środki, aby dzieci jego pieczy powierzone wykształcić na moralnych i prawych obywateli kraju, czego szczególniej życzę tym wychowawcom, którym dobro i wolność naszej kochanej Ojczyzny na sercu leży.

Rozbórz, 1. Maja 1887.

TOAST WYGNAŃCÓW

W ROCZNICĘ powstania styczniowego.

Wiersz czytany na bankiecie Emigracji Polskiej zamieszkałej w Belgji, dnia 22. Stycznia 1868, w Brukselli.

Jakiż toast wychylić w imię Polski zabitej?...
Popiół grobów ojczystych wsypać w urnę krwią ciepłą—
I z tą urną dymiącą iść na białe gór szczyty —
I z wysoka ją rozbić o pierś świata zakrzepłą!
Z dawnych marzeń płomiennych wielki ogień tam [skrzesić,
Żeby zemstą zajaśniał wpośród zbrodni wszechnocy—
Sztandar Polski rozdarty nad tym ogniem rozwiesić—
Potem w dłonie skrwawione porwać bardon sierocy,
I zawołać na Ludy strasznym głosem rozpaczy:
Nie widzicie, że z nami i was cary pochłoną!
Od dnia naszej ofiary świat wasz łupem siepaczy —
Na ołtarzu z Nadwiśla wasze trupy dziś płoną!...
Potem zaśmiać się głośno—by się nieba zbudziły!..
O, wy znacie, Rodacy, ten śmiech bolu i cześci!

Kto na śmiech ten grobowy w piersi dosyć miał siły,
Ten skamieniał na wieki — jako posąg boleści!
Nas już rozpacz nie złamie, ani ogień nie spali —
Bo my Matkę widzimy, jak Ją wrogi bezczeszczą —
Bośmy ze krwi i z bolu i z dziejowej my stali —
A pierś nasza tak wielka, że się wieki w niej mieszczą.
A więc, bracia-wygnańcy! Stójmy czyści na straży!
Czy za Krajem, czy w Kraju — i o głodzie, o chłodzie!
Naprzód, prosto i wiernie — jako zastęp husarzy
Walczmy, żyjmy z Narodem, dla Narodu, w Na-
[rodzie! —
Taki toast mój, Bracia, w tę rocznicę Powstania!...
O wolałbym zapłakać, bo me serce w żałobie —
O wolałbym wam śpiewać hymn samotny wygnania —
I wraz z wami uklęknąć na Ojczyzny mej grobie!
I wolałbym paść kornie na te smutne cmentarze,
I podsłuchać z za grobu Pacierz jednej nam Matki!
I na strunie ożywić bohatyrskie te twarze,
Co zginęły — lub giną wpośród śniegów Kamczatki!
Lecz łzy nasze są dla nas! Dla Ojczyzny krew nasza,
Bo nie łzami się Naród do Wolności wyniańczy!
Nasza pierś dla nadziei — nasza dłoń do pałasza...
A więc naprzód i z wiarą! — To mój Toast Wygnańczy!

Bruksella, 22. Stycznia 1868.

Henryk Merzbach.

Śmierć króla Artusa.

BALLADA

(z Geibla.)

Wygląda księżyc przez chmury
Na białe, morskie pobrzeże;
Tam trupów piętrzą się góry,
Artusa to są rycerze.

Tam leży z śmiertelną raną
Król, w ręku miecz obosieczny,
A przed nim zgina kolano
Bediwir, giermek waleczny.
„Panie! twarz twoja tak blada!
To pewnie rana tak piecze?“ —
„Ach! bardziej piecze mnie zdrada!“...
Tak na odpowiedź król rzecze.
„Obmowa nie zrani podła,
Gdzie serce winy umniejszy;
Lecz mnie najmilsza zawiodła
I zdradził mąż najwierniejszy.
„Ginewro i Lancelocie!
Ja wam ufałem bez granic.
Niech Bóg przebaczy podłocie,
Co przyjaźń miała mą za nic!
„Wtedy gdyście mnie zdradzili,
Wtedy i sława ma zgasła,
Z rycerstwem w stanowczej chwili
Honoru znikły też hasła.
„Wiek piękny cnoty upłynął,
Rozbój w krwi chce się zanurzyć;
Ja czuję, że czas mój minął,
Nie mi już życia przedłużyć!
„Żegnam cię, sługo mój wierny!
Widzisz ten okręt przed nami?
Tam po głębinie bezmiernej
Płynie, uwieńczon liljami.
„Bóstwo otacza swym wdziękiem,
Bóstwo kołysze do zgonu
Duszę niebiańskich harf dźwiękiem
I niesie do Awalonu!“

Sambor, 24. Lutego 1884.

G. Kohn.

SOCJALISTKA,

NOWELA

przez

Janinę Antonowiczównę.

Ulicą Florjańską w Krakowie szła szybko młoda 18toletnia może panienka. Kibić jej była wiotka, zgrabna, wzrost średni a twarzyczka zdobna w te wszystkie uroki, jakie daje natura swoim wszystkim wybrańcom. Z pod barankowej czapeczki wymykały się buntownicze pierścienie ciemnych włosów, rozsypując się po czole, po skroniach i szyi białej, bo włosy miała krótko obcięte jak chłopczyk. Przeszła przez bramę Florjańską, weszła na planty i skręciwszy na prawo, zwolniła kroku od czasu do czasu rozglądając się nieznacznie, jakby kogo oczekiwała.

Na kościele Marjackim uderzyła piąta, a jak na wieczór grudniowy była to pora dość spóźniona.

Nie przeczuwała zaś wcale, że opodal od niej krok w krok szedł za nią młody mężczyzna, śledząc okiem bacznie każde jej poruszenie. Kołnierz od zimowego paltota podniósł on do góry, kapelusz nacisnął na czoło, które mu się w poprzek głęboką zmarszczką przecięło, aż brwi groźnie się zbiegły a oczy spoglądały tak chmurnie za młodem dziewczęciem, iż dziwnem by się wydało obserwatorowi tych obojga, gdyby dojrzał iż za takiem ślicznem stworzeniem takie złowrogie i gniewne lecą wejrzenia. Cóż ona zawinić mogła, taka młoda i ładna, taki rzekłbyś kwiateczek wiosenny?

Młoda panienka szła coraz wolniej, ściemniało się już zupełnie, ona pochyliła głowę, zamyśliła się, spoważniała i nie zauważała nawet, jak na szerokiej alei zjawił się młody człowiek i przyśpieszywszy kroku zatrzymał się tuż przed nią mówiąc:

— Jak się masz, Winiu?

— Ach! toś ty Karolu, przestraszyłeś mnie.

— Tak? Przestraszyłem cię? Więc i ty, którą podziwiam nieraz jako wzór bohaterskiej odwagi — i ty nie jesteś wolną od owej kobiecej powszechnej słabości, zwanej drażliwością nerwów?

— Wybacz mi, okazałam się słabą, ale to się nie powtórzy więcej. O masz słuszność, ganiąc mię za to. Nam odwagi potrzeba. Odwagi takiej, któraby nie lękając się niczego, ani śmierci nawet, zdołała nas umocnić i siły podwoić.

— Sił, sił nam brakuje jedynie. Ci wszyscy ludzie chodzą po świecie bożym jak ciemni. Pojąć ich nie mogę. Jęczą pod stopami uciskających ich tyranów, a sami kark chylą coraz niżej. Gdyby stowarzyszenie nasze wzróść mogło w liczbę, gdyby szersze koła objęło jak morze płomieni i światła, gdyby przejrzeli owi wszyscy, którzy brną po omacku przez błotniste ścieżki i manowce, gdyby takich kobiet więcej było jak ty, moja Winiu — inną byłaby przyszłość narodu, inny zwrot w ukształtowaniu stosunków ludzkości całej. Zniknęłyby herby i tytuły, zniknęłyby rządy i korony, zniknęłaby nędza. Ludzkość stałaby się jedną rodziną wielką, miłującą się wzajem i powszechna wolność i równość stanów zastąpiłaby niniejszą kastowość, jaka się mimo wszelkiej cywilizacji do dziś rozwielmożnia. —

Zaiskrzyły się ciemne oczy dziewczyny, zarumieniła twarzyczka i wpatrzona chciwie w niego, połykała każde słowo, gdy mówił i wyciągnęła z uniesieniem dłoń ku niemu.

— Ale czy my zdołamy doprowadzić do tego, by marzenia nasze ciałem się stały, czy siły nasze na to starczą? Myśmy tak słabi jeszcze. Ach wierzaj mi, gdy jestem z tobą, twój zapał i mnie się udziela, twoja wiara wlewa się we mnie i wtedy silną się czuję i wytrwałą i odważną i wierzę, że nie prędko może ale przecie niezawodnie w pewnym terminie ujrzymy ludzkość całą, pogrążoną niemal w jakimś oceanie szczęścia, że ten brat nasz ubogi, zdeptany, wyrobnik dla grosza, zasiędzie z nami do jednego stołu do bratniej uczty. Wzrok twój, postawa całą wyrażają tylko miłość dla naszej świętej sprawy i zapał gorący

i wiarę, to też jak magnetyzer posłuszne woli swej medium, wiedziesz mnie za sobą w tę zaczarowaną, idealną krainę, gdzie znikają przesądy a panuje światło i strząsnąwszy zabobon jak proch z nóg swych, wchodzę w ten świat nowy, obcy dla mnie dotąd i chcę życie swe oddać, by sprawa nasza choć jeden krok poszła dalej — ale gdy ciebie nie ma ze mną, boję się, drżę na myśl odkrycia, tracę wiarę w powodzenie nasze. Karolu! dla czegóż tak rzadko do nas przychodzisz?

— Wiesz, Winiu droga, że jabym rad zawsze być tam, gdzie ty jesteś, ale u was w domu musimy przecie zachowywać tysiączne ostrożności, liczyć wyrazy, naginać się do wszystkich konwenansów a przytem ciotka twoja ze swoją bigoterją i pruderją i te siostry twe, pochylone nad swemi krosienkami automatyczne prawie, nie są wcale towarzystwem dla mnie odpowiednem.

Zabolało to Winię, drasnęło trochę, że Karol tak się lekko o jej krewnych wyrażał, bo chociaż sama w duszy zapatrywania jego podzielała, nie lubiła jednak, by on tak się jawnie z tem lekceważeniem popisywał. Pominęła to więc milczeniem, bo zdawało się jej, że sobie ujmie blasku tej wyższości nad drugiemi kobietami, gdy się ujmie za niemi a próżności przecie trochę można ostatecznie darować 18toletniemu dziewczęciu, szczególnie takiemu jak Winia. Zapytała natychmiast:

— Dla czego tak późno dziś przyszedłeś?

— Pracowałem — odpowiedział.

A kłamał bezczelnie, w tej chwili bowiem wyszedł z piwiarni, gdzie chyba „pracował“ nad wychyleniem bomby Okocima.

— I ja dziś pracowałam dzień cały. Ukończyłam już tłumaczenie tej niemieckiej broszurki o „emancypacji kobiet“, zdaje mi się, że dość dobrze wypadło, bo pisałam z zapałem po nocach bojąc się, by kto nie dostrzegł. Dziś byłam sama parę godzin i wykończyłam. Oto masz do poprawy a potem daj Boże, do druku.

On wziął podany sobie zeszyt i ukrył w kieszeni paltota.

— Dziękuję ci Winiu za twą gorliwość w imieniu całego stowarzyszenia, ale wierzaj mi, że czasem w obec ciebie zbiera mię ochota wyrzec się zasady mojej, że wszyscy zarówno pracować powinni — nie chciałbym, byś ty pracowała, ty już spełniasz zadanie swe tem, że jesteś, (a jesteś taką miłą, śliczną, uroczą,) tak jak kwiat spełnia swe zadanie tem, że kwitnie, jak gwiazda tem, że jest, bo świeci.

— Nie Karolu! ładna czy brzydka, nie jestem gwiazdą ani rośliną, lecz człowiekiem a tem samem myśleć i działać powinnam, by życie me nie było życiem pasożyta.

— Jak ty serjo to bierzesz, Winiu moja! Dziwną jesteś czasem, jakby dwie istoty były w tobie; taka wesoła jak motylek, to znów surowa jak rzymska matrona.

— Mnie się zdaje, że zadanie mamy zbyt poważne, by się nie przejąć powagą.

— O znów powaga, a tak to mówisz, że doprawdy ja choć duszą i ciałem demokrata i anarchista, w tobie widzę królowę i ścielę się pokornie za skinieniem twego berła, będącego symbolem nieograniczonej władzy, jaką włada piękność i miłość.

— Karolu! nie zapominaj, że mówisz do kobiety, która jest narzeczoną innego.

— Ach doprawdy zapomniałem. Bo też Winiu, zapomnieć łatwo: tyś z iskry i ognia, on z wody czy limfy, spokojny, lepi sobie z gliny posążki, odlewa je z bronzu lub pisze poezje, gdy mu czas pozwala, a zresztą pisze w biurze jak diurnista pomimo doktorskiego dyplomu. Cha cha cha! on twój narzeczony! On taki.....

— Karolu! przestań! ja tego słuchać nie mogę, wszyscy nie mogą być jednakowi. Zresztą ojciec mi go wybrał i powiedział, że z nim będę szczęśliwą.

— A ty go kochasz?

— Czyż byłabym inaczej narzeczoną jego?—zawołała dziewczyna dumnie.

— Przecież się nie rozumiecie nawzajem.

— Gdzie jest miłość, nie potrzeba zrozumienia — odpowiedziała szorstko trochę.

— Przebacz Winiu — odezwał się Karol a głos mu drżał trochę tym jakimś pieszczonym szmerem

miłości, który powstaje z uczucia a którym się niezgorsza posługują artyści w teatrze.

Dwa te wyrazy tylko wymówił, a już stopniała uraza dziewczyny, coś w oczach niby łezka zabłysło i znikło, ona kochana, pieszczona od wszystkich, nie była jeszcze oswojona z przykrościami, było w niej coś z dziecięcia i z poważnej kobiety zarazem. A dzieci płaczą tak łatwo.

— Już przebaczyłam — odrzekła i wesoło się zaśmiała, istny obraz motylka, jak to Karol powiadał — ale już dobranoc na dzisiaj.

— Ach już — znów tak słodko ozwał się Karol — i patrzył w nią okiem magnetyzera.

Tą razą jednak medium nie poszło za jego wolą.

— Już późno, nic mi dziś nie przyniosłeś.

— Widzisz, gdym z tobą, wtedy zapominam o wszystkiem. Przyniosłem ci bruljon mego odczytu, który mam mieć na posiedzeniu pojutrze, ale proszę cię, oddaj mi go jutro, bo jeszcze przepisać muszę.

— Pozwól mi to uczynić.

— Za nic Winiu! ty się masz męczyć nad tem — nie — stanowczo nie!

— Ale ja proszę.

— Proś o co innego, tego uczynić nie mogę, Winiu, bo ci go wezmę napowrót.

Ale ona ukryła już w zarękawku zwitek papieru.

— Królowej winieneś posłuszeństwo — rzekła z przybraną powagą.

— Ha, składam broń!

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Podali sobie ręce jak koledzy.

Karol przytrzymał jej rączkę i zapytał:

— A jutro jak zwykle tutaj?

— Tak, tutaj.

— Do widzenia.

I rozeszli się.

Spiesznie szła Winia do domu, minęła szkołę sztuk pięknych, rzuciła tam wejrzenie, bo tam często przebywał ów człowiek z wody czy z limfy, jak Karol powiedział, narzeczony jej.

— Dla czego on takim nie jest, jak Karol? — myślała, porównywała obu, a źle gdy miłość porównywać poczyna. Jeden stracić musi.

Przeszła Kleparz i weszła w ulicę Kurniki, latarnie już się świeciły i tam dość już daleko przy końcu prawie weszła do małego, parterowego domku. Smutno tam było w tej części miasta, pulsy tego życia wielkomiejskiego słabszem tętnem uderzały. Częściej jawiły się oku ujemne strony ludzkiej egzystencji i obszerne pole dla takiej głowy marzycielskiej.

W pokoiku świeciła się już lampa, dwie młode panienki siedziały przy stole. Jedna czytała głośno jedną z najnowszych powieści Sieńkiewicza, to arcydzieło literatury, osnute na tle narodowej historji, a rumieńce wybiły się jej na twarz od zachwytu, druga robotę na kolana opuściła, złożyła ręce jak do modlitwy, cała zasłuchana w tę powieść prześliczną. Matka siedziała na sofie i robiła pończochę, rzucając często oczyma z poza okularów na czytającą, a nawet pończocha odpoczywała od czasu do czasu. Dziwnie miłą była twarz staruszki. Czerstwa jeszcze, siwemi otoczona włosami jak ramką z błyszczącego srebra, z wyrazem dobroci i powagi i śladami piękności, której żywa pamiątka pozostała w kwitnących, pięknych twarzach obu córek. Cały obrazek ten pełen prostoty i naturalności, taki był świeży, nęcący urokiem,że chwyciłby za serce każdego, kto ideału dobra nie szuka na manowcach.

Inaczej się to Wini zapewne widziało, bo szyderski uśmiech przewinął się po drobnych usteczkach, gdy okiem powiodła po wszystkich i gdy wzrok najdłużej zatrzymała na pończosze staruszki, którą ucałowaniem w rękę powitała. Czytanie się przerwało, Winia wybiegła do drugiego pokoju, a w tej chwili właśnie wszedł ów człowiek, któregośmy widzieli idącego za Winią, gdy dążyła przez planty. Był to Szczęsny, narzeczony Wini. Blady był z groźną zmarszczką na czole, snać kipiała w nim burza gniewu i bolu, a mocą się powstrzymał od wybuchu.

— A nie spotkałeś też Wini, dopiero wróciła

— zapytała staruszka całując go w głowę, jak to zwykle czyniła, bo go od dziecka znała i kochała jak syna.

— Widziałem ją i tak szła prędko, że nie mogłem zdążyć.

Zaśmiały się wszystkie.

— No, nie tęgi z ciebie żołnierz — rzekła staruszka, kiedy chodzisz tak pomału.

— On poda się pewnie do konnicy, choć go właśnie do piechurów wzięto — zawołała Marynia, zamykając książkę i kładąc ją na stole.

— Układałeś nową grupę w myśli, o muszę ci też pomyślną powiedzieć nowinę, gliny ci przywieziono ogromną bryłę — krzyknęła Tonia podając mu rękę — siadajże! Cóż ci to? chory jesteś? takiś blady.

— Wojsko tak go trapi — żartowała Marynia.

Winia stanęła we drzwiach, Szczęsny podszedł by jej rękę podać. Bledszą też była niż zwykle.

— Tak długo dziś cię nie było, Winiu — rzekła Tonia — bałyśmy się trochę o ciebie.

— Ta nieznośna Francuzica mnie zatrzymała — odpowiedziała Winia a wysunęła równocześnie rękę swą z ręki Szczęsnego, bo w kłamstwie wprawną nie była. Twarz jej krwią się oblała a surowy wzrok narzeczonego przybił do ziemi prawie.

Nikt prócz niego tego rumieńca nie widział. Ciotka oczka liczyła w pończosze, Tonia szyła, Marynia odeszła od stołu, bo służąca wniosła właśnie samowar, więc trzeba było się zająć przygotowaniami do herbaty.

— Pozwól Maryniu, ja dziś przyrządzę do herbaty — zawołała nagle Winia i skoczyła ku kredensowi.

Marynia ustąpiła a Winia krzątała się i przewlekała umyślnie z podaniem herbaty, bo lękała się chwili, kiedy usiądzie przy jednym stole ze Szczęsnym, który od niejakiego czasu już był tak nieznośnym. Patrzył tak badawczo i surowo a dziś to już zupełnie dziwnie się zachowywał. Mówił mało jakby z przymusu, niby gwałt sobie zadawał, usta mu zacinały się goryczą jakąś a chwilowo tak się zamyślał, że robił wrażenie człowieka nieprzytomnego.

Poczciwa staruszka i obie panienki wierzyły doprawdy, że z powodu służby wojskowej taki strapiony, tem bardziej iż myślał, że go przeniosą. Winia ani odgadywała, ani starała się odgadywać przyczyny tej zmiany. Czuła się niby winną w obec niego, a z drugiej strony tak była pewną siebie i słuszności swego postępowania, iż zdawało się jej, że te badawcze i chmurne wejrzenia i zmiana w postępowaniu są krzywdą jej wyrządzoną, uwłaczają jej niewinności. Raz gniewała się na niego, to znów się go bała, to żal tam po trosze się wkradał do serduszka, choć przyznać się i przed sobą nie chciała. Ona pragnęła zbawienia ludzkości całej, ci się zamknęli w ciasnym egoizmie i żyli dla siebie. Ona ma słuszność, ona tylko, ona!

Podała wreszcie herbatę i przekąskę, wszczęła dysputę z Marynią na temat literacki, wzięła za treść czytaną przedtem powieść i dowodziła, że autor chybia we wielu względach, szczególnie zaś przestarzałego trzyma się trybu, podnosząc zasługi oręża i siły, podczas gdy dziś człowiek stanął na takim stopniu cywilizacji, że brutalność i dzikość pierwotna nie może mieć zastosowania.

— Ależ autor nie wypowiada tu swoich przekonań, maluje tylko przeszłość taką, jak była — broniła Marynia.

— Prawda, jednak z tego zapału z jakim pisze, widać pewne rozmiłowanie się w tej epoce barbarzyńskiej, kiedy możny deptał po głowie biednego.

— Gdyby zmienił koloryt, nie byłoby historji i wyglądałaby ta powieść jak one wizerunki świętych w modnych tużurkach, pojawiające się czasem na jarmarkach. Cóż za cel podobnego malowania przeszłości chyba, aby nam ją obrzydzić.

— Albo do rozbudzenia gorętszego ku niej przywiązania, to przyznać musisz, że naród polski był narodem rycerskim, trudno mu więc dać kłębek bawełny w rękę i zrobić go przemysłowcem.

— Szkoda, że się nie rozumiemy.

— Musiałabyś jaśniej swe myśli wypowiedzieć, bo tak jak ty to czynisz, wyrozumiałam tylko antypatję ku naszej przeszłości.

— Żal mi talentu, który lepiej mógł być spożytkowany, gdyby autor teraźniejsze stosunki obierał sobie za temat i gdyby hołdował postępowi.

W tym rodzaju rozmowa trwała dalej, ale rwała się ciągle. Winia i Szczęsny psuli harmonję.

Wkrótce po herbacie powstała Winia i odeszła do swego pokoju tłumacząc się, iż ma jeszcze ćwiczenia pisemne angielskie do zrobienia na jutro, ucałowała ciotkę, uścisnęła siostry i końce białych palców podała Szczęsnemu.

— Cóż to za dąsy między wami? — zapytała pani W. Szczęsnego po odejściu Wini. Patrzycie na siebie z ukosa, nie mówicie do siebie.

— Zdaje mi się, droga pani, że ten nasz stosunek doprawdy dziwnie się składa. I kto wie... — nie skończył zdania Szczęsny, wstał, pożegnał wszystkich i wyszedł do swego mieszkania, znajdującego się na tem samem podwórzu.

Długo chodził po pokoju, północ minęła, a on jeszcze nie myślał o spaniu. Stawał często przy oknie wpatrując się w okno Wini oświetlone, zasłonione białą firanką, na której rysował się cień jej główki, pochylonej nad biurkiem.

Skoro usunęli się ci wichrzyciele pokoju, znów pani W. i Tonia zajęły się swemi robótkami a Marynia chciała czytać dalej, ale myśli ich biegły za nimi obojgu.

— Jak się Winia zmieniła teraz, nieprawdaż mamo? — zauważyła Tonia.

— Niestety prawda, moje dziecko, trudno jej poznać, takie dobre było dziewczę, takie miłe a teraz sama nie wie, czego pragnie. I to się rozpoczęło od czasu, kiedy ta Warszawianka przyjechała do Olimpii. Winia tak do niej przylgnęła, siedzi tam zawsze u niej i chodzą razem na spacery.

— Olimpia i mąż jej podobno nie lubią tej panny Kamili, mówią że to socjalistka — rzekła Tonia.

— Bardzo być może, ale to przecie niepodobna, aby Winia wdawała się w takie sprawy socjalistyczne.

— Kto wie, mameczko, ona teraz coraz inne wygłasza zdania i teorje, zakrawujące na socjalizm.

— Winia socjalistką — zawołała śmiejąc się Marynia — to wyborne. Przecież widzę, że ani mama, ani Tonia nie odgadły przyczyny prawdziwej.

— Której i ty chyba nie odgadniesz — rzekła Tonia.

— Już ją znam dawno.

— Ciekawam.

— Przyczynę nazwę imieniem męzkiem, i to jedno wystarczy — Karol!

— Ona zgadła, mamo — zawołała Tonia — doprawdy, że zgadła.

Około 10-tej godziny udano się na spoczynek. Winia rzuciła się z gorączkowym zapałem na rękopis Karola. Twarz jej pałała, upojoną była temi teorjami, które się w osnowie odczytu rozsuwały. Gdy przeczytała, zamyśliła się, a myśli jej biegły daleko w przyszłość szczęśliwą, wymarzoną, wyśnioną, ku nowemu porządkowi społecznemu. Widziała się szczęśliwą i w koło siebie widziała same uśmiechy zadowolenia, szmery radości, odgłosy błogosławieństw. Lecz wśród tych marzeń o samej radości, wśród tych blasków szczęścia ogólnego patrzyło na nią dwoje oczu smutnych, poważnych z bolem i wyrzutem surowo i groźnie.

— Dla czego on mnie potępia? — pytała się w myśli. Nie dziwię się cioci i jej córkom. One myślami nie wybiegają po za sferę codziennego życia, ale on! Choć prawnik z zawodu, tak kochający sztukę, artysta sercem i duszą, dlaczego on mnie nie rozumie? Zmienił się tak. On mnie chyba nie kocha! Tak, to jest pewnik niezbity. Gdyby mnie kochał, nie mógłby być tak surowym, tak lodowatym — zresztą czemu się nie zbliży, nie spyta? Wyznałabym mu wszystko otwarcie, możebym go pozyskać mogła dla naszej sprawy! Niestety! Wszystko się skończyło między nami, dzieli nas cała przepaść zapatrywań i przekonań!

Otrzęsła się z dumań i pisać poczęła, unosząc się niekiedy falą własnych myśli i wplatając je do odczytu; pisała długo w noc późną.

Parę tygodni od tego czasu ubiegło. Raz około 3-ciej popołudniu weszła Winia do mieszkania Olimpii. Olimpia była daleką kuzynką pani W. Mąż jej był

urzędnikiem pocztowym. Przed kilku miesiącami zjawiła się u niej p. Kamila, nie młoda już, brzydka, pochmurna osoba z listem od znajomych jej z Warszawy, w którym to liście proszono ją, aby Kamili ułatwiła pierwsze kroki w Krakowie, gdzie jest obcą zupełnie i jeśli można, aby ją pomieściła u siebie. Olimpia miała mieszkanie aż nadto obszerne, odstąpiła więc Kamili jeden pokoik, w którym stara panna się rozlokowała, zakładając pułki i szafy książkami i papierami, służącemi jej jak mówiła do literackich studjów. Był to egzemplarz kobiety „haec mulier“ w całem znaczeniu tego słowa bez odrobiny wdzięku kobiecego lub łagodności uczucia. Rysy twarzy jej były męzkie, a gęsto omszona górna warga jeszcze bardziej dodawała surowości niemiłemu obliczu. Chuda, sztywna i zimna w obejściu, ożywiała się niekiedy, rozpalała się do swoich idei, i wtedy stawała się inną zupełnie. Ożywiała się surowa fizjognomia, rozjaśniały oczy małe, siwe i wpadając w zapał, mówiła gładko i wiele i z takiem przekonaniem, że łatwo i na drugich wrażenie wywierać mogła.

Winia z początku z niej żartowała, w końcu się trochę zaciekawiła, bo widziała w niej zagadkę, a z rozwiązaniem zagadki uległa jej wpływowi zupełnie. Reszty dopełnił Karol, który był częstym gościem Kamili i za pośrednictwem Olimpii i jej męża wplątał się w towarzystwo pani W., z czego ta ostatnia jednak nie bardzo była rada, choć nic mu nie można było zarzucać. Gładki był, dowcipny, przystojny, pełen uszanowania dla kobiet, lecz coś nieokreślonego przecież w nim było, co odpychało od niego. Przed Olimpią i jej mężem również jak i przed panią W. i przed jej córkami zachowywano ścisłą tajemnicę. W młodej, pojętnej i egzaltownej Wini znalazła Kamila wyborny materjał do zaszczepiania tej ospy socjalistycznej, która też rzeczywiście przyjęła się nadspodziewanie dobrze.

Kamila była sama w domu, co też Winię niezmiernie ucieszyło; po uściśnieniu dłoni rzuciła się zmęczona na krzesło, podając równocześnie Kamili zeszyt w trąbkę zwinięty.

— Oto moja praca, Kamilo! Ile mogłam znaleźć konceptu w mej głowie, zużyłam go, aby dowieść, jaki wpływ mieć może kobieta na rozwój socjalizmu — niestety będzie to czytane na posiedzeniu naszego stowarzyszenia, a te kobiety, które należą do nas, które bywają na posiedzeniach, nie potrzebują zachęty. Jabym chciała koniecznie nowe zwerbować siły.

— I to cię martwi, Ludwino? Nadto młodą jesteś jeszcze, kiedy nie jesteś w stanie ogarnąć okiem całej potęgi socjalizmu. On jest już wszędzie we wszystkich sferach społeczeństwa, jak światło słońca wciska się pod dach każdy z falą powietrza na skrzydłach burzy. Ucisk, przewaga możniejszych, potęga władzy — oto najlepsi nasi sprzymierzeńcy, a nędza, głód, krzywdy nasze — to najgłówniejsi heroldowie, którzy ogłaszają przyjście zbawienia ludzkości całej. Im większy ucisk powstanie, tem prędzej staniemy u celu. Dziś w każdym niemal człowieku uciśnionym tkwi wewnątrz niego w duszy jego socjalista, acz z niezrozumienia siebie lub z obawy nie śmie się przyznać do tego. Brakuje ci zmysłu spostrzegawczego Ludwino, nie widzisz tych objawów, nie dziwię się, młodą jesteś, lecz młodość właśnie niech ci da wiarę, a wiarą pokonasz wszystko.

Z nabożeństwem niemal słuchała Winia tej całej oracji i skruszona się czuła, że tak daleko za nimi wszystkimi pozostaje. Nie znało siebie biedne, niedoświadczone dziewczę. Nie wiedziała, że ona cały żar młodzieńczy fantazji i poświęcenia niosła w ofierze na ten ołtarz, na którym tamci składali resztki niedopalonych namiętności.

— Okropne jest moje życie — wybuchnęła Winia na pół z płaczem prawie. Od tylu miesięcy już do was należę a nie mogłam ani razu być na posiedzeniu. Strzegą mnie jak więźnia ciotka, siostry, Szczęsny. Lecz się wymknę czasem do ciebie. Widywałam się z Karolem nieraz, teraz i tego nie mogę.

— Mówił mi Karol, podobno was Szczęsny wyśledził.

— Spotkał mnie raz z Karolem na plantach — kiedyż to było? — poczekaj — w zeszły wtorek. Szliśmy razem, wtem patrzę vis à vis nam zbliża

się Szczęsny, ukłonił mi się i spojrzał tak surowo jak sędzia na delinkwenta. Podniosłam wprawdzie głowę z dumą, przeszłam koło niego, cóż kiedy jak na złość zaczerwieniłam się niezmiernie i przed jego wejrzeniem spuściłam oczy.

Wykrzywienie jakieś mające być niby uśmiechem, przemknęło błyskawicą przez usta Kamili na to naiwne wyznanie, ale wnet wracając do swej roli odezwała się poważnie:

— Rumieńce twoje i ta nieśmiałość, to skutki wychowania pełnego przesądów i zabobonów, a surowość Szczęsnego toż samo. Ciemnota i nic więcej! Mężczyźni chcą zawsze widzieć kobietę jako swoją własność, im wyłącznie oddaną, uśmiechniętą, skaczącą koło nich niewolnicę. Radziby ją może jak Turcy owinęli zasłoną, by nikt ich twarzy nie dojrzał. Przecież sam rozum powiada, że nic w tem złego, gdy dwie istoty wolne idą za głosem sympatji i używają praw tych, jakie dotąd wedle pojęć zacofańców wyłącznie mężczyznom przysługują. Nie zważaj na to, Ludwino. Będąc narzeczoną, nie jesteś przecież niewolnicą. A gdyby w istocie tak dalej być miało, czyż nie lepiej zerwać więzy teraz, niż zaprzedać się w niewolę na całe życie?

Nie podobało się trochę Wini ostatnie twierdzenie Kamili, bo nic na to nie odpowiedziała. Zresztą w marzeniach swych o owej swobodzie i wolności umieszczała siebie zawsze ze Szczęsnym razem jako jego żonę. Pomijając więc tę kwestję milczeniem, zapytała:

— Czy zawsze będą te posiedzenia odbywać się tak późno?

— Zawsze, bo w dzień niebezpiecznie. Policja mogłaby nas wyśledzić.

— To ja chyba nigdy u was nie będę.

— Energii ci brakuje. Powiedz ciotce, że idziesz ze mną do teatru, udamy się tam rzeczywiście a potem wyjdziemy wcześniej, powiedz później, że ci się słabo zrobiło i że u mnie na noc zostałaś, bo znacznie bliżej z teatru. Ostatecznie ja cię sama na drugi dzień do domu odprowadzę i wytłumaczę.

— Ach wybornie! złota myśl! Kiedy nastąpi posiedzenie?

— W sobotę.

— Dobrze, więc w sobotę. —

Wkrótce i Karol się zjawił. Opowiedziano mu o ułożonym projekcie. Ucieszył się nim bardzo. Patrzył na Winię tym wzrokiem wężowym, który ubezwładnia ofiarę. Dziwna rzecz jednak, że mimo całego wpływu i przewagi, jaką miał nad młodem dziewczęciem, serca jej nie podbił. Ona marzyła o nim, wierzyła w niego, unosiła się nad jego doskonałością i wyższością, ale kochała Szczęsnego.

Od Kamili poszła Winia na lekcję francuzkiego języka, nie pozwoliła Karolowi, by ją odprowadzał, dla zachowania ostrożności jak mówiła a rzeczywiście dla tego, że obawiała się, by ich Szczęsny nie spotkał. Wróciła z lekcji wprost do domu. Szczęsny znów szedł za nią z dala.

W tym samym czasie kiedy Winia była u Kamili, Olimpia przyszła do pani W. Oburzona była na tę jak ją nazywała „Warszawiankę;“ bo Kamila sama często nacisk kładła na to, że jest Warszawianką. Powiedziała, że ją stanowczo podejrzywa o socjalistyczne intrygi, bo się włóczy wieczorami z książkami jakiemiś i papierami. Wraca późno w nocy. Schodzi się z rozmaitymi ludźmi podejrzanego pochodzenia. A wszystko po cichu, w tajemnicy. Ubolewała równocześnie, że Winia tak się z nią przyjaźni i zakończyła tem, że się jej zdaje, jakoby Kamila i Karol usiłowali ją wciągnąć do związku socjalistów.

Zakłopotała się staruszka nie mało tem odkryciem i zaraz na drugi dzień zwierzyła się z tej troski Szczęsnemu.

Dziwna rzecz jednakże, że Szczęsny wcale się tem nie zmartwił. Owszem jakby mu ciężar spadł z serca. On Winię podejrzywał, iż to stosunek miłośny ją wiąże z Karolem. Czekał tylko sposobności, by się o tem przekonać a wówczas odkryć wszystko ciotce i ojcu Wini, który mieszkał w małem, prowincjonalnem miasteczku. Tymczasem śledził ją, ale ponieważ pierwsza doza lekarstwa — owo spotkanie na plantach — było skuteczne, bo od tego czasu nie widział jej

z Karolem, więc zaniechał chwilowo dalszych kroków. Postanowił jednak niedopuścić, by się kiedykolwiek znów zeszli razem, a przynajmniej przeszkodzić temu. Bo Winia narażała się na niebezpieczeństwo w każdym razie. Nic łatwiejszego, jak narazić raz na szwank dobrą sławę, ale odzyskać ją napowrót białą, promienistą, na to i życia nie wystarczy. Świat uzna poprawę, ale zawsze znajdzie się ktoś niepowołany, kto dawną plamę wyciągnie na wierzch. Zresztą ci nawet co w złe faktycznie nie wierzą — choć inaczej są przekonani, powtarzają za drugimi.

Pani W. niedomyślała się, jakie podejrzenia szarpały Szczęsnego od kilku tygodni, bo nigdy nic o tem nie wspominał nie będąc pewnym faktów, a dla samych podejrzeń nie chciał rzucać cienia na Winię nawet w obec jej ciotki. To też dziwnem się jej wydało, że Szczęsny całą tę sprawę tak lekko traktuje. Szczęsny jednakże wolał widzieć Winię socjalistką, niż zakochaną w innym, a w dodatku tak jakoś dziwnie pokryjomu. Tracąc ją tracił zarazem szacunek dla niej a to podwajało żal jego. Teraz i te schadzki z Karolem w innem świetle mu się przedstawiały.

Uprosił też panią W., by mu na własną rękę działać pozwoliła i przyrzekł, że Winię uleczy z socjalizmu.

Wieczorem jednak gdy go cisza ogarnęła, począł zastanawiać się nad całą tą sprawą i przyszedł do przekonania, że nie jest ona bynajmniej tak małoznaczącą, jak mu się w pierwszej chwili wydała. Łącząc się ze socjalistami postąpiła Winia śmiało, zuchwale a tem samem dała dowód, że lekceważy sobie jego miłość, że jej mało na nim zależy, że nie dba o niego, skoro go tak łatwo dla mrzonek swoich poświęca. A drugą okolicznością obciążającą ją również było to, że nie wahała się, bez rady ojca, który ją kochał nadewszystko, pójść za podszeptami ludzi obcych, nieznanych jej przedtem wcale. Dla nich poświęcała ojca i nie myślała o tem nawet, jaką boleść mu wyrządzić może. Jaką żoną, jaką matką będzie taka córka, choćby nawet wróciła z tej drogi karkołomnej, na której krok każdy niemal grozi upadkiem! A czy wróci tak czystą, niewinną, swobodną, jaką przedtem

była? Myśli te wszystkie niezatartym pewnie stygmatem wybić się musiały na duszy i ślady pozostawić na zawsze! A zresztą czy kocha go jeszcze? Ten Karol przecie widuje się z nią, rozmawia, a Karola znał tak mało, nie wiedział jak go ocenić, i znów dawne podejrzenia kłuły go jak osy żądłami zazdrości. Radby był zmiażdżyć go i zdeptać. Zaciskał pięści, targał włosy, chodził po swej izdebce aż późno w nocy usnął znużony a sen go uspokoił i przyniósł zapomnienie chwilowe.

Przez parę dni była Winia znów inna, podobna trochę do tej dawnej, pustej, wesołej panienki, przymilała się ciotce i siostrom i rozmawiała ze Szczęsnym, który był nadzwyczaj zdumiony tą zmianą.

Aż nadeszła sobota.

Zrana gdy siostry zajęte były obie, zbliżyła się Winia do ciotki i rzucając się jej na szyję, rzekła:

— Ach ciotuniu! ciotuniu! mam taką prośbę wielką, czy mi ciocia zrobi, o co poproszę?

— Powiedz, czego chcesz, jeśli będę mogła, to zrobię.

— Może ciotunia, może, a więc już, pewnie! Prawda?

— Nie, moja Winiu! Jeszcze nie wiem, powiedz wpierw.

— Panna Kamila idzie dziś do teatru, niech mi ciotunia pozwoli pójść z nią.

Po ostatniem widzeniu się z Olimpią, pani W. wiedziała już stanowczo, jak sądzić o Kamili, to też nie chciała pozwolić Wini i powiedziała jej nawet otwarcie, że wszyscy podejrzywają Kamilę o socjalistyczne agitacje, więc nie chce, aby cień tych podejrzeń padł na Winię, że nie wypada jej chodzić z osobą, która prędzej lub później będzie publicznie skompromitowaną.

Winia jednak długo prosiła, przedstawiała, że ją nic nie obchodzi, czy Kamila jest socjalistką czy nie,byleby tylko poszła do teatru, dziś raz jeden. Ostatecznie odłożyła pani W. tę sprawę na popołudniu, chcąc się porozumieć ze Szczęsnym, któremu ufała znając praktyczność jego zapatrywań. Zresztą nieraz przedtem chodziła Winia z Kamilą do teatru

a Szczęsny je potem odprowadzał do domu pani W. a potem znów Kamilę do jej mieszkania.

Szczęsny, którego pani W. w niebytności Wini o jej życzeniu uwiadomiła, schmurzył się, zamyślił, ale postanowił być w teatrze i śledzić ją bacznie. Zrazu namawiał panią W., aby także poszła, ale potem namyślił się inaczej i powiedział, że pójdzie sam, ale ukryje się w tłumie, aby mógł wszystko widzieć niespostrzeżenie.

Około piątej wieczorem Winia rozgorączkowana jakaś z błyszczącemi oczami i rumieńcami na twarzy, pożegnała ciotkę i siostry i poszła do Kamili. Szczęsny zajął stanowisko obserwacyjne w cukierni przy oknie, zkąd widać było mieszkanie starej panny. Zajął się przeglądaniem dzienników dla upozorowania swej bytności, a chociaż ciemno było na ulicy, latarnia gazowa rzucała światło na drzwi wchodowe do kamienicy, będącej przedmiotem jego obserwacji. Około siódmej już było, gdy smukły, wysoki mężczyzna przeszedł koło cukierni i wszedł do tych drzwi, do których właśnie Szczęsny wejrzenia swe niecierpliwie posyłał. W mężczyźnie tym poznał Karola. Zdawało mu się, że ziemia mu się z pod nóg usuwa. Krew falą biła w skroniach, w sercu — szumiało w głowie, złość jakaś, gniew, żal jak kleszczami go chwytały — teraz już miał w ręku rozwiązanie zagadki. Winia tam poszła na schadzkę z Karolem. A Kamila — ten potwór obrzydły — była pośredniczką, ona ośmieliła się frymarczyć szczęściem Wini i jego własnem. Ona targnęła się na tę niewinną młodą dziewczynę, by ją zbrukać, splamić, wyzyskać jej niedoświadczenie. Ha! wyratować musi ją Szczęsny lub pomścić, jeśli za późno! Tak pomyślał, i chciał już się porwać i biedz tam do nich; powstał już nawet z krzesła, dłonią powiódł po czole, — na szczęście nie było nikogo w cukierni, tylko chłopak z za lady ciekawie się w niego wpatrywał. — Lecz pocóż tam pójdę? — nasunęło się zapytanie. I po tem zapytaniu nie mogąc znaleźć odpowiedzi, jakby złamany usiadł na powrót i wlepił oczy w ową zaklętą kamienicę. Dumał, rozmyślał, truł się myślami i poił własną goryczą, na Marjackim kościele uderzył kwadrans na ósmą, gdy z progu kamienicy wyszła Winia w towarzystwie Kamili

i Karola. Stanęli, pomówili chwilkę, światło padło wprost na twarz Wini, gdy rozpromieniona, uśmiechnięta, z oczyma podniesionemi na twarz Karola, podawała mu rękę na pożegnanie, bo on w przeciwną odchodził stronę.

Prędko wyszedł Szczęsny za niemi i gdy weszły do teatru, zapytał przy kasie o numera miejsc, które wzięły a sam wmięszał się w tłum i stawał tuż przy drzwiach wchodowych, czekając co dalej będzie.

Grano Urjela Akostę.

Przy końcu aktu powstały obie, Kamila i Winia, i zbliżyły się do drzwi wchodowych.

Zadrżał Szczęsny, oddech prawie zatrzymał w sobie, bał się, by go nie dostrzegła; ale Winia szła z głową podniesioną, patrząc wprost przed siebie, nie rzuciwszy nawet okiem w lewo, ni w prawo na ten szpaler młodzieży, rozstępującej się jej uprzejmie. Wyszły. Omal mu z oczu nie znikły w przedsionku, bo przystawać i kryć się musiał.

Wyszedłszy z teatru, skręciły na prawo.

— Ha! znów do Kamili wracają, ten tam pewnie czeka — tak pomyślał Szczęsny i zgrzytnął zębami, idąc ciągle za niemi.

Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał że zamiast udać się w kierunku wiodącym na ulicę Grodzką, jak się tego spodziewał, one trzymając się prawej strony ulicy Szewskiej zmierzały ku Karmelickiej.

Przechodniów było mnóstwo, więc udawało mu się, iż go nie spostrzegły, pomimo że dość blizko szedł za niemi. Wreszcie zwolniły nieco kroku, rozglądnęły się dokoła, w tej chwili wskoczył Szczęsny do jakiejś bramy otwartej, a potem znów Winia i Kamila poszły dalej i za kościołem Karmelickim znowu poczęły się rozglądać a Szczęsny zobaczył, jak Kamila ręką wskazała dom parterowy na prawo.

— Zaczyna być zabawną ta cała awantura — rzekł sobie w duchu — szkoda tylko, że narzeczona moja gra w niej rolę bohaterki.

Gubił się w domysłach nie mogąc pojąć, coby ta wyprawa znaczyła.

Kamila i Winia zatrzymały się przed domem,

Kamila położyła rękę na klamce, by wejść, ale w tem Szczęsny przyspieszył kroku i z dala zawołał:

— Dobry wieczór paniom.

Jak wryte stanęły obie.

— Cóż pan w szpiega się zabawiasz? — zawołała Winia, gdy przeszło pierwsze zdumienie.

Kamila jednak rychło odzyskała przytomność, obawiała się, by Karol nie wyszedł z domu, lub kto inny z członków mających być dzisiaj na posiedzeniu nie nadszedł, więc ścisnęła Winię nieznacznie za rękę i odpowiedziała uprzejmie:

— Ach dobry wieczór! w samą porę się pan zjawia; Wini się słabo zrobiło w teatrze, wyszłyśmy się przejść trochę, i chciałam tu wstąpić do moich znajomych, aby odpoczęła nieco, bo mi omal nie zemdlała w teatrze.

Szczęsny zmierzył ją wzrokiem pogardliwie i nie odpowiadając jej wcale, chciał podejść ku Wini, by jej rękę podać i odprowadzić do domu, gdy najniespodzianiej drzwi się otwarły i na progu ukazał się Karol.

— Przecie panie nadeszły już, tak długo cze...

— Panna Ludwina zachorowała w teatrze, chciałam, by tu spoczęła — pośpiesznie przerwała mu Kamila, chcąc się w jakikolwiek sposób wyratować z tego fatalnego położenia.

— O proszę, pani G. jest w domu, niechże panie wejdą, ja właśnie ztamtąd idę — zawołał Karol, który ujrzał już był Szczęsnego i chciał poprzednie swoje wyrazy zatrzeć i działać w myśl starej panny.

W tej chwili jednak Szczęsny stanął obok Wini i podając jej rękę rzekł:

— Służę pani, odprowadzę panią do domu.

— Ależ panna Ludwina jest chorą, musi odpocząć — odezwał się Karol podrażniony, iż mu się wymyka sposobność wprowadzenia jej na posiedzenie.

— Spodziewam się, iż do mnie należy oddanie usługi mojej narzeczonej, a dla utwierdzenia pana w dobrem mniemaniu o mojej grzeczności, gotów jestem w najbliższym czasie służyć i panu.

Scena ta odbyła się nader prędko, Winia po owym pierwszym wykrzykniku stała zdziwiona, ogłu-

szona niemal tem wszystkiem; teraz dopiero znów jakiś upor dziecięcy prawie zbudził się w niej i powiedziała stanowczo:

— Ja pozostaję z panią Kamilą.

— Nie, pani się uda do domu bezwarunkowo.

— Ależ ona iść nie może, jest chorą, to barbarzyństwo, despotyzm — oburzyła się Kamila.

— Jakiem prawem narzucasz mi pan swą wolę? — rzekła Winia.

— Prawem ludzkości, które nakazuje silniejszemu, bronić słabszego — zresztą jeżeli pani rzeczywiście nie czujesz się na siłach, by pójść dalej, to niech pani wejdzie do tej pani G., ale ja panią sam tam zaprowadzę.

W tej chwili spojrzała Winia pytająco na Kamilę a ta oczami odpowiedziała, że nie można.

— Służę pani — znowu przemówił Szczęsny podając rękę Wini, która wsparła się na niej lekko i skinąwszy głową na pożegnanie pozostającym odeszła, zwyciężona jego powagą.

Szczęsny ani nie spojrzał na nich odchodząc. Biedną Winię jakby paroksyzm febry napadł. Trzęsła się cała, aż jej drobne ząbki dzwoniły. Oczy spuściła w ziemię, ani ich podnieść nie śmiejąc. Upokorzoną się czuła, zwyciężoną zupełnie. Gniew piersi jej rozpierał, zdawało się jej, że ten despota, zazdrośnik stanął jak anioł ciemności na jasnej jej drodze i ze słońca wiedzie ją w krainę jakąś bez światła. Ale przecież jak on był dziwnie stanowczym i poważnym. Jaka pewność siebie była w nim i przewaga, gdy ją tak wbrew jej woli z rąk tamtych dwojga uprowadził. Mimowoli porównała Karola i Szczęsnego. Tamten taki ognisty, bohaterski, ten zaś z limfy i wody, a przecie rzucił śmiałe wyzwanie w jej obronie, a tamten bohater przyjął je milczeniem. A jak mu oczy błyszczały, jak się głowa uniosła rozkazująco, podczas gdy Karol stał jakiś przestraszony i rozglądający się nieśmiało. Porównanie rzucało światlejsze blaski na Szczęsnego a cieniem oblewało Karola. W tej chwili jednak nadto była Winia oburzona i rozgniewana, aby ta wyższość Szczęsnego miała za nim przemówić. Owszem drażniło ją to tem więcej jeszcze, a tamten

strącony bohater budził w niej współczucie — a teraz, teraz wszystko przepadło. Jej przyszłość, jej cele, jej praca dla dobra ludzkości, do której rwała się ognistą duszą młodą.

Przez całą drogę milczeli oboje. Ją gniew i wstyd gniótł, przybijał do ziemi; jego żal dławił w gardle.

Przybywszy do domu, kilku słowami ledwie odpowiedziała i wymknęła się do swego pokoiku, gdzie padła na kolana przy swem łóżeczku i wybuchła płaczem.

Na drugi dzień zmęczoną się czuła, upokorzoną i tak rozgoryczoną, że się na zwykły humor zdobyć nie mogła i pozostała przez dzień cały w swoim pokoju. Dręczyła ją niepewność, czy ciotka już wie o wszystkiem, czy też nic jej Szczęsny nie powiedział. Radaby była z tego ostatniego, ale znów drażniła ją wspaniałomyślność jego. On i zawsze on ją upokarzał, choćby nawet gorącą tą i stałą miłością. Współczucie jego — toż była jałmużna litości, a owo wspaniałomyślne milczenie przed ciotką jeśli rzeczywiście je zachował — to była tylko chęć upokorzenia jej szlachetnością.

Wieczorem przyniósł Szczęsny dziennik jak zwykle, Marynia czytała głośno o sprawach bieżących. Nagle wykrzyknęła:

— Mamo! otóż znowu ciekawy artykuł o socjalistach.

Wszystkich oczy zwróciły się na biedną Winię, która szkarłatnym rumieńcem oblana spuściła oczy jak winowajczyni.

— Czytajże Maryniu — rzekła pani W. zdejmując okulary.

Marynia czytała następne doniesienie:

„S o c j a l i ś c i. Dzisiejszej nocy około w pół do dwunastej udało się policji aresztować kilkunastu członków klubu socjalistycznego, między którymi było kilka kobiet. Nazwisk na razie nie podajemy, nadmieniamy tylko, że jedna z uwięzionych kobiet jest Warszawianką i najbardziej podejrzaną o agitacje socjalistyczne.

W chwili wejścia policji jeden z członków miał odczyt. Odebrano mu go i skonstatowano, że jest

pisany ręką kobiecą, pismem ładnem bardzo i niebieskim atramentem. Dziwna rzecz jednak, iż przy rewizji przedsięwziętej w mieszkaniach uwięzionych, u nikogo nie znaleziono podobnego atramentu. Najważniejsza jednak osoba, bo sam przewodniczący stowarzyszenia nieodgadnionym sposobem uszedł rąk policji. Uwięzieni nie wiedzą czy nie chcą wyjaśnić, gdzieby się podział, podobno na kwadrans przedtem zachorować miał i opuścić posiedzenie. Nazwisko jego dotychczas niewiadome, bo wszyscy są związani przysięgą i nikt zdradzić go nie chce.“

Jak piorun spadła ta wiadomość na Winię. Rumieniec niby łuna krwawa twarz jej oblewał a przez lewy policzek szła biała kresa jakby kredą przeciągniona. Rozdrażnioną była do najwyższego stopnia. Nie wyrzekła ani słowa, obawa straszna jakaś ją przejęła. Na razie była niby cudem ocalona. Ale rozprawka jej „o wpływie kobiet na rozwój socjalizmu“ z jej wyraźnym podpisem była u Karola lub Kamili. Musiała już być w rękach policji. Jutro — może dziś jeszcze przyjdą tu i wezmą ją jak zbrodniarkę i powiodą do więzienia. — Ojciec jej.. ha! Boże! cóż będzie? — myślała załamując ręce ukradkiem i wpijając paznogcie w ciało, by tym bolem fizycznym ulgę sobie sprawić w moralnem udręczeniu.

Położenie jej było bez wyjścia.

Ogarnął ją prócz tego wstyd fałszywy i duma, nie chciała wyznać niczego otwarcie przed ciotką, ani przed narzeczonym, ani napisać do ojca. Jeszcze żyła w jakimś zakątku jej duszy wiara w powodzenie stowarzyszenia, które w całem rozgałęzieniu swojem dziwnie jakoś przyoblekało się w kształty jednego człowieka i identycznem było z imieniem Karola. Sama dobrze nie wiedziała, nie odróżniała tego, czy wierzy w socjalizm, czy w Karola, ale pojęcia te dwa bezwiednie się u niej łączyły. Karol nie zająłby jej był nigdy ani na chwilę, gdyby nie był socjalistą i również aniby pomyślała o socjalizmie, gdyby nie była poznała Karola.

Przez parę dni i nocy następnych przebyła tortury śmiertelnej trwogi. Drżała za każdem stuknięciem, za każdem drzwi otworzeniem, zmizerniała, pobladła,

nie chodziła na lekcje z obawy, by jej nie przytrzymano na ulicy, mówiła że jest chorą, co ostatecznie i prawdą było, bo stan takiego rozstrojenia nerwowego nie był stanem naturalnym.

Wreszcie po kilku dniach ogłoszono w dziennikach termin ostatecznej rozprawy sądowej.

Wyczytawszy to Winia, dawnym napowrót zapłonęła zapałem i odwagi jej przybyło.

Postanowiła pójść na rozprawę. Pobiegła do swej nauczycielki Francuzki i uprosiła ją, żeby z nią poszła. Przez koleżankę jedną i uczennicę tejże samej nauczycielki wystarała się o karty wstępu i w oznaczonym dniu udały się obie do gmachu sądowego.

Za wejściem na galerję w sali posiedzeń ledwie zdołała się pohamować, ujrzawszy na ławie oskarzonych cały szereg obwinionych a między nimi surowe oblicze Kamili i bladą twarz Karola.

Indagacja się rozpoczęła. Jedni mniej, inni więcej byli winni — odpowiedzi ich zgadzały się z sobą mniej więcej. Byli tam młodzi przeważnie ludzie, po większej części niedoświadczeni zapaleńcy, którym się zdawało, że idą jak najlepszą drogą.

Przewodniczący podniósł się z krzesła — cisza zapanowała uroczysta, albowiem dał znak ręką, iż chce przemówić.

I zabrał głos rzeczywiście. Przemawiał długo, serdecznie, wykazywał im na jak ślizką weszli drogę, żywo im malował obowiązki prawych obywateli kraju, a na koniec prosił, aby mu wymieniono, jakim sposobem umknął ich przewodniczący.

Milczenie było całą odpowiedzią.

— Więc w imieniu prawa was wzywam, byście odpowiedzieli.

Jeden, drugi, trzeci odezwał się, iż nie wie, jak się to stało, iż był to prawdopodobnie przypadek.

— Ale był przedtem na posiedzeniu.

— Był i wyszedł o godzinie 11stej twierdząc, że ma w domu ważną sprawę do załatwienia.

Wszyscy to potwierdzili, bo rzeczywiście rzecz się tak miała. Przewodniczący wyszedł zdawszy zastępstwo innemu, a przez zapomnienie zabrał ze sobą

rozprawkę Wini, którą mu dano do przejrzenia przed odczytaniem na posiedzeniu.

— Żal mi was — mówił przewodniczący sądu — żal mi, że tak upornie się trzymacie przy swojem. Ulitujcie się sami nad waszą młodością, miejcie wzgląd na rodziców waszych i przyjaciół, na ich łzy i strapienie, okażcie czynem poprawę waszą, wyznajcie nazwisko przewodniczącego waszego, bo go tu nigdzie niema w papierach waszych. Przez to wyznanie wina wasza a tem samem kara się zmniejszy.

I znów cisza nieprzerwana wystarczyć musiała za odpowiedź.

Tu i owdzie na galerji westchnienie się odezwało szmerem przebiegłszy fale powietrzne.

Serce biło Wini jak młotem, twarz jak płótno zbielała. Ciemne oczy świeciły iskrami.

— Raz jeszcze w imieniu prawa wzywam was wszystkich. Jak się nazywa wasz przewodniczący?—powtórzył sędzia dobitnym głosem z akcentem pewnej surowości.

Nikt nie odpowiedział.

Prezydent zniecierpliwiony poruszył ramionami, szmer rozmowy rozległ się w audytorjum, sędziowie się półgłosem naradzali, obwinieni spoglądali na siebie, a w oczach ich widniało postanowienie, iż żaden przysięgi nie złamie.

Tylko oczu Karola widać nie było, bo je dłonią zasłonił, pogrążywszy się w zamyśleniu.

Serce Wini rosło. Zdumiewała się odwagą tych obwinionych, którzy tak święcie dotrzymywali przysięgi. A nawet przemknęła jej myśl przez główkę, że szkoda, że ona nie stoi tam w ich szeregu, aby czynem dowieść mogła, jak duszą całą oddała się ich sprawie; by równie jak oni mogła cierpieć jak bohaterka i jak bohaterka wytrwać. Duma w niej rosła, wzbierała jak fale morskie w czasie przypływu, a oczy świecące jak gwiazdy spoczywały na pochylonem czole Karola.

Prezydent znów powstał, znów cisza zapanowała a w tej ciszy rozległ się głos jego donośnie i niby echem odbił się o ściany i sklepienia sali:

— W imieniu prawa przyrzekam wolność temu, kto nam powie nazwisko i wskaże adres waszego prezesa. Policja natychmiast się uda na wskazane miejsce, a jeśli go znajdzie, to ten, który nam adres i nazwisko powiedział, w tej chwili uwolnionym będzie.

Jeśli możebnem, by cisza zupełna, bezwarunkowa potęgować się mogła, to nastąpiło to w tej chwili. Powstrzymano oddechy prawie, a serca niby bić przestały. Po chwili odjął Karol lewą dłoń od oczu, oparł ją na kolanie a wyprostowawszy się, prawą rękę podniósł do góry.

— Pan Karol H. ma głos — rzekł prezydent, a sędziowie porozumieli się oczyma i we wejrzeniach, które w nim utkwili, malowało się zadowolenie z pomyślnego rezultatu ich usiłowań a równocześnie świeciło coś w rodzaju pogardy.

Głośno i wyraźnie przemówił Karol:

— Przewodniczący naszego stowarzyszenia nazywa się Zygmunt X. i mieszka przy ulicy...

Nie słyszała już Winia nazwy ulicy, bo ściemiło się jej w oczach i bez przytomności padła na ziemię.

*

* *

Dwa lata minęły od opisanych wypadków. Winia po owem omdleniu dostała nerwowej jakiejś gorączki, zawiadomiono jej ojca. Ten najbieglejszych wezwał lekarzy, starania ich dopomogły młodości, i Winia wyzdrowiała. Gdy odzyskała przytomność, wyznała wszystko ojcu i ciotce, którzy jej przebaczyli z całego serca, ciesząc się i dziękując Bogu za ocalenie jej z takiego położenia, które postawiło ją nad brzegiem przepaści. Nie czyniono jej żadnych wyrzutów, nie wspominano nawet o przeszłości, bo gryzła się sama nią aż nadto. Najwięcej miała do zawdzięczenia Szczęsnemu, a dla tego właśnie harda jej dusza ugiąć się i uznać tego nie chciała. Czuła się upokorzoną w obec niego od owego wieczora, kiedy pierwszy raz skłamała przed ciotką a on surowem wejrzeniem ją zmierzył. Wmawiała sama w siebie, że on stracił już dla niej szacunek a tem samem mniej jak przedtem ją kocha. Im lepszym on był teraz dla niej i

im więcej dowodów przywiązania jej dawał, tem bardziej ona się rozgoryczała i każdy objaw uczucia tłumaczyła sobie na złe, biorąc go za oznakę politowania. Ów przewodniczący klubu socjalistów umknął za granicę, a był to człowiek zacny i młody jeszcze, i sam poznał później, iż niewłaściwą obrał drogę. Karolowi zatem zdrada i złamanie przysięgi nie wiele pomogły, bo policja darmo przetrząsała najskrytsze zakątki miasta — Zygmunta nie znaleziono. Z zagranicy przesłał Wini jej rozprawkę z tą uwagą, iż poznał z tejże czysty i szlachetny sposób jej myślenia i młodzieńczą egzaltację, a zatem radzi jej szczerze, aby w przyszłości unikała podobnych stowarzyszeń, a w życiu jeśli zechce działać dla drugich, to na każdem stanowisku pole do tego znajdzie.

Po wyzdrowieniu wyjechała Winia z ojcem na prowincję do małego miasteczka, bo w Krakowie pobyt jej stał się nieznośnym. Wkrótce potem Tonia wyszła za mąż, a ojciec Wini spensjonowawszy się przeniósł się na wieś, położoną nad Dniestrem na Podolu. Panią W. uprosiła Winia, że u nich zamieszkała z Marynią i rozpoczęło się dla niej zupełnie nowe życie. Przez te dwa lata zatarła się pamięć przykrych wrażeń, wróciła dawna swoboda i wesołość. Smutek rozpraszał się, znikał stopniowo, ale natomiast coraz żywiej występowało inne uczucie silne, przytłumione chwilowo, uczucie przywiązania do Szczęsnego. Pisywali do siebie, z początku rzadko a potem coraz częściej. Coraz barwniej przebijał w tych listach gorący koloryt miłości, aż doszło do tego, że zapragnęli się widzieć koniecznie i połączenie swe do skutku doprowadzić.

* * *

Było to właśnie w dzień przybycia Szczęsnego. Obszerne sady wioski podolskiej, którą Winia z ojcem zamieszkiwała, okryły się kwieciem jakoby śniegiem. Wiosenne kapele ptaków, żab i muszek już od kilku dni odgrywały swoje ranne i wieczorne koncerty. Okna były otwarte, woń wiosny wpływała do mieszkania strojnego w taki ład miły, porządek i czystość, że oko z lubością zatrzymywało się na każdym

przedmiocie. Winia krzątała się dzień cały z Marynią: tu poprawiała coś, tam przesuwała kwiatki, tu znów składała nuty. Ubrała się w sukienkę jasną, wiosenną błękitnej barwy. Ciemne warkocze, które już dość były długie, przystroiła w białe narcyzy i wesoła, szczęśliwa, uśmiechnięta, wieszała się na szyi ojcu, całowała ciotunię ukochaną, to przekomarzała się i żartowała z Marynią, a od czasu do czasu błyszczące oczy zwracała na gościniec.

— Do kolei półtorę mili, wysiadł z wagonu o czwartej popołudniu, jedzie się naszemi kasztankami godzinę — szczebiotała wskazując różowym paluszkiem na zegar — teraz za dziesięć minut piąta — już pewnie koło rogatki...

Wtem turkot się rozległ na podwórzu i woźnica trzasnąwszy z bicza osadził przed gankiem spienione kasztanki. W ganku spotkali się oboje.

W maju odbył się ślub poważnego prawnika z uroczą socjalistką.

Wiele było łez przy pożegnaniu, gdy państwo młodzi wyjeżdżali. Ojciec pozostał z poczciwą ciotunią i Marynią, która w krótce też wyszła za mąż za właściciela fabryki cukru w sąsiedniej wiosce. Musiała zatem opuścić dwojga staruszków, którzy już rozłączyć się nie chcieli i grą w pikieta uprzyjemniali sobie długie wieczory, trochę leniwie płynące wśród ciszy i jednostajności zimowej. Ale za to w lecie robiło się gwarno i wesoło, bo Winia z mężem i z małemi, ruchliwemi istotkami przyjeżdżała co roku. Aż gdy w lat parę mąż Maryni przeniósł się do Wiednia, gdzie i Szczęsny od lat już paru zamieszkiwał, pożegnali się i staruszkowie ze śliczną wioską podolską a pociągnęli na usilne prośby dzieci i wnucząt do wesołej stolicy nad modrym Dunajem.

Sokrates do swoich przyjaciół.

HEROIDA.

Non omnis moriar. —
Horatius.

Ja umieram!... nie płaczcie, przyjaciele moi;
Niewinnemu ni postrach, ni żal nie przystoi.
Bardziej mnie wzrusza widok waszych łez i trwogi,
Czyż dla płaczu jest dany ten moment tak drogi?
Czyliż to was ma smucić, że niesłusznie ginę?
Chcecież, żeby Sokrates umierał za winę?
Niech się ten raczej smuci i płoni za karę,
Z czyjej ręki niewinny idzie na ofiarę.
Mniemano, iż mnie strwożą śmierci bliskiej cienie,
Wszak nas wszystkich skazało na śmierć przyrodzenie.
Śmierć powszechna... lecz tylko z udziałem w niej [innym,
Wstyd idzie za zbrodniarzem a żal za niewinnym.
Zgon dla ludzi cnotliwych jest kresem cierpienia,
Winowajca w nim czuje srogość udręczenia.
Cóż na koniec ja tracę w tej lat schodząc dobie?
To, co w nas jest nieznośnem i innym i sobie:
Wzrok słaby, słuch stracony, niedołężność z laty,
Oto są dobra, których żałować mam straty.
Rzuciwszy świat występny i tę bryłę gliny,
Istność się moja wzniesie w niebieskie krainy.
A jeżeli nie łudzą te przeczucia dzielne,
Te wyższości umysłu piętna nieśmiertelne,
Troskliwość o los mego po zgonie jestestwa
I ten wstręt, który czuję na obraz nicestwa, —
Śmiało rzucam to jarzmo, które tu nas gniecie,
Przyjaciele! ja ujrzę was na lepszym świecie!
Bez tej myśli, do kajdan tylko człowiek zdolny,
Kto wierzy w nieśmiertelność, ten zawsze jest wolny.

Kogo przeraża kara, głos dręczy sumienia,
Ten zmuszon szukać w łonie nicestwa schronienia.
Zostawmy więc podobne myśli dla niecnoty.
O Ty! co licznych światów rozrządzasz obroty.
Który w krótce z Twą Boską złączysz mą istotę,
Boże, Tyż własne Twoje zniszczysz dzieło, cnotę?
Nie! ucieczką Twój dla niej będzie wyrok prawy,
Gardzę światem, gdy niebo sędzią mojej sprawy.
Złożywszy z zimnym prochem błędy, nędzę w grobie,
Wielki Boże! ja prawdy pójdę szukać w Tobie.
Oczekuję z radością ostatniej godziny,
Największą jest pociechą, umierać bez winy.
Nie lękajcie się śmierci, bójcie się zhańbienia,
To jest prędkie i obok idzie wykroczenia.
Moi potwarcy mimo swej wziętości wielkiej,
Nie potrafią uiść hańby, tej grzechów mścicielki.
Już ja widzę, jak ściga te przewrotne wrogi,
Jak na nich zbladłych pada, tłocząc ich pod nogi.
Anitus mnie się lęka wśród swoich potwarzy,
Wzrok cnotliwego strachem przejmuje zbrodniarzy.
Lecz niech zgon mój zakończy jego niepokoje,
On od wstydu przedemną, dosyć miał za swoje.
Niech zguba moja, z której chlubi się oszczerca,
Nie oziębia waszego do Ojczyzny serca.
Choć za miłość rodaków mam od nich truciznę,
Jeszcze wam raz powtarzam: kochajcie Ojczyznę!
Uzbrojeni stałością wśród łotra zapędów,
Gardźcie nim, albo jego litujcie się błędów.
Wprawdzie to się stać miało, jakimś losem smutnym
Mądry musi przez prawo ulegać okrutnym.
Nie! prawo być nie może ludzkości uciskiem!
Człek choć możnych ofiarą lub stał się igrzyskiem,
Chociaż mu gwałt niestety żyć nie da swobodnie,
Ma prawo się przynajmniej oburzyć na zbrodnie.
Lecz dobry woli raczej być ucisku celem,
Niż twórcą czyich nieszczęść albo burzycielem.
Niedoścignionych losów dla ludzi wyrokiem,
Mędrzec będąc zmieszanym z tym nikczemnym
[tłokiem,
Który zbyt słaby znosić, mocny złe wywierać,
Nie umie życia użyć, nie umie umierać; —
Różni się od tej tłuszczy przez stałość i cnoty,

Stojąc jak cedr nietknięty pomiędzy wywroty.
Umie myśleć i w sobie znaleźć pocieszenie,
Nie narzeka na woli Wszechmocnej zrządzenie,
Która zmieszawszy cnoty, rozkosze, cierpienia,
Jedyne stałe dobro dała nam pragnienią.
On innych w sobie nie zna prócz światła nabycia,
Doskonali swój umysł aż do kresu życia.
Mając swe szczęście w sobie, nigdy nie
[rozpacza,
Sam surowym na siebie, lecz innym prze-
[bacza.
Kiedy widzi cierpiących, nie bada przy-
[czyny,
Kto nie chce ulżyć nędznym, ten w nich
[szuka winy.
Lecz mędrca dla nich czułość nie wygasa z wiekiem,
Wspiera człeka dla tego, że sam jest człowiekiem,
Mówi zawsze, jak myśli, i działa o-
[twarcie,
Czyni dobrze, a kiedy sam odbiera wsparcie,
Wdzięczność swoim powszechnym długiem być uważa.
Tak jest: niewdzięcznik liczbę nieczułych pomnaża.
Mędrzec cudzych nie bada, nie lata po niebie,
Jego pierwszą nauką: znaj samego siebie.
Nigdy w nim imię mędrca próżności nie budzi,
Wierny dla swych przyjaciół, kocha wszystkich
[ludzi.
Szczęście różną ma postać w mniemań ludzkich
[tłumie,
Mędrzec szczęścia od cnoty rozróżnić nie umie.
Nigdy żądza umysłu jego nie zapala,
Szukać sławy przykładem płochego Dedala.
Piękne nauki w oczach jego są podnietą,
Lecz chce, by te nie kunsztem, lecz były zaletą.
Dotąd się z nauk dobra spodziewać nie trzeba,
Póki te będą kunsztem, a ten kunszt dla chleba.
Tam się tylko mądrego myśl całkiem zacieka,
Gdzie może odkryć dobro istotne człowieka.
Wierzy w bóstwo, lecz czasu na płochem nie traci
W szperaniach, jak Bóg mieszka, jakiej jest postaci?
Nie bada, jakie światem powodują ruchy,
Jakiej Bóg, jakiej inne natury są duchy.

Jego maksym jest cała na tem tajemnica:
Między złym i cnotliwym musi być różnica.
To są me zdania; z których nigdy nie zboczyłem;
Zawsze miałem je w sercu i szczęśliwym byłem.
Szczęśliwym, ile można być na tym padole,
Gdzie naszym są udziałem błędy, nędze, bole.
Nabycie szczęśliwości jest w łatwym sposobie,
Lecz nie szukaj jej próżno, gdy jej nie masz w sobie.
Ta nauka przepisów nie wymaga długich,
Znajdziesz twoją szczęśliwość w szczęśliwości [drugich.
Chcesz, by każdy z szacunkiem mówił o twej cnocie,
Za jakiego uiść pragniesz, takim bądź w istocie.
Nie unikaj rozkoszy, lecz chroń się nałogów,
Mniej ich masz, więcej jesteś podobny do Bogów.
Nie jeden goniąc rozkosz, wpadł w zdradę, jej sidło,
Nie nazbyt to jest człeka mądrego prawidło.
Pomierność w życiu twojem da ci czerstwe zdrowie,
Dobra nam udzielają za pracę Bogowie.
Wierni waszym prawidłom a stali w zamiarze,
Bądźcie wyżsi nad zawiść, szyderstwa, potwarze.
Nie zważajcie, że Sokrat miał Arystofanów,
Że cnota ma potwarców a prawda tyranów.
Próżne złych są zabiegi, próżne ich pogonie;
Laur ich pracę nie wieńczy, ale mędrca skronie.
Ich imię pójdzie rychlej w niepamięć u świata,
Wtedy tylko ich wspomną, gdy wspomną Sokrata.
Lecz czego ja żałuję w tej ostatniej chwili,
Oto tych, którzy jeszcze po mnie będą żyli.
Ludzie w swojej ciemnocie wpośród uciśnienia,
Potrzebują dwóch środków; światła, pocieszenia.
Niech oni w mych następcach znajdą to oboje,
Niech przez was dopełnione będą chęci moje.
Niech im zmartwienia moja nie przynosi strata,
Dajcie im w waszych czynach zapomnieć Sokrata.
Prawda, że lud przemocy i błędu narzędzie,
Często niszczyć budowę swego szczęścia będzie.
Lecz igrzysko przemocy, chytrości i zbrodni
Tem bardziej potrzebuje rozumu pochodni.
Obłuda nieraz cnoty kształt sobie przywłaszcza,
Często pycha wyziera z pod lichego płaszcza.
Dajcie więc drugim uczuć przez szlachetne cele,

Czem się różnią od mędrców ludu zwodziciele.
Ale dając naukę, dajcie przykład razem,
Pierwsza tylko rysunkiem, drugi jest obrazem.
Brońcie imienia mędrca nadużyć bezkarnie,
Biada tym, którzy jego tytuł noszą marnie!
Mędrzec zna, że prócz chwały, czas wszystko zagrzebie,
Nogą swą tyka grobu, lecz umysł ma w niebie.
Możeż więc jego krokiem zachwiać jaka siła?
Bądźcie zdrowi!... już moja godzina wybiła. —

*Kl.**

PIĄTY ZJAZD
PRZYRODNIKÓW POLSKICH
we Lwowie w dniach od 18—21 Lipca 1888.

Paść może wielki naród,
zniszczeć — tylko nikczemny.
Staszyc.

Podczas IV. zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu (1884), na telegraficzne zaproszenie, wystosowane przez ówczesnego prezydenta miasta Lwowa, ś. p. Wacława Dąbrowskiego — uchwaliło II. walne zgromadzenie, aby zjazd najbliższy odbył się we Lwowie za lat trzy, t. j. w r. 1887. Niepewny jednakże stan polityczny, jaki od lat kilku nad Europą zawisł, sprawił, że zjazd w tymże roku do skutku nie przyszedł. Dopiero w r. b., dzięki energi-

cznej pracy wydziału gospodarczego, tak pożądane zebranie licznych przedstawicieli nauki, nie tylko przyszło do skutku, lecz nawet świetnie, śmiało rzec można, wypadło. Wszystkie niemal polskie i wiele pokrewnych instytucyj i stowarzyszeń obcych, wysłały swoich delegatów. I tak ze strony c. k. Ministerstwa spraw wewnętrznych był nim c. k. radca ministerjalny i referent departamentu sanitarnego Dr. Kusy; ze strony c. k. Namiestnictwa radca St. Kurowski; krakowska Akademia umiejętności delegowała na zjazd swego sędziwego prezesa Dra J. Majera; wydział lekarski Uniwersytetu Jagielońskiego Dra Leona Blumenstoka; krakowskie towarzystwo lekarskie Drów Pieniążka, Grabowskiego i Zarewicza; poznańskie towarzystwo lekarskie delegowało Dra Grodzkiego; towarzystwo lekarskie warszawskie Dra A. Sokołowskiego; krakowskie gremium aptekarzy p. A. Siedleckiego, toż gremium lwowskie reprezentował na zjeździe p. J. Piepes; lwowskie towarzystwo przyrodników polskich imienia Kopernika reprezentował profesor uniwersytetu Dr. Bronisław Radziszewski; krajowe towarzystwo weterynarzy reprezentował Dr. J. Kubicki; c. k. towarzystwo gospodarcze i leśne delegowało profesora W. Tynieckiego; towarzystwo politechniczne lwowskie reprezentował profesor Dr. J. Franke; towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu delegowało p. J. Szymańskiego; komitet redakcyjny warszawskiego „Wszechświata“ i „Pamiętnika fizjograficznego“ przedstawiał delegat Br. Znatowicz; c. k. Rada okręgowa szkolna delegowała inspektora p. Mieczysława Baranowskiego; towarzystwo pedagogiczne lwowskie reprezentował Dr. Józef Żuliński, wreszcie „Spolek lekaruv ĉeskych“ reprezentowali Drowie Chodounsky, Lüftener, oraz Maixner.

I czyż dziwić się można, że zjazd świetnie wypadł? Gdy jeszcze dodamy, że podczas niego urządzono wystawę przyrodniczo-lekarską, która również nadspodziewanie wypadła — to już chyba każdy nam przyzna, że zjazd tegoroczny pod każdym względem stanowczo poprzedników swoich przewyższył.

Nadmieniwszy o wystawie, muszę kilka słów o niej powiedzieć. Myśl urządzenia jej podczas zjazdu

poruszona na jednem z posiedzeń wydziału gospodarczego, doznała tak żywego poparcia, że niebawem wybrano komitet, w skład którego prócz członków wszedł jako przewodniczący: protomedyk Dr. Alfred Biesiadecki, tudzież sekretarz Dr. J. Merunowicz — i takowy niezwłocznie do pracy przystąpił. Jaką ta praca się okazała, o tem każdy zwiedzający wystawę mógł się naocznie przekonać. Wystawa, którą pod nazwą hygieniczno-lekarskiej i dydaktyczno-przyrodniczej w gmachu szkoły realnej zwiedzaliśmy, miała pierwotnie w gmachu c. k. Politechniki się odbyć. Przyznać wprawdzie należy, że piękne i obszerne sale politechniczne bardziej dla wystawy się nadawały; gdy jednak zważymy nadmierną odległość tej szkoły od miasta, zmianie tej dziwić się nie będziemy a tylko przyklasnąć jej musimy.

Już we wtorek d. 17. Lipca br., t. j. w przeddzień zjazdu, ze wszystkich stron widzieć było można przybywających uczestników na główny dworzec kolei Karola Ludwika, gdzie też przybyłych witali delegaci wydziału gospodarczego, poczem wieczorem tegoż dnia wszyscy obecni już uczestnicy zebrali się w salach kasyna miejskiego dla wzajemnego poznania się. Dodać należy, iż w towarzystwie tak miłem znalazły się i piękne uczestniczki, co oczywiście jeszcze większego dodawało uroku.

Na drugi dzień, we środę nastąpiło otwarcie zjazdu. Przed 10. godziną rano, w pięknie przystrojonej sali ratuszu miejskiego zgromadziło się do pięćset uczestników, jakoteż wiele publiczności na galerji. Przewodniczący, Prezydent miasta Dr. Edward Mochnacki, wita zgromadzenie następującą przemową:

„Szanowne Zgromadzenie!

Gdy w roku 1884m liczne grono lekarzy i przyrodników polskich zebrało się na czwarty zjazd w Poznaniu, ówczesny Prezydent miasta Lwowa wysłał telegram z powitaniem Zgromadzenia i zaproszeniem na przyszły zjazd do Lwowa. Za tym głosem poszło Zgromadzenie i uchwaliło odbyć piąty zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie. Dziś znalazła ta myśl urzeczywistnienie, i oto widzimy liczny zastęp przedstawicieli nauki z wszystkich ziem Pol-

ski, jest bowiem reprezentowana Korona, Litwa i Ruś.

Zaiste piękna to uroczystość nietylko naukowa, ale i narodowa! Celem zjazdu jest wzbogacić wiedzę i naukę przez odczyty i rozprawy, zawiązać stosunki i wzmocnić węzły towarzyskie między uczestnikami. Badać tajniki natury, wyjaśniać zjawiska przyrody i wysnuwać z nich niezachwiane prawidła, oparte na głębokiej wiedzy i prawdzie — oto wasze zadanie, moi Panowie; zadanie to piękne i wzniosłe.

Chociaż w ostatnich czasach w dziedzinie nauk przyrodniczych widzimy na każdym kroku znakomite postępy, pozostaje przecie jeszcze bardzo wiele do działania, zbadania i wyjaśnienia... Miejmy nadzieję, że zjazd dzisiejszy zbliży o krok spełnienie tego zadania, gdyż niejeden z uczestników podda owoc swej długoletniej pracy pod ścisły a fachowy rozbiór swych kolegów — a po żywej wymianie myśli i słowa, z ich nauki i doświadczenia zaczerpnie wskazówki, jak przy badaniu obranej sobie gałęzi umiejętności dalej postępować należy. To już zdobycz znakomita i niepomierny pożytek dla nauki.

Co do strony towarzyskiej zjazdu — to przyznacie Panowie, że chociaż z dalekich przybyliście okolic i krótko u nas gościcie, a już czujecie się jak między swoimi, i nie dziw — gdyż Wasze i nasze serca temże samem biją tętnem, bośmy bracia tejże samej wielkiej rodziny, bośmy synowie tejże samej Ojczyzny! Oby te węzły łączące nasze serca, przez zjazd niniejszy wzmocniły się i stały trwałemi!

Pod tem hasłem witam Was, Panowie, witam całem ciepłem mego serca, witam uściśnieniem tej bratniej dłoni — i dołączam życzenie: Oby Bóg pobłogosławił Waszej pracy na pożytek dla nauki i chwałę dla Narodu Polskiego!"

Poczem w imieniu wydziału gospodarczego powitał gości prezes Dr. Adam Czyżewicz wzruszającą mową, którą tu w całości podajemy:

„Cztery lat mija, jak w myśl uchwały prezydenta miasta Lwowa, na czwartym zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu, zapadła uchwała, aby piąty zjazd odbył się tu we Lwowie. Tam też

polecono mi wspólnie z Drem Żulińskim ten zaszczytny obowiązek, abym się zajął przygotowaniem do obecnego zjazdu. Zjazd ten miał się odbyć w roku zeszłym. Chmury atoli na horyzoncie politycznym nagromadzone, odjęły nam wszelką odwagę do podjęcia prac przygotowawczych. Dlatego po porozumieniu się z wszystkiemi instytucjami naukowemi i towarzystwami, których celem jest przyrodoznawstwo — postanowiliśmy odłożyć zjazd o rok jeden. I w początku tego roku horyzont polityczny nie wyjaśnił się wcale; na prawdę nie mieliśmy odwagi do podjęcia prac przygotowawczych, ale dalsza zwłoka była niemożebną. Podjęliśmy więc te roboty i jesteśmy tyle szczęśliwi, że tak bardzo upragnione zejście przyszło do skutku i że mi w imieniu wydziału gospodarczego wolno powitać tak miłych gości!

Nie bez pewnej obawy czynię to; jakkolwiek bowiem znaleźliśmy wszędzie rzetelne i chętne poparcie, jakkolwiek Sejm Królestwa Galicji, Reprezentacja miasta, Ministerstwo oświaty, Dyrekcje kolei żelaznych i wszystkie towarzystwa z badaniem przyrody w związku stojące, użyczyły nam nietylko moralnego, ale i materjalnego poparcia, jakkolwiek prawie wszyscy nasi wybitni przedstawiciele fachowi, gorąco i rzetelnie współpracowali z nami, to wynik pracy naszej w obec tak licznego i tak znanego grona gości może się wydać za małym, a przyjęcie — za skromnem. Dlatego Panowie bądźcie pobłażliwymi— czem chata bogata, tem Wam i rada — a chata nasza bogatą nie jest, jej nawet brakuje dużo do zagospodarowania się.

Jeszcze z końcem przeszłego wieku mieliśmy tu we Lwowie Uniwersytet kompletny z fakultetem lekarskim. To potężne ognisko wiedzy przyrodniczej znikło z widowni i ustąpiło miejsca szkole specjalnej medyczno-chyrurgicznej. I tej nie ma od lat piętnastu. A była ona jedyną z wszystkich złączonych z Uniwersytetem w Państwie Rakuskiem, która nie została zmienioną w fakultet lekarski i nie pozostawiła po sobie żadnej następczyni. Jak konary odcięte od pnia głównego, sterczą dziś jeszcze zwiędniałymi liśćmi jej resztki w kształcie szkoły farmaceutycznej

i położniczej — podobne do gruzów wielkiego niegdyś gmachu, co był ogniskiem wiedzy lekarskiej.

Brak nam tego ogniska i dla tego trudną jest nasza praca i mozolną, ale to nie nasza — tylko stosunków od nas niezależnych wina. Dziś w obec usilnych nalegań wszystkich niemal instytucyj naukowych, wobec rokrocznie objawianych postulatów Sejmu i Reprezentacji kraju w Radzie Państwa — wobec gorących prośb Wszechnicy tutejszej i sprzyjającego krajowi Rządu, nareszcie wobec coraz to silniej występującego braku lekarzy nietylko w zawodzie cywilnym, ale już nawet i w wojsku — może nareszcie dojdziemy do upragnionego celu, i mam nadzieję, że mój następca, który tu z tego do Was przemówi miejsca przy jednym z następnych zjazdów lekarzy i przyrodników polskich, będzie tyle szczęśliwym — iż Wam otworzy podwoje nowo zbudowanej świątyni, fakultetem lekarskim zwanej.

Nie mamy zbiorów pamiątek naszej wielkiej i pięknej przeszłości, które wieki całe składali przodkowie jako dowód siły życia, kultury i postępu społecznego... Nie mamy grobów królów naszych i ukochanego Wawelu, co w nurtach starej Wisły kąpie swoje mury... Nie mamy wieżyc i zamków przedwiecznych, w których się wylęgło orlę nasze białe... Nie mamy jezior, z któremi splątane baśnie ludu i podania stare — jezior, co mgłą okryły swe lica, bo nie chcą odsłonić rumieńca wstydu, co wystąpił na widok cywilizacji i kultury dziewiętnastego wieku... Nie znamy blasku stolicy wielkiego narodu, ani jej ruchliwego życia, ani jego skarbów i pamiątek, zebranych w czasach świetnej przeszłości... Nie zamieszkała u nas urocza syrena, co choć dzisiaj łzy roni i smętne ma lice, to we łzach i tym smutku ma tyle wdzięku, tyle uroku, że choć na chwilę myśl ludzką kieruje w ubiegłe czasy szczęścia i pozwoli zatęsknić do lepszej przyszłości...

Daleko na Wschód wysunięci byliśmy puklerzem, od którego odbijały się hordy barbarji minionych wieków, — hordy, co przy murach tego miasta nieraz wstrzymać musiały swój krwawy pochód....

Dlatego nie groby królów — ale ślady ich bohaterskich czynów tu znajdziecie.

Tam od północy pod samem miastem leży równina, którą Zniesieniem*) zowią, bo na niej nasz wielki bojownik zniósł hordy tatarskie, a wdzięczny Lwów w lat dwieście później postawił Mu na górze kamień z napisem.

Tuż obok znajdziecie ruiny zamczyska, co niejedną przetrwało burzę i niejeden pocisk od swej piersi kamiennej... odbiło. Lwa miał ten zamek w swoim sztandarze i lwiego bronił grodu**). Nad nim unosi się duża mogiła***) ręką ludzką usypana, ze wszech stron widna, dumnie w obłoki stercząca. Powstała ona siłą woli jednego człowieka, i nosi nazwę unii lubelskiej — bo usypana dla pamięci dobrowolnego złączenia się dwóch narodów, ku wspólnej sile i wspólnej chwale.

Ile razy spoglądam w tę stronę, mimowoli ciśnie się w pamięć ruska piosenka, którą tak dawno, jeszcze w kołysce w rodzinnej mojej ziemi słyszałem. Te dwa bratnie ludy „dwa hołuby razom wodu pyły“ i nieraz ją razem „hołotyły“ — „bodaj toti ne skonały, szczo nas rozłuczyły“, bo razem związana nasza przeszłość, nasza potęga i siła — i nasza przyszła dola!

A kiedy wspominam o dziełach jednostki, to chociaż nie pokażemy Wam muzeum pamiątek przeszłości, zebranych przez ogół — to Wam pokażem pomniki potęgi ducha i poświęcenia się jednostek dla tego ogółu.

Pokażem Wam fundację, jakich mało na świecie, otworzoną przez człowieka, który mógł wygodny i spokojny prowadzić żywot, mógł opływać we wszystko, czego pragnie życie. On odrzucił to wszystko i z uszczerbkiem swej własnej osoby, składał miljony, aby je oddać społeczeństwu! Pokażem Wam gmachy fundacji Skarbka.

---

*) Zniesienie, wieś tuż poza rogatką Żółkiewską.
**) Wysoki Zamek.
***) Kopiec Unii.

Pokażem Wam dalej wspaniały księgozbiór i zbiór pamiątek z przeszłości, złożony znów przez jednego człowieka—Zakład narodowy Ossolińskich..

Nareszcie pokażem Wam Panowie muzeum, może sercu naszemu najdroższe, zebrane przez człowieka, który ukochał przyrodę — który pracuje w naszym zawodzie i nas jak towarzyszów broni cenić potrafi. Wy Go znacie i poważacie, a jego zbiory tu leżą we Lwowie i noszą nazwę Muzeum imienia Dzieduszyckich...

To są nasze skarby, to osobliwości grodu tego—temi Was też uraczyć pragniemy, boć Wam z serca radzi jesteśmy — i tem nasza chata bogata!

Więc w imieniu wydziału gospodarczego piątego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich witam Was staropolskiem przysłowiem — a starorzymskiem „Viribus unitis“ wzywam do wspólnej pracy dla nauki, ludzkości i stanu naszego“... (Huczne oklaski.)

Zapału i wzruszenia, z jakiemi te pełne szczerości, prostoty i szlachetności słowa przyjęto, trudno opisać; to też po każdym niemal ustępie przerywały mowcy setki oklasków a oczy zgromadzonych łzami zabiegały. Wreszcie główne miejsce prezydjalne zajął sędziwy Dr. Józef Majer i jako nowoobrany naczelny prezes zjazdu, otwiera przy odgłosie burzy oklasków piąty zjazd lekarzy i przyrodników polskich, piękną i iście serdeczną mową w sposób następujący:

„Piąty to już raz w kolei naszych zjazdów, szanowni uczestnicy tychże raczą stawiać mnie na czele. Pierwszy z nich oddziela od dzisiejszego przeciąg lat dziewiętnastu. Zaiste — przeciąg czasu to niemały dla tego, który już wówczas ku starości pochylony, dziś na Wasze wezwanie Szanowni Panowie, staje przed Wami chyba już ze śpiewem łabędzim.

Że zaszczyt ten spotyka mnie od tak świetnego grona zwolenników nauk, a mianowicie badaczy na tem samem polu, na którem sam byłem niegdyś skromnym pracownikiem, mógłbym z tego być dumnym — gdyby nie przekonania, że tę okazaną mi z Waszej strony Szanowni Panowie życzliwość, więcej podobno zawdzięczać muszę mojemu wiekowi, który uszano-

wać pragniecie, niż, jeśli jakie były, położonym zasługom. Gdy jednak wiele ten daje, kto składa w ofierze wszystko co posiada, może więc nie będzie z mej strony zarozumiałością, gdy w tym objawie Waszej życzliwości — widzieć będę uznanie — nie powiem zasługi, ale szczerej chęci służenia według sił krajowi na tych stanowiskach, które z kolei czasu zajmować mi przychodziło. Przyjmijcie więc Szanowni Panowie wyraz serdecznej podzięki, tak wszyscy, których tu widzę zgromadzonych, jak w szczególności Szanowni członkowie wydziału gospodarczego, na których propozycję nastąpiła Wasza, tyle dla mnie zaszczytna — jednomyślna uchwała“ . . . . , .
. . . .
. . . .

Piękną tę przemowę zakończył czcigodny prezes słowami:

„Jeżeli wreszcie idzie o korzyści towarzyskie, których aczkolwiek ubocznych, w zadaniach zjazdów pomijać nie można, to zapewnia je pełen życzliwości głos pana Prezydenta i otwarte serca tej stolicy kraju, która nas gościnnie do siebie wezwała. Przejęty tem przekonaniem, z błogą otuchą powodzenia — otwieram ten piąty zjazd lekarzy i przyrodników polskich“. (Brawa.)

Nastrój zgromadzonych po tym, iście łabędzim śpiewie czerstwego jeszcze starca, był nie do opisania. Nadto sekretarz Dr. J. Szpilman odczytuje imiona podanych już wyżej delegatów, tudzież liczne telegramy gratulacyjne, z licznych miejscowości kraju podczas zjazdu nadeszłe.

Z kolei następuje wykład J. E. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego „o wędrówkach ptaków a w szczególności pustynnika (Syrrhaptes paradoxus),“ objaśniany równocześnie pięknymi okazami tegoż rzadkiego w kraju naszym gościa. Liczne oklaski zgromadzonych były zasłużoną nagrodą dostojnemu lubownikowi ojczystej przyrody za ten wielce interesujący wykład.

Dalej proponuje sekretarz Dr. Szpilman rozdział zjazdu na odpowiedne sekcje, co też jednogłośnie zgromadzenie przyjęło — poczem Dr. A. J. Rolle, lekarz z Kamieńca podolskiego, zarazem głośny histo-

ryk (Dr. Antoni J.) odczytał zajmujące studjum „o dziedziczności obłąkania“, które z prawdziwym żalem dla braku miejsca opuścić tu musimy.

Następnie sekretarz wystawy hygieniczno-lekarskiej i dydaktyczno-przyrodniczej, Dr. J. Merunowicz projektuje wybór jurorów dla tejże wystawy — poczem zabrał jeszcze głos w języku czeskim profesor Dr. Chodounsky z Pragi, kończąc pięknemi słowami: „Pokrevnost i stejny cil upevni przastelstvi ĉesko-polske na slavu a zdar obu narodu. Konczim jako delegat ĉesky: Slava narodu polskemu!“

Tak zakończyło się pierwsze walne zgromadzenie, które krótką przemową zamknął Dr. Majer, zapraszając równocześnie gości na drugie i ostatnie walne zgromadzenie w sobotę (21 Lipca.)

Już popołudniu tegoż dnia, (walne zgromadzenie trwało bowiem przeszło dwie godziny) udali się uczestnicy zjazdu do sali hotelu Żorza, gdzie znajdował się wystawiony właśnie na widok publiczny obraz mistrza Matejki „Kościuszko pod Racławicami.“ Wrażenia, jakie widok tego arcydzieła — z drogiej każdemu sercu polskiemu chwili zwycięztwa — wywarło na obecnych, opisać nie podobna. Poczem nastąpiło zwiedzenie wystawy, która w tym dniu na użytek publiczności otwartą została; dalej Muzeum przyrodniczego imienia Dzieduszyckich, wieczorem zaś wspólne zebranie się uczestników w salach „Koła literackiego“, co też przy dźwięku „Harmonii“ już późną nocą pierwszy dzień zjazdu zakończyło.

* * *

Dzień następny, t. j. czwartek (d. 19. Lipca) przeznaczono głównie na posiedzenia sekcyjne, które w salach gmachu gimnazjum Franciszka Józefa się odbywały. Jako uczestnik sekcji przyrodniczej, mogę tu kilka słów o jej pracach powiedzieć.

O godzinie 9-tej zaczęło się zgodnie z programem pierwsze ranne posiedzenie tej sekcji, które w imieniu wydziału gospodarczego zagaił profesor Dr. Benedykt Dybowski, poczem zaproponował bardzo

naturalne złączenie sekcji I., t. j. przyrodniczej z sekcją IV., t. j. dydaktyczną, co też członkowie w liczbie 40-tu przyjęli jednogłośnie i tak bez zmiany aż do końca zjazdu sekcje pomienione obradowały.

Dział umiejętnej botaniki rozpoczął piękny wykład profesora Dra E. Godlewskiego z Dublan: o ujemnym hydrotropizmie pędów. W dyskusji nad tym przedmiotem wziął udział profesor Uniwersytetu lwowskiego Dr. Teofil Ciesielski konstatując, że zjawisko powyższe odnieśćby należało do kwestji grawitacyjnej, na co wszakże Dr. Godlewski inaczej się zapatruje. Zabiera głos następnie znów Dr. Godlewski i mówi „o łatwym sposobie uwidocznienia ciągłości naczyń drzewnych“ (w dyskusji brali udział Dr. Ciesielski, Dr. Nowakowski i prelegent) — poczem przewodniczący udziela głosu Drowi A. Prażmowskiemu z Czernichowa, który odczytuje wyniki swych badań nad „brodawkami korzeniowemi u roślin motylkowych (papilionaceae).“ Długi odczyt, objaśniany doborowymi preparatami, zakończył na razie obrady podsekcji botanicznej.

Zoologję rozpoczął bardzo piękny i interesujący wykład Dra Dybowskiego „o historji powstawania zębów złożonych u ssaków,“ z czego wypada, że tak górne jak i dolne zęby u tych zwierząt jak niemniej u człowieka, są podług niezmiennego planu zbudowane; że każdy ząb, bezwzględnie na naszą pozorną klasyfikację tychże, składa się zawsze z 4-ch jarzm, mniej lub więcej dobrze wykształconych; że wreszcie zęby tychże zwierząt, tudzież człowieka, z kolei czasu ciągłym ulegają przemianom.

Kwestję tę popiera profesor L. Wajgel ze Lwowa, który podobną historję na zębach żabich niejednokrotnie miał sposobność stwierdzić.

Dalej następuje geologja. Przewodniczący udziela głosu profesorowi Drowi Władysławowi Szajnosze z Krakowa, który przedstawia rzecz o skamielinach, zebranych w południowej Ameryce przez zaszczytnie znanego geologa naszego Dra Rudolfa Zubera.

Na tem pierwsze posiedzenie skończono.

Około godziny dwunastej w południe, po skończeniu posiedzeń sekcyjnych, udała się część ucze-

stników zjazdu do Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, gdzie stosownie do programu odbyło się wspólne zwiedzenie tej pożytecznej i drogiej każdemu Polakowi instytucji. O godzinie zaś czwartej popołudniu rozpoczęto znów obrady w posiedzeniach sekcyjnych.

Słowo więc o sekcji przyrodniczej. Pierwszy i wielce interesujący wykład rozpoczął Dr. H. Wielowiejski „o świeceniu owadów,“ któreto zjawisko przypisał odbywającemu się w komórkach zwierzęcia procesowi fosforescencji... Równocześnie na zapytanie profesora Wajgla: w jakim stosunku wyniki badań prelegenta pozostają z odpowiednymi wynikami badań chemicznych Dra Radziszewskiego, odpowiada sekretarz sekcji profesor Dr. I. Petelenz, że zjawisko świecenia u zwierząt, szczególnie wodnych, przypisać należy spaleniu substancyj organicznych w kwasorodzie czyli tlenie, któryto pierwiastek nawet w najgłębszych warstwach wody istnieje.

Następnie wykład Dra Ciesielskiego „o działaniu siły ciężkości na krzywienie się pędów i korzeni“, ze stosowną demonstracją, tudzież o tak zwanym phyophonografie, przyrządzie własnego pomysłu, służącym do badania przyrostu rośliny, któryto przyrost sygnalizuje dzwonek i odpowiednio skonstruowany przyrząd graficzny. Oba te wykłady uzupełnił prelegent stosownymi przedmiotami demonstracyjnymi, które przez dni kilka widzieć było można, działające na wystawie przyrodniczej.

Dalej wykłada Dr. Józef Nusbaum z Warszawy rezultaty swych spostrzeżeń nad rozwojem owadów, tudzież Dr. A. Jaworowski z Krakowa „o faunie miast Krakowa i Lwowa*)“ Ostatni zwraca słuszną uwagę na potrzebę podobnych badań, zwłaszcza w miastach większych, gdzie złe stosunki sanitarne wody do picia, często dają się we znaki mieszkańcom. Wymienia następnie gatunki, w studniach lwowskich i krakowskich znalezione, których preparaty na wystawie się znajdowały.

---

*) Za preparaty fauny studzien krakowskich i lwowskich nagrodził jury wystawy Dra Jaworowskiego srebrnym medalem.

Tenże komunikuje dwie luźne notatki z zakresu zoologji (o gatunku Amphironella violacea i o nowo odkrytym przezeń rodzaju protoplasty) — poczem zabiera głos Dr Petelenz, przedstawiając wyniki swych badań nad elektrycznymi nerwami tak zwanych drętwików (Torpedo marmorata), demonstrując równocześnie swój wykład pięknym preparatem mózgu tegoż zwierzęcia.

Następuje demonstracja okazu patologicznego objawu zboczenia od normalnej budowy zębów zająca, tudzież wzmianka o pasożycie w krwi traszki wodnej; z zapatrywaniami jednak szanownego prelegenta co do punktu ostatniego zgodzić się nie możemy i poprzestajemy na zwróceniu mu uwagi na obfitą w ostatnich czasach literaturę w tym przedmiocie.

Wieczorem tegoż dnia, we czwartek o godzinie 9-tej rozpoczęła się iście wspaniała uczta, dana na cześć uczestników zjazdu w wielkich salach ratusza miejskiego przez Świetną Radę miasta Lwowa. Widzieliśmy tu kilkaset przedstawicieli nauki z różnych stron kraju i monarchii, mnóstwo dostojników świeckich i duchownych, wojskowych — tudzież wiele uczestniczek, które niestety galerją musiały się zadowolnić, gdyż na sale jedynie mężczyzni wstęp mieli. Zbyteczna tu dodawać, że podczas uczty muzyka „Harmonii" piękne utwory przygrywała. Każdy z uczestników miał na sobie toaletę galową — Prezydent zaś miasta JWny Dr. Mochnacki i wielu radnych przystroiło się w ubior narodowy....

Była to rzeczywiście powszechna uroczystość, oprócz bowiem uczestników zjazdu wzięła udział zaproszona miejscowa inteligencja, a gmach ratuszowy do końca gorzał wspaniale oświetlany.

Miła pogawędka wśród szczelnie zapełnionych gośćmi sal, przy wspaniale zastawionych stołach, trwała niemal pięć godzin. Oczywiście, przy tak wzniosłym nastroju obecnych, serdecznie i hojnie przez gościnne miasto przyjętych — bez śpiewów, mów i deklamacyj, którym fortepian wtórował, obejść się nie mogło.

Tak po królewsku zakończony drugi dzień zjazdu, rozpraszał już dobrze po północy miłych gości, z których każdy zapamięta do śmierci gościnne miasto stołeczne.

*
* *

Dnia następnego, w piątek o 9-tej godzinie rano, pracowano w sekcjach zjazdu dalej.

W sekcji przyrodniczej nastąpiły z kolei trzy wykłady geologiczne, poczem jeszcze raz do zoologji i botaniki powrócono. I tak profesor M. Łomnicki ze Lwowa odczytuje referat Dra E. Majewskiego, z Warszawy nadesłany, w którym tenże porusza sprawę wydania słownika zoologiczno-botanicznego i równocześnie uprasza członków sekcji przyrodniczej o pomoc w tym przedmiocie. W szerokiej dyskusji, do jakiej ten ważny temat dał powód, wzięło udział wielu obecnych, a pomimo, że zdania ich były różne, uchwalono jednogłośnie przyjąć wniosek hr. W. Dzieduszyckiego, t. j. aby w sprawie tej zażądać opinii Akademji Umiejętności w Krakowie.

Następnie wykłada profesor Wajgel o odmianach krajowych żmij, poczem w skutek nieobecności na zjeździe autora a znużenia odczytem powyższym profesora Łomnickiego, odczytał sekretarz Dr. Petelenz referat profesora Dra A. Wierzejskiego z Krakowa „o badaniu jezior.“ Następnie przedstawia p. S. S. Będzikiewicz z Krakowa, obecny właśnie na wystawie, model stacji zoologicznej, jako rzecz w ścisłym związku z odczytem Dra Wierzejskiego będącą. Teraz szczegółowo objaśnia zgromadzonych Dr. Petelenz, opisując i demonstrując ten model, przez Dra Frysza z Pragi nadesłany.

Referat Dra Wierzejskiego hucznemi przyjęto oklaskami.

Zgromadzeniu oświadcza sekretarz Dr. Petelenz, że baron A. Brunicki, właściciel Lubienia, przyrzekł za staraniem się tegoż, oddać dla celów badań przyrodniczych, o których w odczycie była mowa, bezpłatnie odpowiedną ubikację nad jednym z wielkich stawów gródeckich położoną, za co szlachetnemu

ofiarodawcy postanowiono serdeczne złożyć podziękowanie.

W końcu omawiano kilka ważniejszych spraw dydaktyczno-przyrodniczych, w których brali udział: profesor Wajgel, Dr. Żuliński, Petelenz i Dickstein, ten ostatni z Warszawy, poczem dla spóźnionej pory zamknął sekretarz Dr. Petelenz ostatnie to posiedzenie o godzinie 1-szej z południa, dziękując w imieniu nieobecnego gospodarza sekcji Dra Dybowskiego uczestnikom, za krótką wprawdzie, lecz żmudną i chętną pracę.

Popołudniu tegoż dnia (piątek 20. Lipca) odbyły się wycieczki do Lubienia i do Dublan, pode Lwowem. Ponieważ na pierwszej z nich, która bezwątpienia jak się później dowiedziałem, do najlepiej udanych należała, nie byłem obecny, biorąc udział w wycieczce do Dublan — przeto tylko o wycieczce dublańskiej nadmienić mogę.

Z hotelu Warszawskiego jako punktu zbornego, wyruszono kilku powozami już po trzeciej godzinie przez rogatkę Żółkiewską, Zniesienie, Zboiska i Malechów, a w trzy kwadranse, t. j. o godzinie czwartej przybyto do celu wycieczki. Wspólnie zwiedzaliśmy cały zakład rolniczy w Dublanach, gdzie zacny dyrektor, p. W. Lubomęski z profesorami tej instytucji, łaskawie i fachowo każdą rzecz godną uwagi nam objaśniali. Po zwiedzeniu gmachu szkolnego wszyscy uczestnicy udali się na miejsce eksploatacji torfu, tudzież przeróbki tegoż na materjał palny, poczem zwiedzono pięknie utrzymywany ogród botaniczny, wielką, w doborowe bydło zaopatrzoną oborę i t. p. Tu znów profesor K. Pańkowski był nam wielce uczynnym, objaśniając nas we wszystkiem.

Tymczasem w jednej z sal gmachu szkolnego przygotowano skromny posiłek, wystarczający najzupełniej za wykwintne przyjęcia dnia wczorajszego w miejskim ratuszu — płynął bowiem z tego samego źródła życzliwości, jakiej wszędzie, stosownie do zasady „czem chata bogata“ — doznawaliśmy. Pito też zdrowie kierownika p. Lubomęskiego i nawzajem uczestników.... a czas biegł szybko, przypominając, że wszystko na świecie się kończy — i do domu

wracać trzeba. Wycieczka się skończyła, wielu z nas do Lwowa powróciło, niektórzy zaś na noc pozostali u przyjaciół.

Dzień więc trzeci zjazdu się wyczerpnął. Tylko uczestnicy wycieczki do Lubienia jeszcze ochoczo się bawili, wrócili bowiem dopiero po północy.

*
* *

Otóż i sobota. Od godziny ósmej rano zwiedzali uczestnicy miejscowe szpitale, szkołę weterynarji, szkołę leśną. Na zapowiedziane II. walne zgromadzenie, po którem miało nastąpić zamknięcie zjazdu — wszyscy uczestnicy zebrali się o godzinie 10tej rano, w sali ratuszowej. Ponieważ jednak musiano zaczekać na dostojnych gości i dygnitarzy, którzy właśnie o tym czasie przy oficjalnem otwarciu wystawy się znajdowali, przeto z otwarciem zgromadzenia wstrzymać się należało, wskutek czego znaczne opóźnienie nastąpiło. Przed 11stą godziną zagaił prezes Dr. Majer posiedzenie, witając zarazem delegata Ministerjum spraw wewnętrznych Dra Kusy'ego, który kilka słów bardzo pochlebnych w języku niemieckim wypowiedzieć raczył: mowcę nagrodzono burzą oklasków.

Stosownie do programu walnego zgromadzenia nastąpiło z kolei odczytanie wyniku jury wystawy hygieniczno-lekarskiej i dydaktyczno-przyrodniczej, której referent Dr. J. Merunowicz czynność tę wypełnia. Z działu nauk przyrodniczo-dydaktycznych odznaczono tedy: Dyplomem honorowym Dra Benedykta Dybowskiego za pracę i okazy wyjaśniające historję budowy i powstawania zębów (obacz wyżej) — tudzież wydawnictwo „Pamiętnika fizjograficznego" w Warszawie (delegat Bronisław Znatowicz); Medalami srebrnymi: Dra Jaworowskiego (Kraków—zoologja), profesora J. Krupę (Buczacz —botanika), profesora Władysława Boberskiego (Tarnopol — botanika), profesora W. Tynieckiego (Lwów — botanika); Medalami bronzowymi: barona J. Brunickiego (Podhorce — zoologja), profesora Wajgla (Lwów — zoologja), Eugenjusza Znatowicza (Dublany — zoologja); wreszcie list pochwalny otrzymał Dr. A. Ula-

nowski (Lwów — zoologja). Mnóstwo odznaczeń rozdano również w innych działach.

Nastąpił dalej odczyt Dra Żegoty Krówczyńskiego ze Lwowa z zakresu medycyny, poczem sekretarz wydziału gospodarczego Dr. Szpilman wygłosił liczne telegramy gratulacyjne, między którymi wiele znalazło się od Czechów.

W imieniu komisji, która miała się zająć oznaczeniem i wyborem miejsca najbliższego zjazdu, wybranej na I. walnem zgromadzeniu, przedstawił wnioski tejże komisji profesor Dr. Blumenstok z Krakowa, oświadczając zgromadzonym, że komisja jedynie jest za Krakowem, przyczem odczytano właśnie nadesłany z Krakowa telegram od Prezydenta miasta Dra Szlachtowskiego, który w imieniu miasta zaprasza na zjazd najbliższy, co też zgromadzenie życzliwie do wiadomości przyjęło. Czas natomiast, w którym VI-ty zjazd ma się odbyć, proponuje komisja zgodnie z dawną uchwałą, według której zjazdy co trzy lata odbywać się mają.

Uchwała tedy walnego zgromadzenia w tym kierunku brzmi w sposób następujący:

Szósty zjazd lekarzy i przyrodników polskich ma się odbyć w Krakowie w roku 1891-m. Wydział gospodarczy przyszłego zjazdu obiera sobie za przewodniczących profesorów uniwersyteckich Drów Rydygera i Rostafińskiego. Wydział gospodarczy kończącego się zjazdu, oraz całe zgromadzenie wyraża Prezydentowi miasta Krakowa za gościnność w tak uprzedzający sposób ofiarowaną — najżywsze podziękowanie.

Wreszcie odczytał Dr. Grabowski z Krakowa kilka wniosków sekcji medycyny publicznej, na których urzeczywistnieniu zarówno zjazdowi, jak i krajowi całemu zależeć powinno — mają one bowiem zdążać do podniesienia publicznego zdrowia. — Wnioski te jednomyślnie uchwalono.

Na zakończenie tego posiedzenia, ostatniego podczas zjazdu, żegna prezes Dr. Majer szanownych uczestników, dziękuje wydziałowi gospodarczemu za trudy około uświetnienia i uprzyjemnienia zjazdu przedsięwzięte, wyraża dalej serdeczne słowa podziękowania miastu a szczególnie Prezydentowi i Radzie,

komitetowi wystawy i wszystkim tym, którzy do urzeczywistnienia tak pod każdym względem świetnego zjazdu się przyczynili.

Długie oklaski nagrodziły mowcę, poczem sala zaczęła się wypróżniać a uczestnicy rozchodzić się do domu. Wielu wszakże mimo znużenia zwiedziło bogate w zbiory Muzeum przemysłowe miejskie, w ratuszu się znajdujące, niestety w stosunkowo bardzo szczupłym lokalu umieszczone, co oczywiście dobrze na zwiedzającym oddziaływać nie może. Dziś miasto zajmuje się nową budową gmachu dla Muzeum i szkoły przemysłowej, która na placu Castrum ma stanąć.

Popołudniu uczestnicy zjazdu zwiedzali dalej zbiory i godne uwagi miejsca. O godzinie czwartej zwiedzono gmach Sejmowy a osobliwie salę posiedzeń Wydziału krajowego, gdzie świetny obraz Matejki „Unia“ imponująco się przedstawia. Zwiedzano dalej piękny gmach Politechniki, Kulparków i t. d.

Wieczorem podejmował uczestników wydział gospodarczy recepcją w sali „Sokoła“ miejskiego, którą ozdobiono herbami Polski, Litwy, Rusi, Krakowa i Lwowa.... tudzież choiną i kwiatami, wstęgami, chorągwiami i t. d. Bawiono się też swobodnie, o co przy grze „Harmonii“ trudno nie było. Przemawiali Dr. Radziszewski, Majer, Baranowski, Krówczyński, prezes „Sokoła,“ Dr. Mochnacki, Żuliński, Chodounsky, Syroczyński, Ekscellencja Dzieduszycki, oraz ksiądz I. Janas—a najbardziej wzruszył obecnych wiersz Platona Kosteckiego, który tu dla czytelników podajemy:

„Mówcie badacze, przed których oczyma
Leżą rozwarte — gdyby werk zegaru:
Dzieje i.... przyszłość gwiezdnego obszaru;
Powiedzcie sercu, co się w gniewie zżyma,
Którem rozpaczy wichr, jak ptakiem miecie:
Czyście znaleźli szczęście na tym świecie?

Mówcie uczeni, przed których oczyma
Jasno się ścielą — pierwsze dnie stworzenia,
Zda się, Bóg przy Was rozszerzył ramiona
I spuścił dłonie; wnet się rozpromienia

I płonie odmęt żarem Jego łona.
Dzielą się szare przeguby chaosu —
I rządzi prawo, nie przypadek losu....
Więc najcudniejsze szaty swe obleka
Ziemia - dziewica: na raj dla człowieka...
Powiedzcie owym, których pierś się wzdyma
Duszą zniszczenia żelazną i krwawą:
Co rządzi światem — czy siła, czy prawo?

Technicy! Mówcie, przed których oczyma
Korzy się piorun jak niesforne dziecko,
Para zaprzęga pierś swoją zdradziecką;
Skiniecie — rzeki milcząc w górę płyną;
Skiniecie — skała, orzecha łupiną....;
Przez lądy — mostem rozścielą się morza...
Człowiekmknieptakiem przez wichrów przestworza,
A ludy jednak krwawa rozpacz ima...
Mówcież! Co dziejów pokieruje ruchem:
Czy duch żelazem, czy żelazo duchem?

A Wy lekarze — przed których oczyma
Śmierć swych szatanów niewidome sztolne
I leki na nich rozmyka niewolne....
Mówcie! Niewoli zarazę kto wstrzyma?
Powiedzcie: czy jej bakterje piekielne,
Czy katy ludów są tu nieśmiertelne?

I oto sobota, a z nią dzień ostatni właściwego zjazdu — przeminął. Część uczestników zwiedzała jeszcze na drugi dzień zbiory i osobliwości miasta, które ich tak gościnnie podjęło, inni zaś wzięli udział w dalszych wycieczkach: Beskid-Ławoczne (gospodarz Dr. E. Dunikowski), Truskawiec (gospodarz p. Gubrynowicz), Iwonicz-Wietrzno (gospodarz Dr. Czyżewicz), oraz do Słobody Rungórskiej (kopalnie nafty) a ztąd na Czarnohorę (gospodarz profesor Wajgel). Dla uczestników tych wycieczek wydano barwnie napisany „Przewodnik w wycieczkach zjazdu“ (autor Dr. Dunikowski), oraz dla uczestników ostatniej napisał profesor Wajgel umyślnie „Przewodnik na Czarnohorę,“ opatrzony dobrze zrysowaną mapą tej okolicy Karpat.

Podać tu jeszcze winienem kilka luźnych notatek ze zjazdu. Rada miasta Lwowa ofiarowała wszystkim uczestnikom piękny i doborową treścią wypełniony „Przewodnik po Lwowie“ — przy pomocy wydziału gospodarczego, względnie osobnego komitetu redakcyjnego, wydany, wraz z mapką przedstawiającą plan miasta. — Przez cały czas trwania zjazdu niniejszego wychodził pod energiczną i sumienną redakcją profesora Dra I. Szpilmana „Dziennik zjazdu,“ którego ostatni numer (5ty) z powodu wielkiej pracy około zestawienia obficie nagromadzonego materjału — wyszedł dopiero w kilka tygodni później. Będzie on służył uczestnikom za „pamiętnik,“ któregoto wydawnictwa z powodu braku funduszów zaniechać musiano. Co do wystawy hygieniczno-lekarskiej i dydaktyczno-przyrodniczej, którą—jak to już wyżej wspomniano, uroczyście dopiero w ostatni dzień zjazdu otwarto — to takowa trwała od d. 18—26. Lipca, w ciągu którego to czasu tłumy publiczności ją zwiedzały, z ogólnem tak dla wystawców, jak i przepysznego urządzenia oraz wzorowego porządku — uznaniem.

Liczba uczestników obecnych na zjeździe dosięgła cyfry 591.

Rzecz kończymy zapewnieniem, że miłe i drogie wspomnienie piątego zjazdu we Lwowie z serc uczestników nigdy nie zaginie, a jego szlachetni gospodarze i przewodnicy — na zawsze w wdzięcznej nam pamięci pozostaną.

Dublany, w Sierpniu 1888.

S. S. Będzikiewicz.

Wiek nowy.

My już należymy do dawnej epoki,
Gdy dźwięk rymowany, dzisiaj w poniewierce,
Niósł dumnego ducha w złociste obłoki
I odezwał się tęskny w jedną zwrotkę: serce.
  My już zapleśnieli w formie i w pojęciach,
  Na naszych zagonach nowe orze plemię,
  Nasza Muza w obcych spoczywa objęciach —
  Po szalonych nocach dziś spokojnie drzemie...
Cały wiek zapałów, cały świat marzenia,
Całe tomy westchnień, rymów i uniesień
Zlały się powoli w tabliczkę mnożenia...
Po kwiatach i wiośnie — owoce i jesień...
  Spijcie dusze młode! Nie patrzcie na słońce,
  Nie biegnijcie duchem tam gdzie ducha światy.
  Tu na ziemi uciech początki i końce!
  Po co sercem więzień wyłamywać kraty?
Strójcie doczesnego świątynię żywota
W bogate zdobycze chlebodajnej paszy;
A gdy serce porwie nieznana tęsknota,
Wypędźcie ją czemprędzej ze świątyni waszej!

Bruksela, 20. Lutego 1889.

Henryk Merzbach.

Grupa z żywych osób

(według fotografii Eugeniusza Jurkiewicza z Kołomyi.)

(Z ryciną na str. 102.)

Wątku do tej illustracji dostarczyły artyście słowa wieszcza, autora „Irydjona“ i „Nieboskiej komedji,“ które poniżej umieszczamy:

„Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany,
Deptać musiałem obcych ludzi łany,
I słyszeć z dala tych szatanów wycia,
Co ziemię moją okuli w kajdany;
Jak Dant — przez piekło — przeszedłem za życia!

. . . .

I ujrzałem Archanioła,
Postać w bieli i w purpurze,
Z nad klęczących ludów koła
Podnoszącą się ku górze!
Obrócone w zwyż jej oczy;
Lecz ku duchów — ludów stronie
Wyciągnięte na dół dłonie —

. . . .

Ha! myślicie, że kto kocha
I umiera, ten już ginie?
Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie,
Ten się przelał w drugich tylko!
Mieszka w ludzkich serc ukryciu,
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile!

. . . .

Bóg nas wcieli w drugie ciało!
Bośmy w żadnej zgonu chwili
Ducha nigdy nie stracili.
Próbę grobu my odbyli,
Prawem naszem: Zmartwychwstanie.
Dziś lub jutro dasz je, Panie!



Grupa z żywych osób
(według fotografii Eugeniusza Jurkiewicza w Kołomyi.)

Ksiądz Stanisław Chołoniewski,

kartka z dziejów literatury polskiej

w latach 1840—1846.

W krótkim szkicu niniejszym chciałbym dać rys życia i zasług człowieka niegdyś głośnego, cenionego i szanowanego ogólnie, dziś niestety zapomnianego niemal zupełnie. Była to jedna z owych postaci szlachetnych, niezrównanej słodyczy i łagodności w obcowaniu z drugimi, dla siebie z zaparciem się i surowością, ożywiony zawsze i wszędzie jedną myślą, myślą poświęcenia i pracy dla kraju. Póki wątłej tkanki życia starczyło, służył swoim wiernie słowem i czynem, z gorącą wiarą w odrodzenie ojczyzny, więc też kiedy skołatane życie ziemskie zakończył, zasłużył na wdzięczne wspomnienie i pamięć, a przedewszystkiem na naśladowanie cnót swoich, któremi wskazał, jak poświęcać się i cierpieć dla ojczyzny... To też tych kilka słów niech przypomną rodakom piękną postać kapłana prawdziwie polskiego, ks. Stanisława Chołoniewskiego...

W kilka dni po jego śmierci, gorący wielbiciel i towarzysz pióra — J. I. Kraszewski w życiorysie rzuconym na prędce w jednem z pism ówczesnych, tak się odzywa: .... „W kościele wojującym mało jest mężów, coby go zastąpić potrafili, nikt może zupełnie miejsca jego nie zajmie. Rzadcy są ludzie jego zdolności, charakteru, świątobliwości i równie chrześciańskiej słodyczy, połączonej w potrzebie z męzką energją duszy: my, cośmy go znali osobiście, cośmy go cenili sercem i umysłem jako człowieka, kapłana, jako pisarza, zbliżeni ku niemu, głębiej zajrzawszy w anielską duszę jego, bolejem może mocniej od innych nad zgonem. Wieść niespodziana o śmierci

tego człowieka przejęła nas żalem, pod którego wpływem tych kilka słów nieudolnych chcemy poświęcić pamięci jednego z najznakomitszych ludzi w kraju naszym, jednego z najmniej przecie poznanych i ocenionych. Tak jest, niejednokrotnie przekonaliśmy się, że jako kapłanowi, jako pisarzowi nie oddano mu należytej sprawiedliwości. Nie czas jest może dzisiaj rozszerzać się nad tem jeszcze, lecz przyjdzie chwila, w której spodziewamy się, że powszechność nasza spłaci na grobie dług zaciągnięty za życia jego......“

Urodził się ksiądz Stanisław hrabia Chołoniewski w ówczesnem województwie bracławskiem w majętności rodzinnej, miasteczku Janowie u ujścia Śniwody do Bohu, 23. Marca 1791-go r. ze starej, szlacheckiej, a choć skromnie, to jednak nieraz dobrze zapisanej w dziejach ojczystych rodziny. Kilku słowami skreślę jej przeszłość, bo „dlaczegóżby — jak mówi jeden z naszych pisarzy — życie dziadów nie miało w pewien sposób objaśnić historji wnuków?“ —

W pierwszej połowie 15. stulecia zjawia się na Wołyniu Piotr Myszczyc, Litwin, „znakomite zajmujący w ojczyznie stanowisko,“ o którego pochodzeniu wiemy tylko, że wywodził się jak wiele rodów litewsko-ruskich od dawnych książąt udzielnych żmudzkich*). Musiał tu znaczne położyć w rycerskim zawodzie usługi, skoro król Kazimierz nadał mu w dziedziczne władanie a „w nagrodę dobrej i wiernej służby,“ majętności wołyńskie Saliszczowo, Chulew, Horodyszcze i Chołoniew czyli Chołyniew. Według tej ostatniej począł się nowy ziemianin wołyński zwać Chołoniewskim, a dawne imię przekształciło się z czasem w przydomek „Myszka.“ Syn jego Bohdan Myszczyc Chołoniewski ożeniony z kniaziówną Chodyrowiczówną z Warkowicz, powiększył też znacznie fortunę ojcowską.... W końcu 16. wieku widzimy wnuka Bohdanowego już starostą owruckim i kasztelanem wołyńskim, który córki swe wydaje jedną za Kisiela, drugą za Radziwiłła wojewodę żmudzkiego...

---

*) E. Kuropatnicki, kasztelan bełski „Wiadomość o klejnocie szlacheckim“ (Warszawa 1780).

Ostatnia była matką sławnego kanclerza, autora historycznych pamiętników. Równocześnie kroniki zapisują imię dzielnego rotmistrza husarji pancernej Michała Chołoniewskiego, który znacznie przyczynił się do zwycięztwa pod Guzowem. — Dziad ks. Stanisława Adam ożeniony z Salomeą Brochwicz Kątską „podkomorzy bełski, później kasztelan buski, zostawił kilkunastu synów. Najstarszy Ignacy, starosta kołomyjski i marszałek trybunału koronnego, drugi Franciszek Ksawery łowczy wielki koronny, trzeci ojciec ks. Stanisława, Rafał, starosta dubieniecki i lityński, a od r. 1792 ostatni miecznik koronny... Był to człowiek swojego czasu dość znaczny, wpływowy, choć przekonań może nie zawsze takich, z któremi by się zgodzić należało, posłował kilka razy na sejmy, w końcu osiadł w rodzinnym Janowie, na stepie bracławskim.... i poślubił młodziutką pannę Rzyszczewską, córkę kasztelana lubaczowskiego.... Mieszkaniem był stary, piękny zamek*) warowny od napadów hajdamackich, z przekopami i basztami, obok którego wznosił się klasztor i kościół Bernardynów, fundacji kasztelanowej Salomei Chołoniewskiej... Życie zapowiadało się szczęśliwie i mogłoby takiem być rzeczywiście, gdyby nie przeciwne zrządzenie losu; młoda, bo zaledwie dwudziestokilkoletnia miecznikowa znalazła śmierć w płomieniach, które się chwyciły jej sukni od kominka; w okropnej, ostatniej chwili, ta zacna kobieta, prawdziwy typ dawnej niewiasty polskiej, nie zapomniała o dzieciach, bo wyciągając palące się ramiona ku obrazowi Bogarodzicy, błagała o błogosławieństwo dla nich... Niepocieszony po stracie miecznik oddał się wychowaniu dzieci, których zostało czworo. Najstarsza Emilja, po niej Jędrzej, Cecylja i Stanisław. Kolebkę Stanisława otaczali prócz bony, rezydentki zamku janowskiego, kapelan domowy i lekarz, którego obecność ze względu na wątłe zdrowie dziecięcia była prawie ciągle potrzebną. Kiedy podrósł, oddany został pod opiekę nauczyciela domowego, którym był Jan Witwicki,

---

*) Przedstawiony w albumie Napoleona Ordy.

ojciec znanego poety*), były rektor szkół winnickich, późniejszy profesor liceum krzemienieckiego, którego piękną postać w wiele lat później tak maluje ks. Stanisław w „pamiątkach z swego życia:“... „Prócz niepospolitej biegłości w matematyce i przyrodniczych naukach, miał dar rzadki ujęcia sobie serca uczniów. Słowa jego były serdeczne, ogniste, rozpalające do nauki, do pracy umysłowej, które tylko wystawiał nam jako potężne narzędzie do służenia ojczyznie.“ Był, jak go dalej maluje wdzięczny uczeń „rzewny, łagodny i groźny na przemiany, z wymową namiętną, z zapałem szczerym, z młodzieńczą nadzieją w reformy pomyślne kraju, w których szczęśliwe owoce mocno wierzył... Nieraz, kiedy najlepiej poszła mi lekcja i spodziewałem się od niego owego żywego, radośnego wejrzenia, którem umiał nas malców do najwyższego entuzjazmu doprowadzić — on spojrzał na mnie smutno, kiwnął głową i rzekł: „To dobrze, Horacy, Wirgiljusz, la Caille i Berout i Libes — ale choćbyś WPan z tego wszystkiego examen mógł zdać jak Jan Śniadecki, nic po wszystkiem, jeżeli nie będziesz swoim pożytecznym, nic, nic po wszystkiem, jeżeli nie pojmiesz, co to dla swoich żyć i umierać poczciwie.“

Wychowanie domowe Stanisława podlegało dwom różnym prądom. Ojciec, jakkolwiek sam obyczaj staroświecki zachował, ulegając duchowi czasu naginał edukację syna w sposób francuzki, otoczył zgrają metrów i nauczycieli Francuzów, Niemców, Anglików, co było powodem, że Stanisław poznał jak najdokładniej język i literaturę francuzką i inne kosztem zaniedbania języka ojczystego, a nawet jeszcze w r. 1823 czytając Skargę, Kochanowskiego i innych pisarzy zygmuntowskich, przyznaje się krewnemu, że dopiero „uczy się po polsku.“ — Później za to, ten sam po cudzoziemsko wychowany młodzieniec, w którego wykształceniu tak wielki kładziono nacisk na francuzczyznę, najzaciętszym był przeciwnikiem tej zgubnej

---

*) Poetą tym Stefan Witwicki, słynny autor „Wieczorów Pielgrzyma“ i „Poezyj biblijnych“, urodzony w r. 1800 w Janowie, nie w Krzemieńcu, jak niektórzy mylnie podają.

wady, zagnieżdżonej w ówczesnem polskiem społeczeństwie i w pismach swoich nieraz ją wyśmiewał i przedstawiał jej szkodliwe następstwa. Z drugiej strony zacny Witwicki wpajał w młodzieńca zamiłowanie do piśmiennictwa polskiego, do języka i historji ojczystej. To ostatnie też zwyciężyło.

Uzupełniając wykształcenie domowe, zapisał się na kursa uniwersyteckie w Wilnie, gdzie słuchał wykładów prawa.

Zdarzenia polityczne roku 1807, rozbudzone na nowo nadzieje pociągnęły i Stanisława do czynnego działania. Siedmnastoletni młodzieniaszek uzbroił swoim kosztem oddział ułanów polskich, którego został porucznikiem i zaciągnął się w szeregi wojsk księcia Józefa Poniatowskiego, a chorągiew jego wcielono do 12-go pułku Przebendowskiego. Odbył też dwuletnią kampanję i dopiero w r. 1809 m po zajęciu Galicji przez ks. Józefa wrócił do Janowa*) Interesa jednak nie dały mu długo siedzieć w domu. Musiał się wybrać do Petersburga, aby postarać się o uwolnienie ciotki kasztelanowej Rzyszczewskiej, której rząd podczas burzy wojennej za zbytnią dla Francu-

*) Biografowie Chołoniewskiego dziwnie zimno i zaledwie paru słowami zbywają te piękne chwile, kiedy siedmnastoletni ledwo młodzieniec zaprawia się już do walki z wrogami ojczyzny. Najsympatyczniejsze i najobszerniejsze wspomnienie tej epoce życia Chołoniewskiego poświęca Dr. Antoni J. — Kraszewski wspomina o „spłaceniu długu krajowi służbą w szeregach wojskowych.“ Tak detajliczny zaś i szczegółowy biograf, jak ks. Badeni, zdaje się nawet nic o tem nie wiedzieć i dowiaduje się jedynie z Kraszewskiego, że Stanisław „odbył krótką służbę wojskową,“ a w dodatku tok opowiadania każe się domyślać, że tym krajem, któremu Stanisław „dług. spłacił“, była Rosja, że służył w szeregach rosyjskich...... Wobec tej niewytłumaczonej oziębłości, z jaką omija te dwa lata życia Stanisława, ośmielilibyśmy się zrobić szanownemu biografowi uwagę, że przecież piękniejsza to strona życia ks. Stanisława, niż n. p. służba w ministerstwie rosyjskiem, którą się człowiek tak zacny i dobry Polak, jak ks. Chołoniewski z pewnością sam brzydził i przyjął ją jedynie pod naciskiem nalegań familii, marzącej o jakichś zaszczytach i karjerze dyplomatycznej choćby w służbie cara — i dlatego wkrótce mimo usilnych nalegań ze strony krewnych, służbę tę, jako wstrętną dla siebie porzucił.

zów sympatję, skonfiskował dobra, samą zaś wywieźć kazał do Pensy. Dzięki wpływowi siostry ciotecznej Marji z Czetwertyńskich Naryszkinowej, udało się rzeczywiście wyrobić ułaskawienie z warunkiem jednak, że syn kasztelanowej, Gabrjel Rzyszczewski, pułkownik ułanów polskich a prawpodobnie i kolega obozowy Stanisława z lat 1807—9, porzuci służbę wojskową. — Inteligentny, pełen ogłady, przystojny młodzieniec rad był widziany tak w polskich, jak i rosyjskich towarzystwach. Starano się zatrzymać go w petersburskich sferach, w tym celu ofiarowano mu tytuł szambelana, którego jednak Stanisław nie przyjął i wyjechał do Janowa; mimo iż jakaś piękność stolicy „o oczach Uranii,“ zdołała ujarzmić serce młodego porucznika....

Z tem wszystkiem zostawał bez wytkniętego na przyszłość celu, a rad przecie poświęcić się jakiejś pracy zawodowej. Wyższy umysłem, nie zadowalniał się czczym blichtrem i zewnętrzną ogładą swej sfery, a pamiętny słów dawnego pedagoga z lat dziecięcych: „nic po wszystkiem, jeżeli nie będziesz swoim pożytecznym — jeżeli nie pojmiesz, co to dla swoich poczciwie żyć i umierać,“ — pragnął z talentów swoich i korzystnych warunków, w jakich go los postawił, złożyć dań należną krajowi. Jednem z szerszych pól, które nastręczały do tego sposobność, była wtedy służba w dyplomacji, na której tak wielkie wówczas pokładano, a tak mylne niestety nadzieje... Krewni, a z nimi i ojciec radzili oddać się temu zawodowi, znajomi z Petersburga, posiadający wpływy, obiecywali pomoc, protekcję, postanowiono więc czynić kroki o posadę. Car bawił wówczas we Wiedniu, trzeba było zatrzymać się aż do powrotu. Wybrał się tymczasem Stanisław dla poratowania zdrowia do Karlsbadu, zkąd wracając zwierzył się towarzyszowi podróży Giżyckiemu, że postanowił oddać się stanowczo służbie dyplomatycznej, gdyż wstyd mu siedzieć z założonemi rękami, kiedy może zająć stanowisko, na którem stosunkami swymi, wpływem wreszcie i pracą wytrwałą mógłby się przyczynić do niejednego dobrego, tem bardziej, że od pewnego czasu nowe a korzystniejsze dla Polski zapanowało

usposobienie w kołach rządowych. Życzeniem jego było otrzymać przydzielenie do ambasady rosyjskiej w Berlinie, zaraz więc z powrotem udał się do Warszawy, gdzie car w przyjeździe do Petersburga miał się zatrzymać.

Nie wiele jednak i tu udało mu się zrobić; znajomi i protektorzy ponowili wszystkie obietnice, w gruncie rzeczy nic nie zrobiwszy i po kilkunastodniowym pobycie opuścił młody Chołoniewski Warszawę, aby jeszcze dalej z Janowa przypominać się przyjaciołom. Ale trudno się było spuszczać na tych ostatnich, dla tego wyjechał Stanisław sam do stolicy, chcąc się czegoś stanowczego dowiedzieć. „Nie posługuję się żadną W i n k e l p r o t e k t i o n, mówi w liście do rodziny, idę prostą, utartą drogą, a jeżeli mi ją zamkną, to doznam przynajmniej losu bardzo wielu porządnych ludzi i powtórzę wracając zkądem przyszedł: Non omnia possumus omnes". — Tymczasem jednak sprawa poczynała raźniej i na lepsze wchodzić tory. Minister, hrabia Capo d'Istria pochwalił osobiście plany Stanisława i przyrzekł przydzielenie do kancelarji spraw zagranicznych w Petersburgu, następnie do poselstwa w Berlinie, Nesselrode myślał o przydzieleniu do ambasady rosyjskiej w Ameryce; przeciw temu ostatniemu zaprotestował Stanisław, bo jakkolwiek projekt „podobnej podróży miał w sobie coś pociągającego," to w krótce „myśl o papie wróciła go do rozsądku i rzeczywistości." — Koniec końcem dano mu na własne żądanie posadę w biurze hr. Capo d'Istria i zaczął swą dyplomatyczną karjerę, gdzie spodziewał się „nabyć politycznego wykształcenia i doświadczenia." —

„Oto tutejszy mój tryb życia — pisał do szwagra. Wstaję mniej więcej o szóstej rano, a po pacierzu zabieram się do roboty, przedewszystkiem do biurowej... O ósmej idę na mszę do Jezuitów. Resztę poranku studjuję historję traktatów i prawa publicznego. Wychodzę dopiero o trzeciej i cały czas poobiedny poświęcam na wizyty; wracam o ósmej, aby nie opuścić ulubionej lektury historycznej lub religijnej; dałem za wygraną z poezją i muzyką, nawet na fortepianie. Zabrałoby mi to za wiele

czasu.“ — Wkrótce już jednak życie w Petersburgu zaczęło mu brzydnąć. Młodzieniec marzący o pracy pożytecznej doznał zawodu. „Wiem już, co to jest ta czynność za stolikiem nad papierami, z których niczego się nie można nauczyć lub na posiedzeniach, gdzie trzeba słówka ważyć i na wszystkie obzierać się strony.“ Mimoto nie żałował kroku uczynionego, bo zadość nim uczynił „własnej spokojności,“ a zarazem nauczył się, „że po zaspokojeniu pierwszych obowiązków, cała karjera uczciwego człowieka od niego samego zawisła, a środki na to ma wskazane we własnem sercu i umyśle.“ — Zapewne już wtedy pragnął wyrwać się z tego niemiłego koła i szukać przyszłości innej, odmiennej, przyszłości i pola pracy, jakie mu „wskazywał umysł i własne serce,“ jeżeli jednak został dalej na stanowisku rozpoczętem, to jedynie, ażeby módz zrobić coś dla ukochanego szwagra, Mikołaja Grocholskiego, na którego rząd nieprzychylnem okiem patrzał. „Gdyby, pisał do siostry Emilii, nie pewne widoki na przyszłość i gdyby nie przekonanie, że pomocnym być mogę w interesach Twojemu mężowi, za nicbym w świecie tutaj nie został, a kiedy mówię: za nic, to mówię bardzo dużo.“

We Wrześniu 1817 wziąwszy uwolnienie od służby na dłuższy przeciąg czasu, opuścił Petersburg — a zapewne z tem samem uczuciem, które było powodem, że gdyby nie obowiązki względem rodziny „za nicby w świecie tam nie został“ — z tą samą myślą, z jaką w wiele lat potem wjeżdżał do wspaniałej nadnewskiej stolicy:

„Wśród tego blasku wszędzie smutek mnie przycisnął,
„Tak wiele łez mych braci na te głazy padło!“

Na krótko udał się do Warszawy*), gdzie chciał kołatać jeszcze o przydzielenie do poselstwa w Paryżu,

---

*) Powitanie stolicy północnej, sonet, zaczynający się od słów:

„Witaj wspaniałe miasto, wielki grodzie carów,
Potężne dzieło z spiżu, z granitu wykute —
Szkoda, że twe powietrze niewolą zatrute,
Stolico wiecznej musztry, parad i koszarów!“

dokąd go i inne, familijne pociągały sprawy. Miał bowiem polecenie od rodziny zbadać reguły klasztorów żeńskich tamtejszych, aby jaką z nich wybrać dla siostry Marji Cecylii, która zamierzała poświęcić się życiu zakonnemu. Wkrótce jednak Cecylję odwieziono do Wizytek we Wilnie, sam zaś Stanisław podążył przez Łopatyn, Kraków i Wiedeń do Francji. Chciał się przypatrzeć życiu, jego dążeniom, walkom i celom, życiu, które jeżeli gdzie, to w Paryżu, ognisku ówczesnego świata studjować można było, pragnął uzupełnić wreszcie nauki szkolne doświadczeniem, pragnął bliżej poznać obowiązki, jakie społeczeństwo wkłada na obywatela. To też zaraz wziął się do studjów w rozmaitych kierunkach. Zwiedzał muzea, wystawy, słuchał wykładów najsławniejszych profesorów, choć długo nie mógł się zabrać do systematycznej pracy, bo jak mówił „niesłychana rozmaitość objektów w niepotrzebną mnie niespokojność wprawia widzenia i nauczenia się wszystkiego razem.“ — Głównie zaś studjował metodę wychowania i w tym celu zwiedzał rozmaite zakłady szkolne, które miały posłużyć za wzór szkół ludowych dla własnego kraju. „Przyszłą mą podróż — pisał wybierając się w nią właśnie — poświęcę nietylko nabyciu nauki, jakiej domaga się odemnie stanowisko właściciela dóbr w kraju nie zupełnie barbarzyńskim, ale też przygotowaniu się do działania w katolickim duchu, w małej naszej prowincji, której tak brak środków i ludzi rozbudzających tego ducha... Przedewszystkiem obserwować będę wszystko, co się odnosi do kwestji wychowania, zwłaszcza klas uboższych, do instytucyj publicznych tego rodzaju, ich materjalnego i moralnego prowadzenia. Ty znając miejscowe potrzeby, a mając nadto większe doświadczenie odemnie w traktowaniu interesów, będziesz mógł zużytkować ten materjał na korzyść kraju. Najpierw zrobisz próbę w własnym majątku, a jeśli udadzą ci się niektóre ze zrobionych kroków, inne nie udadzą, wtedy bogaty korzystnemi doświadczeniami, obserwacjami rozumnemi, a nadewszystko czystą intencją, która podwaja wartość każdego umysłowego skarbu, zdążać będziesz na urzędach, przez kraj ci

zleconych*), do zastosowania na większą skalę środków już wypróbowanych a podnoszących znacznie wszelkiego rodzaju dobrobyt. Słowem, ty będziesz architektą, ja znosić ci będę cegły i wapno.“ — Piękne te plany i kroki rozpoczęte w celu uskutecznienia ich, przerwała zatrważająca wiadomość o słabości ojca, która spowodowała natychmiastowy wyjazd z Paryża. W Sierpniu stanął w Janowie, gdzie następnego miesiąca w nocy z 11-go na 12-sty miecznik zakończył. Śmierć ojca wpłynęła znacznie na zmianę usposobienia Stanisława, a przykład siostry Cecylii, długie rozmowy w Paryżu z Lammenais'em, w Wiedniu z Wernerem, na Podolu z ks. Calebottą, wreszcie wewnętrzny pociąg, plany jego pokierowały od tej chwili stanowczo w inną stronę. Skłonny do życia cichego, duchowego, przejęty nawskroś tradycją pobożności, wśród której wzrósł w domu rodzicielskim, wśród której kształcił się i pracował aż dotąd — nie wiedziony żadną świecką rachubą, ale istotnem powołaniem i pragnieniem doskonalenia się, zapragnął poświęcić się stanowi kapłańskiemu. Nim jednak odważył się na krok stanowczy, mający rozstrzygnąć o całej przyszłości jego, policzył się dobrze z sumieniem, z własnem usposobieniem swojem i siłami, czy podoła godnie ogromowi pracy i obowiązków, jakie na siebie przyjąć by musiał, wstępując w stan duchowny... Szlachetny i sumienny, nie chciał być faryzeuszem, jakich dużo w liczbie sług kościoła, pojmował raz przyjęty obowiązek jako rzecz świętą. Obcowanie z Wernerem i O. Calebottą, długie rozmowy i rekollekcje, z nimi odbywane, miały go przygotować do kroku stanowczego. Ten ostatni szczególnie, wielki wywarł wpływ na przyszłego kapłana. „Obcowanie z tym człowiekiem stało się epoką w mojem życiu. Jego słowa były dla duszy mej promieniami, w których świetle cały świat mi się przedstawił inaczej, niż dotychczas.“ —

---

*) Mikołaj hr. Grocholski piastował wtedy urząd wicegubernatora Podola.

Z początkiem wiosny 1827-go r. wyruszył wreszcie Chołoniewski do Rzymu. W drodze przez Galicję zatrzymał się w Krakowie, tym drogim dla każdego serca polskiego grodzie zabytków dawnej, świetniejszej przeszłości, zwiedził pamiątki minionej chwały narodowej, zamek królewski, wspaniałe kościoły.. „Pewny jestem, opisywał wrażenie swoje szwagrowi, że nawet ruiny Rzymu nie przemówiłyby mi tak silnie do serca, jak ruiny Krakowa. Serce nasze bardziej zahartowane na widok zmiennych losów rodzaju ludzkiego wziętego ogólnie, a Rzym był całym rodzajem ludzkim, był stolicą narodów; ale przedwczesny upadek i śmierć współczesnego narodu, którego zwyczaje i tradycje przechowujemy wszyscy, jak przechowujemy rodzinne portrety, ma w sobie coś ponurego, przygniatającego duszę. Zbliżamy się do grobów wielkich naszych królów, do miejsc uświęconych cudami wszelkiego rodzaju przez wielkich naszych mężów; serce bije nam z miłości i czci dla tych wielkich historycznych wzorów; niestety! niebiańskie to wzruszenie trwa zaledwie chwilę! Czyż jesteśmy dziećmi tej samej rodziny? czyż słabe to pokolenie może sobie rościć prawo do pokrewieństwa z temi pięknemi i silnemi duszami, ozdobą swych wieków? Zimne ich prochy nic już nie mówią do otaczających; żywi ich nie słuchają i nie rozumieją. Świątynia opuszczona, arka oniemiała. Stawiając wciąż pod pręgierz pogardy czasy, które zowiemy barbarzyńskiemi, chcielibyśmy się otrząść z niegodnych pamiątek przeszłości. Ostatnie to nieszczęście, do którego dojść może naród, który już stracił swą samoistność, jest to narodowe samobójstwo! Widok Krakowa poruszył we mnie klawisz ukryty na dnie serca, wszak aż do końca życia nowy jakiś nieznany dotąd raz po raz się odzywa. Różne, nagle jakby mimowoli ogarniające mnie uczucia dowiodły mi, że i w biednem mojem sercu znajduje się kącik, w którym drzemała miłość ojczyzny. Jest to dla mnie jakby nowe jakieś odkrycie odłogiem dotąd leżącego kraju. W jednej chwili zrozumiałem całą siłę owych słów wielkiego proroka: O Jeruzalem, jeśli na cię zapomnę, niechaj prawica moja uschnie! Strzedz będę z pewnym

słodkim niepokojem tego odnalezionego kraiku; me serce poświęci mu najczulsze starania; czuwać nad nim będę jako nad kosztowną cząstką życia mej duszy, jako nad najpiękniejszem spadkobierstwem przez ojca mi przekazanem.“

Po sześciomiesięcznej podróży, podczas której w Chebie poznał Getego, stanął Stanisław na koniec w Październiku 1827-go r. w wiecznem mieście..... Tu wziąwszy od ambasadora rosyjskiego zupełne uwolnienie od służby rządowej, zapisał się do Akademii duchownej (academia ecclesiastica) i po gorliwych studjach i egzaminach, otrzymał we Wrześniu 1829-go r. z rąk kardynała Odescalchi'ego święcenie kapłańskie ze stopniem doktora teologji. Kółko rodaków bawiących w Rzymie, Henryk Grocholski, Czartoryska stolnikowa litewska, ks. Scipio, byli obecni tej wzruszającej ceremonji... W tym czasie prawdopodobnie u bawiącej wtedy w Rzymie rodziny Ankwiczów, u której (jak zapisywał w dzienniku) „wszyscy przebywający tutaj Polacy regularnie się schodzimy,“ poznał się z Mickiewiczem, na którego wielki wpływ wywarł duchem swym prawdziwie chrześciańskim, tu też zetknął się ze znajomym sobie ks. Wiktorem Ożarowskim, kształcącym się w „collegium romanum“ i krewniakiem Henrykiem Rzewuskim. Mickiewicz zaprzyjaźnił się wkrótce z młodym kapłanem, dla którego zresztą do końca życia zachował cześć i czy to ustnie, czy w korespondencji z wielkiem uszanowaniem o nim wspominał, dla którego czuł „wdzięczność i uwielbienie,“ gdyż zawdzięczał mu „wiele — pociechy, wiele chwil szczęśliwych, nowy widok świata, ludzi i nauk“*). I później po rozstaniu, stosunek ten przyjacielski nie zerwał się, gdyż poeta utrzymywał ożywioną z ks. Stanisławem korespondencję, która niestety zarówno, jak ciekawa korespondencja z Rzewuskim i wiele rękopismów własnych ks. Stanisława, w wiele lat po jego śmierci z pewnych przyczyn zaginęła bezpowrotnie, uległa zniszczeniu... Obcowanie

---

*) Korespondencja Adama Mickiewicza, t. IV. str. 115.

z Rzewuskim, ks. Ożarowskim, a nadewszystko Mickiewiczem, nie pozostało bez zbawiennych skutków na młodego kapłana. Za ich to wpływem zaczął on język ojczysty, dotąd zaniedbany, głębiej studjować, francuzczyznę, którą się w większej części nawet w korespondencji z rodziną posługiwał, zarzucił raz na zawsze, a wszystkie listy, dzienniczek, notatki odtąd jedynie po polsku układa. W listach do rodziny znajdujemy tylko bardzo lakoniczne o stosunku z Adamem wzmianki: „U Mickiewicza wizyta;“ „Mickiewicz poczciwy często mnie odwiedza.“ Pod datą 19-go Listopada 1830 donosi poeta Odyńcowi: „Z Polaków nowo przybyłych jest tu hr. Rzewuski, dawny mój znajomy z Petersburga i z Krymu, o którym tobie nieraz gadałem. Z nim i z ks. Chołoniewskim (teraz bardzośmy się zbliżyli) najwięcej czasu trawię.“

Po odebraniu święcenia postanowił Stanisław wrócić do kraju; ale papież poznawszy wśród długich, samotnych rozmów umysł wyższy i zacny, polubił młodego kapłana, obsypał go zaszczytami, byle tylko zatrzymać go przy sobie. Zrobił go swoim szambelanem, prałatem komornym, protonotarjuszem, kawalerem złotej ostrogi, przyozdobił krzyżem maltańskim, obiecywał świetną przyszłość, wakującą nuncjaturę, jedną z pierwszych... Ksiądz Stanisław jednak chciał pracować śród swoich i dla swoich, nic go nie zdołało zachwiać w tym zamiarze, dla tego w liście do papieża pisanym wyraził się, że obowiązkiem jest jego siać ziarno na własnej glebie, na ziemi ojców, ale jeżeli wola jest ojca św., to niech mu nakaże zostać pod grzechem. Grzegorz XVI. tego nie uczynił i z żalem rozstał się z ks. Chołoniewskim, wypytując odtąd zawsze rodaków do Rzymu przybywających o młodego kapłana i zasyłając swoje błogosławieństwo.. „Ta tęsknota za krajem (mówi Kraszewski) jest najpiękniejszą pochwałą zmarłego, najlepszym dowodem prawdziwego powołania. Ani łaski głowy kościoła, ani nadzieja wzniesienia się, ani sposobność doskonalenia się naukowego w stolicy katolicyzmu, ani klimat dla wątłego zdrowia jedyną może rękojmią życia będący, nie wstrzymały go tutaj.“ Program pracy swej kapłańskiej, program godny chrześciańskiego

kapłana nakreślił Chołoniewski w liście pisanym do rodziny, gdzie wyraził, że celem pragnień jego i pracy w tym względzie podjętej, było, ażeby zostać prostym księdzem, ale nie dygnitarzem, aby pracować dla rodaków, na ziemi rodzinnej, gdzie skromny talent jego wzbogacony wiadomościami nabytemi w stolicy chrześciaństwa, wydaćby mógł plony pomyślne, podczas kiedy w Rzymie zawadzałby tylko godniejszym od siebie...

Listopad roku 1830-go zastał Stanisława w Rzymie. Echo rozpaczliwego łamania więzów, gniotących naród, odbiło się i nad Tybrem. Chołoniewski śledził z natężoną uwagą, z sercem rozpalonem każde drgnienie — jakaś siła tajemna ciągnęła go ku swoim........ W końcu — powstanie upadło! Teraz nic już nie zdołało powstrzymać ks. Stanisława od powrotu do nieszczęśliwej ziemi rodzinnej i w r. 1832-m stanął w Janowie. Jakże smutny był widok wszystkiego, co zastał! Szwagier był na wygnaniu, a gromadka wiernych z trwogą oglądała się, żali znajdzie kogo, coby ją prowadził po twardej drodze! Na czas więc stawił się ks. Stanisław, ażeby służyć swoim jako kapłan i ojciec... Następnego roku umarł krewny, Michał Grocholski, starosta żwinogrodzki; pogrzeb odbył się w Strzyżawce. Stanisław przemówił nad grobem zmarłego gorąco a rzewnie, wzruszając wszystkich... Obecny przy obrzędzie Henryk Rzewuski był zachwycony, a biskup Mackiewicz mianował ks. Stanisława kaznodzieją przy katedrze kamienieckiej. Mowa ta została odbita w tłoczni berdyczowskiej r. 1833-go z następną dedykacją: „Henrykowi hr. Grocholskiemu i Julii z hr. Grocholskich hr. Rzewuskiej po zgonie najlepszego ojca, dzieciom pobożnie zasmuconym, na pamiątkę wspólnej miłości, przyjaźni i tęsknoty za zmarłym, poświęca krewny, przyjaciel, kapłan, St. Myszka-Chołoniewski.“ Wkrótce potem zapadł ks. Stanisław na zdrowiu i w r. 1836. udać się musiał do kąpieli morskich w Odesie, gdzie przebywała siostra Emilja i kółko dawnych znajomych. Bawiąc tu napisał „Uwagi o moralnym rozkwicie kolonii w Nowej Rosji,“ (Considérations sur la prospérité morale des colonies de la Nouvelle Russie),

w których wykazał potrzebę założenia biskupstwa katolickiego w Odesie. W tym też prawdopodobnie celu udał się do Petersburga, ale nie wiele podobno udało mu się tam wskórać. Niebawem został kanonikiem i prałatem katedry kamienieckiej, potem wizytatorem klasztorów dyecezji podolskiej, a w końcu po śmierci biskupa (1842) administratorem tejże dyecezji. Rząd jednak nie chciał potwierdzić ks. Chołoniewskiego na tej godności i naznaczył ze swej ręki dogodniejsze, powolne swoim zamysłom narzędzie..... Gryzł się tem ks. Stanisław niezmiernie, nie, aby pragnął zaszczytów, tych bowiem miałby więcej, gdyby pozostał był w Rzymie — ale chciał dobra publicznego a nie mógł patrzeć na systematyczne krzywdzenie kościoła katolickiego przez rząd... Od r. 1842 przemieszkiwał w Kamieńcu, latem tylko do Janowa się wychylał, wszędzie zaś spełniał obowiązki kapłana, szczególnie z kazalnicy porywając słuchaczów rzadką, nie na frazesach i kwieciu retorycznem opartą, ale duchem bożym i miłością bliźniego natchnioną wymową... W pięćdziesiątym roku życia, jako mąż dojrzały dopiero, występuje na pole piśmiennictwa. W jednym z numerów „Athenaeum“ redaktor tego pisma, J. I. Kraszewski w ten sposób określił program swojego pisma: „Pismo nasze stanie, o ile siły pozwolą, do walki z niewiarą, materjalizmem, sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodej Europy, w tym celu w oddziale świeżo utworzonym filozoficzno-religijno-moralnym starać się będzie umieszczać takie artykuły, któreby zwracały uwagę na sprawę pobratania filozofji z katolicyzmem, sprawę dopełnioną w naturze rzeczy, ale nie wyjaśnioną może dla wielu, mianowicie u nas.“ W końcu wezwał chętnych do podania ręki w wspólnej pracy. Gorącym wezwaniom do udziału w tyle pożytecznem działaniu, trudno było ks. Stanisławowi odmówić. Napisał długi list do nieznanego sobie jeszcze redaktora, opakował starannie rękopis przeznaczony do druku i starym obyczajem, kozakiem dworskim odesłał Kraszewskiemu. Rękopismem tym była najznakomitsza praca ks. Stanisława „S e n w P o d h o r c a c h,“ jeden z naj-

cenniejszych utworów, jakie w tym rodzaju posiadamy, główną myślą swoją skierowany przeciwko przesądom fałszywie pojętego i w karykaturę zamienionego romantyzmu, jaki się pojawiał w owym czasie nietylko w literaturze, ale i w życiu i obyczajach..... „Mój pierwszy krok — pisał ks. Chołoniewski — do znajomości pana jest natręctwo grożące nielitościwem znudzeniem. Lecz w piątym tomie Athenaeum tak pan pięknie i bez ogródki przemówiłeś do wszystkich serc i umysłów, że niepodobna było, ażeby najleniwsze nawet istoty piśmiennego rodu nie poruszyły się na to szlachetne wezwanie i nie przyłożyły, acz niezgrabnej ręki do poczciwej i sumiennej pracy pańskiej...“

Pierwszy ten krok wypadł już świetnie. Kraszewski nie miał dość słów pochwały i podzięki za twór „tak potężny myślami, tak oryginalny i poetyczny formą, tyle życia i tyle objawiający siły...“*) „Nie wiem, jak mam dziękować, żeś J. W. hrabia mnie pierwszemu dozwolił przed innymi czytelnikami przyjemności przeczytania „Snu w Podhorcach“ i polecił wprowadzenie w świat tak pięknego utworu. Dawno i bardzo dawno żadne pismo nowe takiego na mnie wrażenia nie uczyniło; dziwiłem się sztuce, z jaką tę przecudną powieść osnułeś, z jaką ją wykończyłeś, a radował mnie cel tak piękny, główna myśl tak poważna a tak strojna. Jakiś urok szczególny rozlałeś JWPan na tę swoję kreację, a co najwięcej podziwiam, to połączenie tyla nauki z taką żywością imaginacji zupełnie młodzieńczej, imaginacji w całej swojej sile i potędze... Jestem pewny, że na wszystkich zrobi „S e n“ takie wrażenie, jak na mnie, głębokie i silne, bo pomyślanym jest głęboko i silnym wydany na świat; szczęśliwym, kto takie sny mieć może... Ale dość, kończył obszerną odpowiedź, bo temi pochwałami, które są tylko toute justice, mogę się podać w podejrzenie pochlebstwa, a o „Ś n i e“ mówić mi inaczej niepodobna.“ — Nowy

---

*) Sen w Podhorcach.

utwór odbity został najprzód w Athenaeum, a potem osobno u Glücksberga we Wilnie 1842*).

„Sen w Podhorcach“ stał się niebawem przedmiotem uwagi całej niemal polskiej literatury perjodycznej, niektórzy ogłaszali go za zorzę nowej epoki w piśmiennictwie. Znakomity krytyk Michał Grabowski był, jak się w recenzji Tygodnika Petersburskiego przyznawał, „w prawdziwem zachwyceniu od tego cudownego „Snu w Podhorcach...“ Pod względem doniosłości filozoficznej, religijnej i moralnej żaden znany mi nasz utwór do tego równać się nie może.“ W ciągu dalszym porównuje ks. Chołoniewskiego z autorem „Pamiątek Soplicy“: „Jedni ci dwaj autorowie nie mają pokrewieństwa z żadną cudzoziemczyzną, z żadną wyłączną naszą literacką szkołą; są źródłowi, prości, poufali, ale tylko, jak bywają prości i poufali ludzie najznakomitszego rodu. Oni jedni nie są ani klasyczno-francuzcy, ani niemiecko-romantyczni, bo wszystko to niżej się od nich wylęgło. Skończę na wyrzucie: wiem że „Sen w Podhorcach“ oddawna napisany, są w tece i inne dzieła. Górując tak bardzo nad wyobrażeniami piszącej publiczności... nie byłożby rodzajem pychy stać na stronie, milczeć i pozwalać, żeby nam u nóg hałasowała literatura pigmejczyków? Ogłoszenie „Snu“ sprowadziłoby od dawna wyłom, który się teraz sam przez się, ale z ciężkością deklaruje... W imię więc Tego, co rzekł, że nie godzi się światła zakrywać korcem, ni zagrzebywać talentu, zaklinamy ks. Chołoniewskiego, żeby zajął przecież w piśmiennictwie polskiem miejsce, które mu się należy, a z którego tak ogromne może oddać usługi prawdziwemu oświeceniu i pożytkowi duchowemu ziomków.“ —

W ślad za „Snem w Podhorcach“ poszły i inne prace; Kraszewski, z którym ks. Stanisław zawiązał bardzo ożywioną korespondencję, zachęcał, przypominał, pomagał w wydawaniu dzieł, jako więcej posiadający stosunków z księgarzami. Z początku życzliwy stosunek zamienił się w krótce w gorącą,

*) Ostatnie wydanie „Nowej Biblioteki uniwersalnej arcydzieł literatur europejskich“ w Krakowie, 1888.

dozgonną przyjaźń; obaj czuli, że do jednego celu dążą, z jednym ideałem w piersi i na ustach, ideałem światła i pracy dla kraju, to też nie trudno było o coś więcej nad zwykłą znajomość i życzliwość... Prócz „króciutkiej a wybornej“, nieco wcześniej w Athenaeum zamieszczonej rozprawki pt.: „Kilka słów o polemice chrześciańskiej w przedmiotach moralno-filozoficznych“ okazały się osobno: „Narzędzia męki Chrystusowej“ (Wilno 1842) i „Słowa nieprzyjaciół Chrystusa“ (Wilno 1843), oba dzieła tłumaczone z głośnego pisarza niemieckiego Jana Emanuela Veitha, ostatnie poprzedzone przedmową tłumacza i wreszcie trzecie przełożone z włoskiego O. Karola Borgo. Były to prace z lat nieco dawniejszych, spoczywające w tece. Za niemi ogłosił ks. Stanisław „Dwa wieczory u pani starościny Olbromskiej,“ w których podobnie, jak w „Śnie w Podhorcach,“ w lekkiej napozór, obrazowej formie rozbiera najpoważniejsze kwestje i zagadnienia filozoficzne.

Przy końcu r. 1842go spotkali się nieznani sobie dotąd osobiście przyjaciele w Gródku, pod strzechą Kraszewskiego, aby uścisnąć sobie rękę, pogwarzyć do woli o literaturze, projektach i zacieśnić te węzły, któremi złączyła ich już wspólność idei. W jakiś czas potem pisał Kraszewski do ks. Stanisława pod wrażeniem tych kilku chwil razem spędzonych. „Przeleciałeś hrabio jak błyskawica, aleś po sobie zostawił wspomnienie na zawsze; w naszem życiu, przeplatanem częstszymi frasunkami, niż weselszemi chwilami, to złota nitka, którą potrafim uszanować. Pomyślisz, że pochlebiam, że Ci się tak przymilam tylko, ale z duszy, z serca chciej uwierzyć, że ukochać Cię i uszanować jak kogoś swego potrafiliśmy, a pamięć Twoja u nas pozostanie w jednej głowy i serca komórce z pamięcią bytności najdroższych nam osób...“

Stosownie do uczynionej obietnicy, nadesłał Chołoniewski przyjacielowi kilka nowych prac swoich, które zamieszczone zostały w Athenaeum. Był to obrazek: „Dary księże“, „Wiersz Michała Anioła Buonarotti“ i dwa listy Józefa hr. de Maistre do Jana Potockiego krajczyca koronnego, przechowane

w zbiorach janowskich a poprzedzone wstępem ks. Chołoniewskiego. Najznakomitsze pisma starały się zyskać w autorze „Snu w Podhorcach“ współpracownika. „Tygodnik Petersburski“ przypominał się przez ks. Hołowińskiego, „Biblioteka Warszawska“ przez usta hr. Aleksandra Przeździeckiego, wychodzący również w Warszawie „Pielgrzym“ Eleonory Ziemięckiej kołatał o to za pośrednictwem Kraszewskiego. „Gdybym śmiał, pisał ten ostatni w Kwietniu 1842, dołączyłbym tu kilka słówek o artykuł już nie dla mnie, ale dla p. Ziemięckiej, dla wydawanego przez nią pisma perjodycznego, najlepszych intencyj i ducha pt. „Pielgrzym.“ Ona tam bez współczucia, pomocy i przyjaciół, a wartoby przecie nie dla niej, ale dla pięknego, przedsięwziętego przez nią dzieła coś uczynić.“ W parę tygodni później wysłał ks. Chołoniewski dwa artykuły dla „Pielgrzyma:“ „O wpływach racjonalizmu na tegoczesną literaturę i kunszta“ i „Uwagi o stylu pod względem psychologicznym.“ W „Bibliotece Warszawskiej“ umieścił na prośbę Kraszewskiego krytykę niektórych zapatrywań H. Rzewuskiego na istotę modlitwy, uosobionych w jednej z postaci „Listopada“, wziąwszy za godło swej pracy słowa św. Pawła: Nollite exstinguere spiritum. —

W połowie r. 1845go wysłał jak zwykle na ręce Kraszewskiego dwie obszerne rozprawy: „Odpowiedzi na dwa pytania: co znaczy postęp ludzkości w duchu nauki Chrystusowej i jak zabezpieczyć sobie zbawienie w stanie małżeńskim“, z dodatkiem legendy wschodniej: „Słowik i róża.“ — Kraszewski po przeczytaniu rękopisu wyraził uwielbienie swe dla „tego stylu pełnego wdzięku, prostoty, szczerości i poezji, pełnego wiary głębokiej i tak pogodnej w sobie, — tego wykładu myśli tak pięknych,“ kończąc: „pewny jestem, że literatura nasza nic obok tego w dzisiejszym czasie postawić nie zdoła, bo gdzież się łączy tyle uczucia z tak głęboką myślą?“ „Odpowiedzi“ te jednak dla rozmaitych drobnych przeszkód ujrzały światło dzienne aż po śmierci autora (Wilno 1847). Ostatnią za życia ks. Stanisława ogłoszoną pracą był: „Artykuł nadesłany, obraz z galerji

życia mego,“ wydrukowany w r. 1846m w Lipsku*). „Prędko zapewne poznają czytelnicy, mówi w przedmowie Stefan Witwicki, wartość tego pięknego, pełnego poetyckiej i oryginalnej fantazji, płodu — opisów żywych, przyjemnych i biegłą ręką skreślonych — toż znajomość wszelkich teraz umysłowych w naszym kraju ruchów, a nacechowanego wyższą myślą narodowej prawdy i chrześciańskiej mądrości. Dramatyczność wprowadzonych djalogów, trafnie rzucony tu i owdzie dowcip lekkiej ironii, wysłowienie wreszcie poprawne i gustowne nadały rzeczy tem więcej powabu i życia.“

Tymczasem wątły i tak zawsze stan zdrowia ks. Chołoniewskiego pogarszał się widocznie, życie uciekało z każdą chwilką. W r. 1846. czuł się znacznie słabszym niż zwykle i wrócił z Kamieńca, gdzie zwykle przebywał, do Janowa. Przybyła siostra Emilja, krewni, lekarze — pomimo troskliwej staranności nie potrafili już katastrofy odwrócić — i 21. Sierpnia 1846go r. o czwartej godzinie popołudniu, Stanisław oddał ducha Bogu. Czwartego i piątego Września odbył się pogrzeb przy licznym udziale obywatelstwa, krewnych i przyjaciół. — Połowa prawie duchowieństwa dyecezji podolskiej była w Janowie, a ubodzy z kilkudziesięciu nawet mil w około schodzili się, czując się obowiązanymi oddać ostatnią posługę swemu dobroczyńcy... Nabożeństwa żałobne odprawiono w Warszawie, Wilnie, Kamieńcu, Lwowie, w kościele katolickim w Petersburgu... Cała Polska uczuła głęboko bolesną stratę. Literatura straciła znakomitych zdolności pracownika, kościół jednego z najwierniejszych synów i szermierzy. „Słowa kardynała Odescalchi’ego, który mówił o ks. Chołoniewskim: idzie drogą świętych, — mówi jeden z nekrologów — pozostały może najwymowniejszem i najsprawiedliwszem ocenieniem jego żywota.“

I zaprawdę piękna to była postać tego bojownika dla wiary i narodu. Czciciel gorący prawdy, jej tylko hołdował, nią kierując się wszędzie i zaw-

*) Drugie wydanie tego utworu w Lipsku 1857, trzecie 1862 w Brukselli. —

sze, a każdy krok jego życia, każda myśl, czyn, tchnęły intencją przysłużenia się krajowi... Wszelako zarzucano ks. Chołoniewskiemu zobojętnienie dla spraw ogółu w chwilach ostatnich życia, pewne odsuwanie się od pracy literackiej i odrętwienie, nie starając się poznać przyczyn istotnych, cierpień fizycznych, które i na moralne usposobienie nie najlepiej wpłynąć mogły. Słusznie i pięknie odpiera zarzut ten przyjaciel zmarłego i towarzysz walki ciężkiej na drodze ducha, rzucając kilka słów spojrzenia na świeżą wtedy mogiłę:... „Życie przerwane w chwili, kiedy najużyteczniejszem być mogło dla kraju i wiary, już sąd o człowieku wydało. Spojrzyjcie na czynności, a nie oglądajcie się na namiętne sądy ludzi niechętnych, zazdrośnych, nadto ograniczonych, ażeby go ocenić potrafili, zbyt zawistnych, żeby wyrzekli, co sumienie każe. Tak jest: przypatrzcie się mu uchodzącemu od świata dla sukni kapłańskiej, uchodzącemu od tronu papieskiego dla skromnej i ciężkiej pracy na ziemi własnej, nie wahającemu się wziąć pióro do ręki, gdy wiedział, ile nienawiści, ile przewrotnych tłumaczeń, ile przykrości wszyscy piszący u nas zarabiają, pozostającemu w kraju dla obowiązków dziekana dyecezji i poświęcającemu może życie dla dobra kościoła, przypatrzcie się umierającemu z pokojem, z rezygnacją, z modlitwą na ustach; przypatrzcie mu się, a gdy usłyszycie uwłaczających jego pamięci, przebaczcie im, jak im przy śmierci pewnie on także z uśmiechem przebaczył.“ —

W pięć lat po zgonie ks. Chołoniewskiego, ogłoszono w Lipsku staraniem rodziny część pozostałych po nim pism*) p. t. „Pisma pośmiertne“ (dwa tomy), zawierające: „Wyjątek z dziennika życia mego; Treść pamiętników niektórych przyjaciół młodości mojej; Memoranda, czyli żywot Stępkowskiego; Wody Krzeszowickie, pamiątki z dziennika życia mego; Magnificat; Soliloquia p. Baltazara Radwańskiego, byłego rotmistrza kawalerji narodowej; Wiersze; Wieczory i przechadzki rzymskie.“ —

---

*) Drugie ich wydanie w Lipsku 1858, trzecie 1862 w Brukselli.

„Pisma te, czytamy w jednem z czasopism polskich emigracyjnych*), są to szacowne ułomki pozostałych prac znakomitego pisarza, w których znajdą czytelnicy ten sam talent w obrazowaniu, ten sam duch religijny i gorący patrjotyzm, jakimi jaśnieją inne jego płody. Wśród prostych, z powszedniego życia opowiadań, natrafiamy tu nieraz na oderwane uwagi i zdania, które więcej uczą, jak najdłuższe rozprawy. Są tu i kwestje z gruntu poruszone, jak np. o dawnej pobożności polskiej, o nowych wieku chorobach moralnych, o wychowaniu publicznem i prywatnem, narodowem i cudzoziemskiem, o duchu naszych wielkich pisarzy zygmuntowskich, o naturze poezji i muzyki i t. d. a wszystko to do pojęcia każdego czytelnika zastosowane przez malowniczy lub dramatyczny sposób ich przedstawiania. Kilka poezyj do zbioru tego dołączonych, odznacza się wspaniałą prostotą religijną i rzewnem patrjotyzmu uczuciem.“ — Najpiękniejszą z tych wszystkich niestety w większej części niedokończonych prac, jest prześliczna parafraza hymnu Magnificat, gdzie pod właściwą sobie, barwną, poetyczną szatą rzuca najtrafniejsze poglądy filozoficzne, świeci najpiękniejszemi myślami i dotyka z lekka niektórych żywotnych kwestyj ówczesnego społeczeństwa. —

Nawet połowa jednak prac ks. Stanisława Chołoniewskiego dotąd światła dziennego nie ujrzała. Najwięcej dzieł bowiem zostawił w rękopismach, a te z rozmaitych powodów uległy zniszczeniu, podobno jak cenna korespondencja z Mickiewiczem i H. Rzewuskiem... Trochę rękopisów uratował znakomity historyk Dr. Antoni Józef Rolle. Z tych ogłosił drukiem „Opis podróży kijowskiej, odbytej 1840. roku“ (Lwów 1886), bardzo zajmujące opowiadanie o przejeździe cara Mikołaja przez prowincje zabrane, wyborny niejako komentarz do charakterystyki stosunków ówczesnych, oraz i pojedynczych wybitniejszych przedstawicieli rządowych, „łask“, „ulepszeń“ i „przyrzeczeń“ rządu moskiewskiego...

*) „Przegląd rzeczy polskich“, Paryż 1862 pod redakcją Seweryna Elżanowskiego.

W ostatnim roku wydał ks. Jan Badeni zbiór kazań ks. Chołoniewskiego, które tak potężny niegdyś wpływ na słuchaczów wywierały. Zachowały się podobno liczne gawędy piśmienne z Ziemięcką, Hołowińskim, Witwickim, Grozą, z Al. Przeździeckim po francuzku o literaturze polskiej i wiele innych.. Czy zostaną kiedy ogłoszone—niewiadomo, a wartoby, gdyż rzuciłyby wiele światła i na samych piszących i na stan ówczesnej literatury w ogóle...

Wszystkie pisma ks. Stanisława Chołoniewskiego tchną szlachetną, zdrową i piękną myślą w szacie również powabnej, poetyckiej... „Żadnych tu ustępstw dla smaku wieku, mówi Kraszewski, dla pochlebiania publiczności, przypodobania się ogółowi; forma zgodna z głębią, szata urosła z ciałem, jak owa tradycyjna Chrystusowa; styl wielkiej czystości, poprawności i prawdziwie polski, przejęty Skargą, którego wielbicielem był ks. Stanisław. I poznajesz w nim głęboko uczonego, a z uczonością nie na popas wychodzącego, nie szermującego nią na zamalowanie oczu, używającego jej tylko na poparcie przekonania, na utwierdzenie umysłów. Nigdzie innego celu nad wiarę i prawdę.“

Oby publiczność polska zechciała zapomnianą tę, a przecież tak piękną postać kapłana-filozofa na nowo odświeżyć w pamięci, poznać jego życie i znakomite utwory, zastosować się do pożytecznych dróg, które wiodą bez wątpienia do lepszej przyszłości, do odzyskania własnych sił narodowych, opartych nie na szkodliwych cudzoziemskich przywarach i naleciałościach, nie na zgubnych zasadach irreligji i płytkim sceptycyzmie, pod którym kryje się zazwyczaj czczość, próżnia i pruchno — ale raczej na uszanowaniu własnej spuścizny po przodkach; przestrzeganiu ich tradycyj i obyczajów — a zarazem przyczynić się bodaj w części do spełnienia słów nestora naszych pisarzy: Przyjdzie chwila, w której naród nasz spłaci na grobie dług zaciągnięty za życia. —

Pisałem w Łomnie, 24. Marca 1889.

Antoni Stanisław Chołoniewski.

PIĘKNEJ,

EPIGRAM.

Pięknaś... Uśmiechem twym boskim czarujesz,
Oka spojrzeniem zakuwasz w niewolę —
Prześliczne usta, któremi całujesz
I sploty krucze na twem śnieżnem czole.
Wszystko masz: młodość i siłę uroku,
Harmonję piękna, co się w rysach mieści,
I żar, co płonie w twojem czarnem oku,
Lecz brak ci tylko... brak myśli i treści. —

Stryj, dnia 3. Lutego 1888.

Antoni Stanisław Chołoniewski.

NA KRESACH,

poemat epiczny,

przez

Bolesława Andruszewicza.

I.

Szumi, pędzi Dniepr srebrzysty,
Gdzieś do morza, do czarnego —
W biegu rzuca brzeg kwiecisty,
Bo spoczynek nie dla niego....
Równo z biegiem jego płynie
Czajka lotna po głębinie:
Wiosła porzą srebrne tonie,
By wyprzedzić wodne fale,
Bo niepokój wre w ich łonie,

O! bo w piersi same żale!....
Pędź, o czajko niewstrzymana!
Fala pląsa rozigrana:
W przegoń z tobą się porywa!
Oj ty falo! tyś szczęśliwa:
Bo ty nie znasz, co ból duszy!
Spokój, ciszę twoją wzruszy
Chyba kamień, co od brzegu
W dół się toczy w wartkim biegu...
Czasem tylko kiedy lody,
Z wiosną zwolną twoje wody:
Wtedy tylko pędzisz z szumem,
Jakby gnana żalów tłumem,
Jakby w twojem wzdętem łonie,
Jakby w twoje ciemne tonie
Jakaś rozpacz się dostała....
Wtedy pjaną pierś twa biała,
Wtedy w biegu swym szalonym,
Wtedy w wirze niezgłębionym
Wszystko kryjesz już na wieki!
Ale z sercem inna sprawa:
Ból zostanie w czas daleki.....
A przed okiem przyszłość łzawa,
I przed okiem przeszłość stawa!

Tam na brzegu płomień bucha,
W koło cichość smętna, głucha,
Tylko szemrzą Dniepru fale,
Tylko księżyc lśni wspaniale.
Przy ognisku dookoła
Młódź rozsiadła się wesoła.
Z ręki w rękę krąży czara:
Raczy się siwuchą wiara.
Przy ich boku do księżyca
Czasem szabla się zaświeci,
A za pasem tkwi krucica,
Ogień bucha, iskra leci,
Młodzież pieśń wesołą śpiewa:
Śpiewom wtórzą szumy drzewa.

Czajka lotna Dnieprem sunie
Ku ogniska krwawej łunie.
Z czajki zbrojny mąż wysiada:

Powitała go gromada,
On w milczeniu skinął głową,
Westchnął z cicha: „Niech się stanie,
Brzękną szable na zaranie!......“

. . . .

W cieniu nocy czarne mury
Zda się szczytem mkną w lazury;
Promyk z wieży co się świeci:
To jak gwiazdka gdzieś wysoko,
Co lśni, mruga, zanim zleci
I zasmuci widza oko.....
O ten promyk tam na wieży,
To cel drogi dla rycerzy.

Hufiec wolno stepem jedzie,
Wódz harcuje sam na przedzie.....
Piersi jego ogień pali.....
Chciałby wszystkie Dniepru wody
Wypić, piersi dać ochłody:
Chłód da tylko ostrze stali,
Stal zagasi żar, płomienie,
Uspokoi serca drżenie......

O! nie lęk to go przejmuje
Bojów, walki albo zgonu —
On lęk inny w sercu czuje,
Co niepokój jego łonu,
Co ból straszny jego duszy,
Co mu niesie rój katuszy!......
Piękną Hannę znał na zamku,
Jak jutrzenkę złotą w ranku,
Jak świt jasną, jak niebiosa,
Jak kwiat krasny, gdy go rosa
Z rannym brzaskiem przyozdobi...
Stryj ją dumny księciu swata,
Chociaż dziewczę płacze łzami,
Bo Stefana jakby brata
Ukochała marzeniami!....
Razem zrośli koło siebie,
Wraz o jasnem śnili niebie,
I kochali się serdecznie

I myśleli, że tak wiecznie!....
A grom straszny sny rozgonił,
A uderzył niespodziany:
Rycerz z bolu aż się słonił,
Aż się zachwiał jak złamany!...

. . . .

W noc czarowną rozmarzeni,
Spletli dłonie i tak razem
Śród szerokich lip szli cieni:
On się poił jej obrazem,
Ona jak gołąbka biała,
Tak nieśmiała a marząca....
Jej pierś krągła falowała,
Wietrzyk o nią się roztrąca,
Potem muska splot jej włosów
I rozwiewa dookoła
Jakby kędzior złotych kłosów
I ustraja biel jej czoła!...
Stefan patrzał zadziwiony
I snuł myśli o aniele,
Schylił czoło upojony
I tak do niej rzekł nieśmiele:
„Hanno droga! czegoś drżąca?
Czegoś smutna? powiedz, proszę:
Ciebie zdradza twarz płonąca,
Że coś taisz, z tego wnoszę!...“

„O Stefanie — ja nie taję
Nic przed tobą — z sercem staję
Czystem, wolnem i rozwartem,
Lecz i bolem ach rozdartem.....
O posłuchaj siostry biednej,
Opuszczonej, samej jednej,
Jak szerokie to Podole,
I jej serca ukoj bole!
Stryj za księcia mnie wydaje,
Prośby, żale nie pomogą,
A ta chwila w oczach staje
I czernieje mi złowrogo!
A więc ratuj mnie, mój luby!
Jam się tobie już oddała,

Jam na wieki twoja cała,
Wszakże mej nie pragniesz zguby!"

„Hanno droga, jam przy tobie
W każdej chwili, w każdej dobie!
Póki żyję, miecz mam w dłoni,
Niech świat cały się sprzysięgnie,
Ja nie ugnę mojej skroni,
A po ciebie nikt nie sięgnie!
Któż zuchwale przeciw stanie?
Może książę? O! dłoń księcia
Nie nawykła do oręża,
Nie do walki, mięki panie!
Jego ręka nie do cięcia:
Rycerz tylko, mąż zwycięża!"

Płomień błysnął w jego oku,
A dłoń w szablę dumnie dzwoni.

Słońce kryje się w obłoku,
Lecz się niebo jeszcze płoni
Cudną łuną — i oświeca
Te w oddali zamku mury
I wieżycy szczyt zanieca,
Potem kryje się za chmury,
A miast słońca na niebiosa
Krąg księżyca się wychyla:
Trawy stroi srebrna rosa,
Słowik z wiklin pieśń rozkwila.

„Hanno moja! ty drżysz cała,
W twojem oku łezka biała
Lśni się perłą do księżyca.....
I jak śniegi twoje lica
Pobielały — Hanno moja!"

„Nie Stefanie, jam nie twoja!
O, czyż nie znasz mego stryja,
A stryj księciu stale sprzyja
I nie zmieni swego słowa:
Bo co rzeknie, to dochowa!.....

. . . .

Rycerz ścisnął dłoń dziewicy,
Ogień zatlał mu w źrenicy.
Skłonił głowę w pożegnanie...
. . . .
Boże! Boże! co się stanie?.....

II.

„Ranków dziesięć już minęło,
A on mówił, że powróci;
Wszakżeż Hanny swej nie rzuci?
Tyle dni już upłynęło,
Jego nie ma — Boże, Boże!
Tam na wschodzie płoną zorze,
Tam na wschodzie dzień już świta,
Skowroneczek ranek wita,
Jego nie ma!... A dziś książę
Zjedzie szumnie w gości wianku,
W wieczór ręce ksiądz nam zwiąże....
Żegnaj, żegnaj mi, kochanku!
Żegnaj, drogi mój Stefanie,
To ostatnie me zaranie,
To ostatnie moje słowa,
Prysła nadziej nić tęczowa!.....“

Wtem na moście, na zwodzonym,
Zatętniało, zahuczało,
Stefan z mieczem podniesionym
W mury zamku wpada śmiało.
Lecz na zamku cicho w koło,
Pan się bawił w noc wesoło,
Trunkiem służba rozmarzona,
Teraz we śnie pogrążona!

Cicho wszędy — dobra nasza,
Obejdzie się bez pałasza!

Stefan pobiegł, gdzie komnaty
Zdobne w marmur i makaty,
Dłonią silną pchnął podwoje
I na Hanny wszedł pokoje.
„Jestem Hanno! tyś gotowa,

Tam na dole hufiec zbrojny,
Zamek cały śni spokojny,
A na wschodzie już różowa
Lśni się zorza — lecz nim słońce
Jasne zejdzie nad ostrowy,
Nas nie zgonią żadni gońce,
Skryje step nas i parowy!“

Wyjechali na step cichy,
Krasne kwiatów spią kielichy,
Rosa perli się na liściach,
Wietrzyk szemra w zielnych kiściach,
A za Dnieprem tam na wschodzie,
Wyszło słońce promieniste,
W jasnej się przejrzało wodzie,
Snując tęcze siedmbarwiste.
W dali widać cerkwi ściany:
Tam staruszek ksiądz już czeka,
Krzyż się w słońcu lśni świetlany,
Młodym droga niedaleka.
Na ołtarzu lampa płonie,
Ksiądz im stułą wiąże dłonie:
Usta szepcą przysiąg słowa —
Wierne serce je dochowa!

A na zamku jak szalony
Lata magnat na wsze strony,
Broń rozdaje między sługi:
„Teraz sprawię wam ślub drugi!
Słońce jasno lśniło z rana,
Teraz krwią oczerwienieje,
Hańbę zmyje krew Stefana,
Niech się teraz co chce dzieje!...“

Lecą, pędzą przez step siny,
Trawy chylą się ku ziemi,
Mkną jak duchy Ukrainy,
Kruki kraczą ponad niemi!
Już ujrzeli cerkwi ściany,
Już im błysnął krzyż świetlany.

Z cerkwi Stefan żonę wiedzie,

Ręka w rękę, dłoń we dłoni —
A wtem zagrzmiał tętent koni:
W koło zbrojni, stryj na przedzie!

„Ha! zapłacisz krwią, mosanie!“
Dumny magnat wrzasnął srogo:
„Pod miecz szyję dasz, Stefanie!
Kruk zakracze ci złowrogo!“

Stefan groźb się nie ustraszy,
Wszak i on ma miecz przy boku,
On śród szczęku wzrósł pałaszy,
Więc mu ogień zatlał w oku,
Lecz się prędko pohamował,
Szablę w pochwę zwolna schował
I rzekł śmiało:
„Panie stryju!
Poco grozić tu żelazem:
Wrogi niech się z sobą biją!
Pobłogosław lepiej razem;
Co Bóg złączył, nie rozłączy
Żadna siła i potęga,
Ot! niech gniew się stryja skończy,
Niech do miecza stryj nie sięga.“

Więc uklękli w cerkwi progu.
Stryj się waha, w myślach chwieje:
„Ha, przepadło! niech się dzieje,
Błogosławię was tu w Bogu —
Co się stało, nie odstanie,
Więc mi synem bądź, Stefanie!“

Szlachta „wiwat“ zakrzyczała,
Stryj zapomniał już o złości,
Polska dusza nie wytrwała
Nigdy w gniewie — a więc gości
Stryj zaprasza w zamku progi,
Księciu posłał respons z drogi —
I tak wszystko się skończyło,
I łez więcej tu nie było!

Barszczowice, 13. Marca 1889.

Epizod z nocy belwederskiej.

SKREŚLIŁA

JANINA SEDLACZKÓWNA.

Ciemno.

Jeszcze tylko biały marmur łazienkowskich pomników zalśni czasem ostatnim pobłyskiem przekradającym się przez tło nocy, lub zajaśnieje metalicznym blaskiem krzyż na kościele — zafosforyzuje spóźniony z lata owad.

Pomiędzy drzewami Saskiego ogrodu przesunęło się kilka cieni.... idą, to nikną — nareszcie rozbiegły się na różne strony.

Zegar uderzył dziewiątą.

Z miodowej ulicy wybiegł jakiś chłopak... to pewno ulicznik warszawski.

Gwizdnął i nadsłuchiwał.

Nikt mu nie odpowiadał.

Skrył się za narożnik kamienicy i czekał.

Wtem głośny szmer go dochodził od strony Belwederu, gdzie siedział pająk W. Książę Konstanty, co siecią bezprawia opasywał całe królestwo polskie.

— Oho! — szepnął chłopak — to już się rozpoczęło.

I jak sarna pogonił ku pałacowi belwederskiemu.

Wbiegał już na dziedziniec, gdy go doszedł okrzyk:

— Śmierć tyranowi!

Powtórzył ten okrzyk, pochwycił leżącą na ziemi pałkę i wbiegł do przedsionka pałacu... Nikt go nie zatrzymywał — służba wylękła uciekła lub skryła się przed Belwederczykami, którzy napadli pałac w nocy, aby schwytać tego, co im wolność i konstytucję

gwałcił. Krzywoprzysięzca! Gdy wkładał na swe plugawe skronie koronę Jagiellonów — przysięgał na Chrystusa rany, że uszanuje prawa narodu.

. . . .

Już i na ulicy poruszały się tłumy. —

Belwederczycy wybiegli z pałacu nic nie wskórawszy, bo kniaź ukrył się w pokoju modlących się niewiast. Aby tam go napadać, trzeba było Moskali na to — a Belwederczycy nie byli nimi.

Hasłem ich było: „Wolność, równość, całość!“— a nie: „Zniszczenie i zagłada!“

Tłumy na ulicach roją się ku arsenałowi, a z ust wydziera się błagalny okrzyk: „Broni nam dajcie!“

Mały chłopak z pałką uchodzi z Belwederu, gubi się w tłumie, woła jak wszyscy o broń, bo i on chce walczyć za Ojczyznę.

Ojciec jego, rodowity Mazur pod Kościuszką służył.

Ale drzwi arsenału ciężkie, żelazne; ani sposób ich wysadzić. Oficerowie wyłamują okna i wskakują tędy do wnętrza. Chłopiec skacze z radości, widząc że przez okna arsenału broń dla ludu wyrzucają.

— Panowie! rodacy! a mnie broni dajcie — drze się chłopczyna.

Głos jego niknie w ogólnej wrzawie. Rozpacz ogarnia miękie jak wosk serce chłopaka. Co począć? Rozchwytują wszyscy strzelby, szable, rewolwery — a on stoi z kawałkiem patyka i jakżeż ma się bić za Ojczyznę tą pałką? — A choćby i rękoma oczy wydrapywać wrogom! — myśli malec, przecież pożąda gwałtownie żelaza.

Przeciska się przez tłum — i pnie się na mur arsenału. Jakaś ręka go obala.

— Precz pędraku, bo cię zabiją !— wyrzucając broń zabrzmiał jakiś silny głos.

— Co począć? — pyta się sam siebie, gdy go wypchano z tłumu. Kilka tysięcy broni rozdano — a jemu nawet złamanej szabli kawał się nie dostał.

— Hura! hura!—rozlega się w tej chwili wrzask.

To pędzi garść Moskali, ufna że potłucze na śmierć buntowników.

Ale lud uzbrojony hardo stawia czoło — śpiewem: „Jeszcze nie zginęła“ krzepiąc się w męztwie.

Zabłysły szable i dzidy. Na czoło walczących wybiegł jakiś oficer w mundurze 9go pułku piechoty. Zapał krasi mu lica.

— Naprzód dzieci Warszawy! — krzyknął z całej piersi i wszyscy pędzą za nim.

Był to Piotr Wysocki — dusza związku patrjotycznego, przygotowującego powstanie listopadowe.

Za dowódcą poskoczyło maleństwo jakieś z pałką w ręce.

W tejże chwili pociągnął ktoś dowódcę za rękaw.

Odwrócił szybko głowę, brwi marszcząc surowo.

— Ja tu także Piotrek, — szepnął mu chłopak z pałką — daj mi pan broń a zabiję samego nawet Dybicza lub wielkiego kniazia.

Dowódca odsunął go lekko.

— Bracia! zwyciężyć trzeba koniecznie! — zakomenderował.

Ale ta zachęta była już zbyteczną. Gorące natarcie naszych rozprószyło zupełnie nieprzygotowanych na taki opór Moskali. Jeszcze setka ich utrzymała się najbliżej arsenału, a tam walczyli podchorążowie.

I znowu z pałką między szeregami zjawił się chłopiec. Wymierzył w sałdata, co się chwiał już od trunku — sałdat potoczył się i upadł.

Piotruś wyrwał mu krótki pałasz i z szaloną radością nacierał na drugiego.

Uczuł tylko silny ból w ramieniu i krew strugą ciepłą popłynęła mu po szyi.

Moskale uciekali pobici.

Jakiś okrutnik zobaczył dzieciaka, obwiązującego sobie szyję chustką — i poczęstował go silnem kopnięciem.

Zatoczyło się maleństwo i upadło.

W tejże chwili nadszedł Wysocki. Spojrzał i poznał chłopaka.

— Biedny Piotruś! To nasz ochotnik, patrzcie — rzekł, obracając się do towarzyszów.

— Rabiata! — wołali Moskale, szepnął chłopiec. — Rabiata! Alboż oni rabiata! — To sobaki — i posiniał na całej twarzy.

— On umiera — zawołał któryś z powstańców.

— A ja broni nie miałem... mówił chłopiec w gorączce... pan Piotr nie chciał mi jej dać. — Wysocki miał łzy w oczach.

— O Jezu! Jezu! jak mię tu w sercu boli!

Wysocki pochylił się nad chłopięciem i porwał go na ręce.

— Gdzie moja matka, panie poruczniku? — pytał chłopak obracając stygnący wzrok na Wysockiego.

— Twoja matka Polska, za nią umierasz... rzekł oficer z przytłumionym głosem, i schylił głowę i pocałował malca w blade, zimne czoło.

— Moja matka Polska — za nią umieram..... powtórzył jak echo dzieciak — i westchnął, oddając z tem westchnieniem duszę Bogu Zastępów.

Przewiesił główkę przez rękę Wysockiego — usta miał rozchylone, oczy przymknięte.

— O ileż męczenników legnie na tej laszej ziemi — szepnął Wysocki — od dzieci do starców siwowłosych.

Żołnierze stali jak przykuci, nie mogąc oderwać oczu od niewinnej ofiary, jednej z pierwszych w walce. Wzięli go na płaszcz wojskowy — i zanieśli na Powązki.

Gdy go do płytkiego wkładali dołu, raz jeszcze błysnął krwawo księżyc, a żołnierze „Zdrowaś Marjo“ — kończyli.

URYWKI.

Przez

Bolesława Andruszewicza.

I.

Widzę motylka, co nad twą głową
Igrając buja krasny u góry,
Jak po nad tobą swą grę tęczową
Zniża, lub znowu wznosi w lazury.
I czuję wietrzyk, co twych warkoczy
Rozwiewa lśniące koło szeroko,
Co je po śnieżnych ramionach toczy
I ciemnym splotem przesłania oko.
Przesłania cudne twoje oczęta
I ćmi ich blaski takie świetlane,
Żeś mi się zdała jakoby święta:
Takie w twych oczach głębie rozlane!...
. . . .

II.

Widziałem jasną jutrzenkę w ranku,
Widziałem słońce w promiennym wianku,
Ale blask jego nie tak uroczy,
Jak twoje gwiazdy: twe czarne oczy!
Widziałem lilii pączek rozwity,
Biały, w około listkiem okryty:
Nad kwiat lilii pierś twoja biała
Z pod rąbka sukni do mnie się śmiała.

Lilijo biała! różo rozwita!
Za tobą gonię oczami memi:
Tyś mgłą owiana, w obłok ukryta,
Unikasz moich oczami swemi....
. . . .

III.

Jakimże cudem, jakimż urokiem
Cała twa luba postać owiana!
Gdy pląsasz, gonię za tobą okiem,
A ty tam w tańcu mkniesz mi świetlana!
Gdy mówisz, w cudnych marzeniach tonę:
Bo w mowie twojej urok, potęga!
Gdy spojrzysz na mnie, to ogniem płonę:
Bo wzrok twój w wnętrze duszy mej sięga!
O! dusza śni wciąż o pięknej dziewie,
O jej cudownem oczu wejrzeniu,
O archanielskim, czarownym śpiewie,
I o jej piersi falistej drżeniu...
. . . .

IV.

Gdy słucham czasem, to zasłuchany
Nie wiem, gdzie jestem: w raju na niebie?
Nademną widzę dzionek różany,
A na tle nieba oglądam ciebie!
Słucham: czy słowik lubemi tony,
Czyli huryska z nieba Ałłaha!
Tak cudnie śpiewą jak głos rodzony
Wygnańcom kędyś koło Astraha!
O słucham, słucham czarem zaklęty,
Słucham: pieśń płynie rzewna i cicha —
O przez te pieśni ja byłbym święty:
W tych pieśniach do mnie raj się uśmiecha...
. . . .

V.

Daj mi twą rączkę — pójdziemy razem
Dumać, gdzie szumi potok srebrzysty,

Dumać nad cudnym, znikłym obrazem,
Co jak ten strumyk był piękny, czysty.
Minęły dla nas czarowne chwile,
Minęły cudne rajskie marzenia...
Nasze uczucia w zimnejż mogile?
A wiatr rozniesie nasze wspomnienia?
Więc ty raz jeszcze na pożegnanie
Złóż swoje rączki w me drżące dłonie:
Bo nim zabłyśnie ranne świtanie,
Zanim różowe słońce powstanie,
Dalekie, inne powitam błonie
I inne lasy w dalekiej stronie....

. . . .

VI.

Jeszcze raz myślą moją pogonię;
Pogonię do niej błogiem wspomnieniem,
Niech nic z obrazu jej nie uronię,
Niech się popieszczę jej lubym cieniem.
Widzę ją, widzę — jakaż urocza!
Jak kwiatek cudny z rajskiego błonia,
Jakby Aniołek z niebios przezrocza,
Lekką chmureczką, mgłą się przesłonia*).
Widzę ją, widzę — choć ona w dali,
Ach może nawet o mnie nie myśli.....
Widzę ją w chmurce, co się tam pali
W zachodniem słońcu. Imię jej kréślę
Jeszcze tej chwili. - Nim się oddalę,
Jeszcze westchnienie jedno jej wyślę....

. . . .

VII.

Smutno mi, smutno jak w dzień pogrzebu,
Jak w obcej ziemi bez znanej twarzy —
Lecz myśl ma wiecznie o tobie marzy

---

*) Licentia poetica zamiast przesłania. (Przyp. red.)

I rzuca skargę bolesną niebu!
Smutno mi, smutno — bo dookoła
Pusto i cicho.... Jedno wspomnienie
Lśni jak w zachodzie słońca promienie.
Lecz mrok zapada: nie ma Anioła!
Smutno mi, smutno — bo nie ma ciebie,
Ciebie, com kochał jedną na świecie,
Com jedną widział jak gwiazdkę w niebie
I nią się cieszył jak małe dziecię,
I ją w marzeniach pieścił dla siebie
I dla niej święcić chciał całe życie!.....
. . . .

VIII.

Lśni łzy perełką jej czarne oko
A łza ta cudnie lica ozdabia:
Daje im tyle krasy, uroku,
Chociaż westchnienia z piersi wywabia.
I czemuż z oczu jej łezki płyną?
To łzy przeszłości — lecz niech grobowy
Kamień przykryje przeszłość, dziewczyno!
Niech ci się śmieje teraz świat nowy,
Bo tobie kwiaty rosną doliną,
Bo tobie tylko ich blask tęczowy:
Mnie piołun grobowy!....

Lwów, 1. Października 1881.

DUCH GÓR,

ballada.

Przez

Stanisława Womelę.

Dalej na wolność, dalej na góry,
By się ukąpać w świetle księżyca,
Który przez jasne przegląda chmury
I mrocznem światłem drogę oświeca.
W górę i w górę biegną pragnienia,
Pną się ku niebu tysiącem dróg —
Precz tu, niegodne piersi westchnienia!
Tu blisko niebo, tu blisko Bóg.
Wiatr, co wierzchołków wyniosłe szczyty
Lubo w przelocie swoim całuje,
Chmura, co jasne zmierza błękity
I jako koral z wiatrem szybuje,
Ach to urocze cuda natury
Jako wyniosły za ziemią kres,
Ja z wami wichry, ja z wami chmury!
Ziemia, to tylko kraina łez.
Tam postać jakaś na skały szczycie
Szatą się z wichrów i mgły okrywa
I zrazu z cicha przez wiatru wycie
W takie się do mnie słowa odzywa:
„Tu w tych piękności i czarów gronie,
Tu się dla ducha znajduje gród,
Tylko na pięknem przyrody łonie
Obaczysz prawdę, obaczysz cud.
Czemuż, ach czemuż wszystkie te czary
Ty porzuciłeś dla mrzonek tylko?
Czemuż niepewne goniłeś mary,

Gdyś życie jedną objąć mógł chwilką?
Czemuż gorzałeś chęcią nauki
Ciągnąć jej słabą, niepewną nić?
Czyż nie wolałbyś dzisiaj bez sztuki
Szczęśliwszem dzieckiem natury być?
Teraz gdy wyższe twoje pragnienia,
I cele wyżej upatruj sobie
I wyżej twoje kieruj spojrzenia,
Gdy nie chcesz ducha ukryć w żałobie.
Pędź, choć ci nigdy dosyć nie będzie
I choć cię nigdy nie znuży bieg,
Sam siebie pragnąc prześcignąć wszędzie,
Na biegu tylko zmarnujesz wiek.“
Naraz ucicha; czarne obłoki,
Kryją przedemną wszystkie piękności,
Lecz idę dalej chwiejnymi kroki
Pośród ponurej zewsząd ciemności;
Lecz widmo coraz dalej ucieka —.
Ja pytam: „ktoś ty?“ — Wśród czarnych [chmur
Słyszę odpowiedź, brzmiącą z daleka:
„Jam panem stron tych — jam duchem gór.“

Z KSIĘGI ŻYCIA,*)

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

Anielę Korngut.

Prolog.

Działo się nad brzegiem Wisły przed domem piętrowym, u wejścia którego znachodziła się ławka, ocieniona kwitnącymi kasztanami.

Wieczorny, chłodny wietrzyk muskał czoło i włosy siedzącej na ławeczce kobiety; lecz czemuż pierś jej podnosi się z westchnieniem? Z wzrokiem, sięgającym w dal poi ona oko pięknym widokiem natury, ale rychło schyla smętne czoło; łzy bowiem zaćmiły ułudny obraz, a zbliżające się kroki przerywają jej dumania.

To on — jej mąż!

— Siedzisz tu — ozwał się przybyły — a nie baczysz na to, że nabawisz się kataru i reumatyzmu! Po wczorajszym deszczu ziemia wilgotna jeszcze, idź do pokoju!

— Przyjemnie mi tutaj, zresztą to są ostatnie dnie....

---

*) Historja tu podana, rozegrała się w kołach żydowskich a większość działających w niej osób mówiła żargonem. Józef Kerner, wracający z Ameryki do Krakowa po dwunastoletniej niebytności, o polskim języku prawie pojęcia nie miał. Chcąc jednak rzecz po polsku określić, kazałam także osobom działającym w mej powieści wyrażać się tym językiem. *(Przyp. autorki)*.

— Sama chciałaś tego — przerwał jej ostro — teraz żałujesz, ale pierwej? Nie chciało ci się pracować, chciałaś odgrywać rolę wielkiej pani!

— Czyż nie pracuję, mój Boże! Tyle dzieci, a wszędzie ja sama: przy kuchni, przy maszynie...

— Wielka rzecz! Przecież od tego jesteś kobietą! Cóżbyś robiła, gdyby nie to?

— A więc nie mów, że próżnuję, że odgrywam rolę wielkiej pani.

— E co! To wszystko i funta kłaków nie warte!

— To daj mi inne zatrudnienie.

— Tobie by się chciało pracować? tobie? Ty byś chciała jak inne kobiety stać w sklepie, marznąć, kłaniać się kupującym? Ty potrafisz czuć z mężem? Twoja matka była dumna niby grafka*), twoja babka, wasz cały ród taki! Wy tylko wszystkie wiecie mężowi mówić o pieniądze! Ale zkąd je wziąć? Zkąd na miły Bóg, pytam się, zkąd je wziąć? Czy pójść kraść? Przecież mnie zamkną do aresztu!......... A... żeby was!! Nie mogę nawet chwili usiedzieć w domu!

I nasunął mocniej kapelusz na głowę, odchodząc prędkim krokiem.

— Tato! tato! — ozwało się kilka głosików naraz.

Zatrzymał się.

— No i cóż?

Mała dziewczynka z poplamionymi od atramentu paluszkami przybiegła i stanęła przed nim.

— Tatuńciu — rzekła pokornie prosząc — potrzebuję trzy centy na kaligrafję polską, pani powiedziała, że.....

— Idź do mamy, ja nie mam!

— Kiedy mama nie ma pieniędzy.

— Ja też nie mam!

— Kiedy pani powiedziała....

— Idź mówię, bo nie mam!

— Tato — ozwało się znowu.

*) Żydowski zwrot zamiast grafini.

— Czegóż ty chcesz? — spytał odwracając głowę.

— Tato, Salcia mi już nie chce pożyczyć gramatyki, na jutro mamy zadane o przysłówkach, a ja nie mam się z czego uczyć!

— Aha, lepiej byś się uczyła modlić, to ci potrzebniejsze! Już i tak lepiej mówisz po polsku, niż po żydowsku!

— Ale... tato... w szkole o to nie pytają...

— A to dopiero! Żono, czy nie zawołasz ich do siebie?

— Dzieci — ozwał się słaby głos matki — chodźcie tutaj, tato nie ma pieniędzy, nie nudźcie go.

Nie usłuchano jej. W odpowiedzi zawtórował płacz krzykliwy, który zagłuszył oddalające się kroki męża.

Kobieta podniosła wzrok ku niebiosom, jakby wzywając ich pomocy. Ale natura milczała, a tajemnic jej życia nie zrozumiała teraz biedna. Kiedyś przed laty, podobny jak dziś rój komarów, zapełniający powietrze, brzęczał w jej uchu zrozumiałym głosem a wietrzyk szeptał słowa, które wyobraźnia podsuwała. Dziś — troski domowe zagłuszyły poezję serca, walka o byt odarła z duszy powłokę idealizmu; został się tylko ślepy instynkt zadowolenia potrzeb codziennych.

Płacz dzieci ucichł, zbiły się w kupkę i radziły.

— Moja Geniu, idź do Salci i powiedz, że ja ją bardzo proszę, aby mi pożyczyła gramatyki.

— Ona mi nie da.

— Da ci, da! Jak jej powiesz, że gdy mi nie pożyczy gramatyki, to ja już nigdy nie narysuję jej mapy. Powiedz jej tylko tak, a zobaczysz, że pożyczy.

Mała Genia poszła, a obie starsze zostały.

— A co będzie z kaligrafją? — spytała młodsza.

— Mama...

— Mama nie ma, ja wiem, że nie ma; Ryfka chciała za służbę, a mama jej dać nie miała.

Starsza się zafrasowała.

— A na jutro potrzebujesz? — spytała po chwili.

— Tak. Na ostatnią godzinę mamy kaligrafję

— Możeby pójść do Józia — radziła starsza.

— Nie, nie! Józio mi dopiero wczoraj dał na ćwiczenia. Moja Marysiu, ja wiem zkądby wziąć te trzy centy, ale się boję, czy ty będziesz chciała?

— Mów!

— Moja Marysiu, a gdyby tak jutro nie jeść tylko po jednej bułce?

— A zkąd weźmiesz trzeciego centa?

— Od Geni! Jak jej dam to złoto, co mam w książce, to mi da centa.

— Ależ Ryfka bułki kupuje, nie można przecież, żeby służąca o tem wiedziała. I tak nas obgaduje.

— To ja wstanę wcześniej i sama kupię.

— Nie można.

— To wiesz co? Skręcę wskazówki zegara, Ryfka się spóźni, my będziemy udawały, że nam pilno do szkoły, każemy sobie dać pieniądze na bułki i powiemy, że po drodze je sobie kupimy.

— Wybornie!

Młodsza zaśmiała się i klasnęła w ręce, wykrzyknik bowiem siostry wzięła za pochwałę. Lecz ta już nie kłopotami jej była zajęta. Z wyciągniętą ręką oczekiwała Geni, która biegła, trzymając w górę pożyczoną książkę.

— Pożyczyła! pożyczyła! — rozległo się w powietrzu.

I w szalonych, radosnych podskokach wracały dzieci za sztachety ogródka.

Ich troski już były usunięte.

*
* *

Zmrok zapadał coraz większy, twarz księżyca odbiła się na rzece; plusk wioseł przepływających łódek zwrócił wzrok samotnie siedzącej na ławeczce kobiety w tę stronę.

Woda była przeźroczysta, tam na dnie piasek widny a dalej głębia niezmierzona, tajemnicza, a nęcąca swym spokojem.

Spokój i cisza!

Jakże one potrzebne tej chorobliwej duszy, która się błąka w wątłem ciele, przykuta doń surowym obowiązkiem matki.

Dla dzieci!

Już dziewiętnaście lat jęczy pod jarzmem niedobranego małżeństwa, a ile razy zerwać go chciała, myśl o dzieciach wstrzymywała te porywy wolności, i smutna, zgnębiona żyła dalej!

Powietrze przesiąknięte wonią rozwijającego się kwiecia odurzało ją, przymrużyła oczy; być może, iż w tej chwili doznała jakiejś ulgi, bo rysy jej złagodniały i już nie tak boleśnie ściągniętemi były usta.

Czy marzyła?

Zbudziły ją lekkie kroki i głos syna.

— Dawno ojciec odszedł?

— O już chwila temu.

— I cóż będzie?

Matka westchnęła, syn przysiadł się do niej.

— Czas upływa — mówił Józio — nie trzeba zwlekać; Stern bez wszelkiego skrupułu nas wyrzuci.

— Wiem, ale cóż począć z ojcem?

Syn poruszył się niecierpliwie.

— Mamo! ta bezsilna rezygnacja nie zda się na nic. Trzeba za ojca działać.

— A pieniądze?

— Da, gdy mieszkanie będzie wynajęte.

— A potem?

Pytanie to było smutnie wymówione, jakby w obawie o przyszłość. Podupadli, ale to nic, wszak i biedni żyją jakoś a Bóg pomaga. Ale tutaj zawitał gość dotąd nieznany: pokusa w postaci spirytusu i piwa.

Syn nic nie odpowiedział; oczy miał utkwione w odbijające się w wodzie światło księżyca.

Któż zgadnie, jakie myśli przechodziły przez głowę ośmnastoletniego młodzieńca, którego życie w sferze kłopotów i walki o byt zawcześnie zwarzonem zostało?

Młody jeszcze, ale na twarzy ściągłej i nieładnej maluje się troska poważna, czoło wysokie przerzynają już zmarszczki i gdyby nie żar podnoszących się w tej chwili źrenic, możnaby myśleć, że i to życie już także złamanem.

Ale nie!

Na polu nauki nic nie zdobył; rodzice o mało się nie rozwiedli z powodu jego edukacji. Ojciec chciał, by został kupcem, matka starała się, by ukończył studja. Kłótnia była ustawiczna w domu, a szlachetnego usposobienia Józio zrezygnował, acz z boleścią i... wstąpił do interesu swego ojca.

Lekko mkną białe obłoki po lazurze, wietrzyk je naprzód pędzi, skupiają się, to ukrywając księżyc, to znów na wolność go wypuszczając.

— Chłodno mi już — przemówiła matka — chodźmy do pokoju.

— Ja tu zostanę, będę czekał na ojca.

— Jak chcesz; dobranoc ci!

Odeszła, a syn ucałował jej ręce i na swe miejsce wrócił.

Tu i owdzie zgaszone zostały światła, ujadanie psów ucichło, już nawet liśćmi nie porusza wietrzyk; zdaje się, że wszystko uśpione.

Rozległo się wśród ciszy nocnej ciężkie stukanie; Józio poznał, że ojciec z szynku powraca. Poszedł mu naprzeciw.

— A ty co tu robisz o tej porze?

— Czekałem na ciebie, ojcze.

— No, chodźmy do pokoju.

Józio się nie ruszył.

— Idziesz?

— Nie, ojcze.

— A więc siądź!

— Ojcze . . . .

— Czegóż chcesz?

— Byś usiadł, chcę z tobą pomówić; już to cały dzień chciałem, ale tak jak wczoraj, tak i dzisiaj, zawsze mnie zbywasz . . . .

— Aha pieniędzy może?

Józio gorżko się uśmiechnął.

— Kiedyż ich od ciebie ojcze żądałem?

— A więc co?

— Ojcze . . . czas upływa, trzeba się obejrzeć za mieszkaniem.

— No i owszem wyszukajcie.

— Trzeba na zadatek kilkanaście guldenów.

— Dam! Ale pamiętajcie, że na salony nie mam, trzeba tak mieszkać, jak mi stanie zapłacić.

— Wyszukamy jak najtańsze; ale ojcze, jeszcze jedno, nie odchodź . . .

— Aha, jeszcze co; te dzieci to żebraka ze mnie zrobią!

— Ojcze! dzieci muszą mieć buciki, nie można, żeby zaniedbywały szkoły, Mania potrzebuje gramatyki . . .

— Potrzebuje, potrzebuje! Ja także potrzebuję sto tysięcy, a muszę się obejść.

— Gramatyka to nie sto tysięcy; kosztuje kilka szóstaków.

— A jak ich nie ma?

— Więc Marysia nie potrzebuje chodzić do szkoły?

— Prawda. Im mniej będzie umiała, tem dla niej lepiej. Żydowski list niemiecki, no i polski niechby umiała napisać, to dla żydówki wystarczy.

— Ale gdybyś Marysię dał kształcić, to ona by sobie potem sama byt zapewniła.

— Co to znaczy byt zapewniła? Mąż zapewni jej byt! Co myślisz, że ją będę wiecznie w domu trzymał, niech ino jej mam dać posag, a zobaczysz! Niech mniej umie, to prędzej wyjdzie za mąż! Co ma z tego twoja matka, że uczoną, he?

— Ojcze, nasze pojęcia nie zgadzają się z sobą, po cóż się sprzeczać? Wszak i mnie nie pozwoliłeś, chodzić do szkół, chociaż cię profesorowie o moich zdolnościach i pilności zapewniali. Dziś jestem zmuszony żyć z dnia na dzień, bez stałego celu, bez myśli o zapewnionym kiedyś bycie.

— Aha, chciałbyś zostać doktorem! Czy wiesz, że kiedyś będzie więcej doktorów, niźli chorych, więcej adwokatów, niźli procesów?*)

— Chodziłem do realnej, mógłbym był zostać budowniczym, inżynierem.

---

*) Dodajmy od siebie i tę uwagę: „Więcej piszących, niż czytających.“ *(Przyp. red.)*

— Inżynierem? Czy wiesz, jak długo trzeba na to czekać? A jak się nim już jest, to co? Raptem pensja dwunastu stówek. Toż ja, biedny kupiec, więcej potrzebuję! Jak daję, to daję, ale jest na wszystko! Żyjecie przecież!

— Co za życie!

— Nie podoba ci się? Nie trzymam cię! Możesz odejść z domu! Ruszaj, świat szeroki.

— A czy nauczyłeś mnie jakiego rzemiosła? Jak wołu zaprzągłeś mnie do swego interesu! Zbankrutowałeś — ja stoję bez zajęcia! Każesz iść w świat, a z czem pójdę? Czy mam świadectwa potrzebne?.... A... nawet świadectwa ubóstwa mi nie wydadzą, bo choć bieda, ale przed ludźmi głowa do góry! Wszystkie progi dla mnie zamknięte, nie nauczono mnie pracować na chleb codzienny, a teraz? Boże! jak się to skończy?

— Co ty bezbożniku wspominasz Boga? Jak ci ma Bóg co dać, kiedyś taki bezbożny! To bieda, to, że w Boga nie wierzycie! Chcesz się zabezpieczyć, a nie wiesz, że żyd cudem żyje! Patrz, ile tu w Krakowie żydów; nie mają nic, a potrzebują rocznie tysiąc i kilkanaście set na życie i jakoś jest! A dlaczego? Bo wierzą w Boga!

— Ojcze, to wszystko bardzo ładne, ale trudno, Mania musi chodzić do szkoły. Postaraj się o świadectwo ubóstwa, to jej zarząd szkoły da potrzebne książki.

— Któż ci broni, idź, postaraj się.

— Ja mam pójść? Przecież to twoje dziecko.

— Nie mam czasu.

Józio czuł, jak go cierpliwość opuszcza; ręce drżały mu i głos drżał, gdy mówił do ojca:

— Nie masz czasu? A więc cóż to dziecko pocznie? Czyż ono się na świat prosiło, abyś je opuścił? Jesteś w błędzie, gdy w fanatycznym uporze myślisz o takiem zabezpieczeniu twych dzieci! Powinieneś im dać wychowanie, by sobie byt same zapewniły, bo nie jesteś majętny i prawdopodobnie posagu im dać nie będziesz w stanie.

Silnie zadany kułak stłumił ten wybuch zrozpaczonego serca i zdenerwowanego umysłu,

który kładł w usta słowa, nieco dziwnie brzmiące u młodzieńca. Po pierwszym kułaku sypały się jak gdyby gradem nowe a coraz silniejsze; krew buchła Józiowi nosem, ale ojciec nie widział tego w zapalczywości swojej, lecz bił coraz bardziej. Józio wydał okrzyk bolu i rozpaczy, instynktownie rzucając się naprzód. Księżyc skrył się po za chmury, które gęsto oblekły niebo, gdzieniegdzie migotające gwiazdy straciły swój blask pierwotny i ojciec daremnie szukał w zalegających ciemnościach postaci syna.

Odgłos rogu nocnego stróża doszedł do uszu błąkającego się nad brzegiem młodzieńca. Krew z nosa ciec przestała, ale głowę palił żar nieznośny, każdy nerw drżał poruszony boleśnie.

Duże krople deszczu obijały się szmerem o liście drzew, a on nie myślał o schronieniu. I wiatry zahuczały i świszcząc uginały konary drzew, mącąc wodę w Wiśle i unosząc z sobą wszystko, co tylko oprzeć się sile ich nie mogło. W tem łysło a niebawem rozległ się huk grzmotu. Ziemia zadrżała, a on nie ruszał się z miejsca.

Grzmoty i błyskawice następowały szybko jedne po drugich wśród deszczu nawalnego aż zmokły i oziębnięty młodzieniec ocknął się z odrętwienia.

Przyszedł mu na myśl Edgar Szekszpira, błąkający się w lesie wśród rozhukanych żywiołów, i pot gorący wystąpił mu na czoło. Uciec ztąd było jego jedyną myślą.

Zaczął biedz w stronę zachodnią, zdawało mu się, że kiedyś widział w tej okolicy budkę strażaką.

Błyskawice oświeciły na chwilę smutny ten krajobraz i on olśniony nagłem światłem rzucił wzrokiem dokoła.

O kilka kroków oddalona stała budka, w bronzowe i czarne pasy malowana. Dotarł do niej, brnąc w wilgotnej ziemi.

— Nie ma nikogo? — spytał drżącym głosem.

Grzmoty i błyskawice były jedyną odpowiedzią.

Wszedł więc i mocno oparł się o tylną ścianę. Przodem dobijał się deszcz i siekł twarz mło-

dzieńca niemiłosiernie, zmęczone nogi uginały się pod nim, a tu niepodobna zmienić sytuacji.

Boska fantazjo poety, która kreślisz grotę jako schronienie wygnanego Edgara, jakżeś od rzeczywistości piękniejszą!!!. . . . .

*

* *

I.

Na „placmuzyce.“

O szóstej popołudniu w piątek, który przypadał właśnie na dzień 28go Czerwca roku... mniejsza o liczbę..... dość że w roku, w którym przeważał kolor modny niebieski lub kremowy, muzyka pułku 20go rozpoczęła „placmuzykę“ uwerturą z „Wilhelma Tella.“

Upał był nieznośny; to też każdy wolał zapłacić po cztery centy i siadać na wynajętem krześle, niżli wałęsać się po mieście.

Panowie, a między nimi kilkunastu synów Marsa, stanęli szeregiem, to oparci o drzewa, to opodal przy stołkach, towarzysząc damom.

Uniwersytet krakowski najwięcej tu ma przedstawicieli. Ztamtąd to wychodzą złośliwe szepty i uwagi, krytyki toalet damskich a czasem śmiechy, przygłuszone muzyką.

Słusznie ktoś dowcipny nazwał placmuzykę: „Gänsemarktem krakowskim.“

Wygląda tak pono.

Każda matka przyprowadza tu swoją... gąseczkę na... pokaz. A panowie ocenić je mogą, bo leciuchne sukienki zdradzają więcej, aniżeli ukrywają.

Bądź co bądź to takie rendez-vous bez różnicy stanu i wiary ma także swoje dobre strony.

Pomimo piękności kawałka muzycznego, uwerturze jak najmniej się przysłuchują. Panowie patrzą za kobietami, a te... z wystudjowaną w domu przed lustrem miną, siedzą lub przechadzają się, patrząc niby przed siebie a widząc wszystko dokoła.

Nastąpiła pierwsza pauza.

„Muzykalne“ panie popuściły wodze swym języczkom, tu i owdzie padło słówko, zawiązała się rozmowa, która przecież nie przeszkadzała, przypatrywać się od chwili do chwili przechodzącym.

Obok największych plotkarek Krakowa przeszedł znany powszechnie jako świetny aranżer na wszystkich balach żydowskich, Feliks Roch w towarzystwie nieznajomego. A pewnie cudzoziemcem być musi ten czarno ubrany młody człowiek, który pomimo niepięknej powierzchowności zwraca na się powszechną uwagę.

— Kto to być może... chodzi z Rochem — pytały się panie nawzajem.

Żadna z pięknych i brzydkich cór Wschodu jednak odpowiedzieć na to pytanie nie mogła i towarzysz Rocha pozostał dla nich cudzoziemcem.

Cudzoziemcem jednak Józef Kerner nie był. Wraca po dwunastuletniej niebytności do rodzinnego kraju, by odszukać swoich. Lecz nikt potrzebnych mu wskazówek dać nie mógł. Znalazł się w wielkim tłumie obcych tylko jeden, który mu niezataił, że matka jego dawno umarła, a reszta rodziny w nędzę popadłszy, wreszcie się rozprószyła.

Gdzie i dokąd poszli, nikt nie wiedział; nie pozostawało nic innego, jak od policji zasięgnąć wiadomości. Idąc jednak za poradą Feliksa Rocha, poszedł Józef Kerner z nim na „placmuzykę“. Feliks Roch, to przewodnik w ścisłem tego słowa znaczeniu. Nie ma w Krakowie człowieka, któregoby nie znał bodaj z nazwiska. Jest to indywiduum, jakie każde wielkie miasto tuzinami posiada, a Kraków tylko jedyne.

Nic dziwnego; prastare to miasto niczego za wiele nie posiada, chyba z wyjątkiem szynków i plotkarek, albo raczej: plotkarek i szynków.

Ale wróćmy do rzeczy.

Józef Kerner poznał Feliksa Rocha w hotelu Krakowskim, gdzie stanął, a tenże popadł odrazu w taki serdeczny animusz do zcudzoziemczałego krajowca, że się już odczepić od niego, nie... chciał.

Wśród rozmowy przyrzekł mu Roch swą pomoc w odszukaniu rodziny, co mu jako urzędnikowi policyjnemu łatwiej przychodziło uskutecznić.

Przyszli na „placmuzykę“ jak ludzie dobrego tonu: trochę za późno.

— Panie Roch! tutaj znaleźć swoich nie spodziewam się — przemówił pierwszy Kerner.

— Ba! Jeśli tu nie, to doprawdy byłoby dziwnem. Lecz zwracaj pan uwagę, a gdy poznasz jakie podobieństwo w rysach, to o tę osobę mnie zapytaj.

— Może usiądzimy?

— Masz pan słuszność, siedząc możemy wszystkich lepiej podpatrzyć.

Przechodziło mnóstwo osób, a wszystkie znał Roch i opisywał z dokładnością przyjaciela domu; nikt nie uszedł jego wymownego języka.

— Patrzaj pan — rzekł — nasze moralne mamusie i córeczki... z jakimże wzrokiem ścigają tę oto blondynkę w koronkowej sukni. Jakże jej zazdroszczą piękności i elegancji stroju! Przypatrz się jej pan dobrze! A... do djabła!... już przeszła... może ją jeszcze zobaczymy.

— Któż to? — spytał Kerner spokojnie.

— Eksutrzymanka hrabiego F. M. a dziś najgłośniejsza w Krakowie kurtyzana! A... tu ją pan widzisz... wraca... przypatrz się pan, piękna, nieprawdaż?... Lecz co to? Już wstajesz pan? Ba, zawróciła panu głowę... to prędko... Ależ panie, nie biegnijmy, to wcale nie comme il faut!... Znajdziemy ją, jest pańską sąsiadką.

Kerner wstrzymał kroku, był dziwnie wzruszony; złośliwy śmiech Rocha przywrócił mu zimną krew.

— Zajęła pana bardzo.... wierzę! Ha! ha! ha! Lecz nie żenujże się pan! Madame Raszid większym magnatom głowy pozawracała.

— Więc ta osoba nazywa się?...

— Madame Raszid i jest pańską sąsiadką. Mieszka w hotelu Krakowskim.

— Madame Raszid — powtórzył z cicha Kerner i odetchnął wolniej.

— Nie jest to jednak jej właściwe nazwisko— mielił niestrudzony Roch — jeżeli jak widzę, ta o-

soba pana zajęła, to mogę wyjawić panu jej właściwe nazwisko.

— Ależ panie...

— Ba... drobnostka! Pan wiesz, pracuję w prefekturze policji... bagatelka... nie warto mówić o tem! Jutro dowiesz się pan o właściwem jej nazwisku.

— Ależ panie...

Pierwsze tony skocznego mazurka zagłuszyły ostatnie słowa Kernera. Obaj przyjaciele usiedli znowu, przypatrując się na nowo przechodzącym. Daremnym jednak był ich trud dzisiejszy, wracali bowiem do domu bez zdobyczy.

II.

Madame Raszid.

Z prawdziwie wschodnim przepychem urządzony był jej buduar, a niebieski szlafroczek z haftowanego batystu osłaniał jej piękną kibić. Promienie zachodzącego słońca kołysały się ponad jasnemi jej włosami, użyczając im złotego blasku.

Siedziała na dywanie, trzymając list w ręce i płakała.

Wtem dały się słyszeć dwa naraz głosy, potem ucichło na chwilę i pokojowa weszła z biletem.

Madame spostrzegła ją.

— Nie przyjmuję nikogo!

— Ten pan prosi tylko, by pani przeczytała jego nazwisko.

To mówiąc podała jej bilet.

Z westchnieniem wzięła madame Raszid bilet do ręki, lecz przeczytawszy nazwisko, postąpiła gwałtownie o krok naprzód, skrzyżowała ręce na piersiach, i padła na kolana z okrzykiem, w którym się malowały wszystkie uczucia i namiętności ludzkie.

— Mój brat! mój brat! — powtarzała ciągle.

Na progu stanął Józef Kerner i rozkazał gestem, by pokojowa wyszła.

Zostali sami!

— Mój brat — wydobyło się łkanie z jej piersi.

— I sędzia! — dodał przybyły.

Madame Raszid podniosła się żywo.

Wyprostowana, dumna, w majestacie swej piękności, stała jak królowa, oczekując ostatniego ciosu.

Patrzali na siebie długo. Jego wzrok z surowego stawał się litości pełen, jej z bezwstydnego mglisty, aż wreszcie zupełnie łzami okryty.

— Józiu!!!

Z tym okrzykiem pełnym bolu i miłości, rozpaczy i skargi, rzuciła mu się na szyję, całując go namiętnie.

Z trudnością uwolnił się od jej uścisku, wskazał ręką na dywan, a ona posłuszna jego skinieniu, usiadła.

Nastała cisza podobna tej, jaka burzę zwiastuje; każde z nich wiedziało, co nastąpić musi, a przecież zwlekali.

— Dwanaście lat — przemówił on wreszcie, hamując swe oburzenie — dwanaście lat pracowałem na obczyznie, pocieszając się myślą, że kiedyś wrócę do swoich i otoczę dobrobytem. — Roześmiał się gorżko, boleśnie, wskazując na przepych dokoła. — Tutaj jest to zbędnem, tobie ani pieniądze, ni miłość potrzebna...

— Odpychasz mnie?! — wykrzyknęła.

Popatrzył na nią surowo.

— Gdzie reszta rodziny, czy wiesz?

Zamiast odpowiedzi podniosła z ziemi list, który łzami skropiwszy, odłożyła przed wejściem pokojowej.

— Potępiasz mnie — rzekła — czytaj; a może przebaczysz, jak ona przebaczyła. Czytaj, to list od Reginy.

On wziął list do ręki i czytał chciwie, lecz coraz uważniej, a ona siedziała z głową spuszczoną, jakby oczekując wyroku.

Jęk głuchy, bolesny przerwał ciszę komnaty: zdziwiona podniosła głowę. Przy oknie stał jej brat, zasłaniając ręką oczy.

— Marjo — jęknął, pewno z bolu zapominając roli sędziego — a więc macocha... i ty, ty wspierasz ich teraz?!

Wstała i cicho podchodząc, przed nim uklękła.

— Józiu! Po dwunastu latach niewidzenia tak witasz siostrę? Bracie! jam godna litości, przebacz, przebacz mi!

Jeszcze się wahał, jeszcze walczył z sobą, ale serce przemogło.

— Siostro! — wyrwało się bezwiednie z ust jego.

W tem jednem słówku mieściła się cała jego braterska miłość; podniósł ją i pocałował w czoło.

Był to pierwszy czysty pocałunek, jaki mężczyzna złożył na jej czole.

Biedna ona wśród swego przepychu!

Swego?!

Nawet i to nie! Jutro może zachoruje, straci piękność, to biedniejsza wtedy będzie niż przekupka z pod straganu, niż to dziewczę, które wiśnie w koszyczku przechodniom zaleca i prosi, by kupili.

Wzruszenie przeszło i rzeczywistość objęła ich żelaznym swoim uściskiem.

Ten przepych dokoła, ta toaleta lekka, pełna wyrafinowanej kokieterji przemawiały żywo, dobitnie.

Stali znowu naprzeciw siebie.

— Szukałem mej siostry i znajduję... sławną kurtyzanę! A...! Marjo, jakże znieść możesz to życie pełne sromu i upodlenia?

— Chciałam umrzeć, nie dali mi.

— Umrzeć? Czyż tylko to pozostaje nieszczęśliwym? A praca?!

— Praca?! — wykrzyknęła z bolesnym śmiechem — i ty mówisz o pracy, jak oni wszyscy mówili, a nikt dać nie chciał! O pracy wspominasz? Siądź więc i słuchaj! Przyszedłeś jako sędzia, ale nim wydasz wyrok, wysłuchać mnie musisz. A uprzedzam, że daleką jestem od tego, bym swe własne przewinienia usprawiedliwić miała, ale to ci przysięgam, że jeśli upadłam, to nie z własnej lekkomyślności, jeno z winy ludzi, a nawet i ci mniej winni!.... O... jak to boleśnie wymówić... Józiu! ty mnie pojmujesz, ty wiesz, jak u nas bywało.... wtedy nie pojmowałam... ale dziś.... Józiu, jeśli cierpiliśmy i

jeszcze cierpimy, to ojciec nasz temu wszystkiemu winien.

— Marjo!!

— Czyż zaprzeczyć możesz? Któż w noc ciemną, burzliwą wygnał syna z domu? Któż zmusił dwunastuletnią dziewczynę do opuszczenia szkół, by potem niezdolną do pracy, któraby jej byt zapewniła, wyrzucić z domu i oddać na pastwę rozpaczy i hańby?!

Słuchaj! Po owej nocy burzliwej, której ślady wymownie świadczyły, jak była szaloną, obudziłyśmy się i jak zwykle poszły do szkoły. W domu czekano na ciebie, spodziewano się, że przyjdziesz; lecz daremno! Przeszedł dzień cały, który ustąpił nocy; znowu słońce weszło, a tyś nie przychodził. — Wtedy ojciec odkrył nam prawdę. Nastąpiły okropne sceny. Moja biedna matka kochała cię bardzo, cóż dziwnego, że dolewała oliwy do ognia. Byliśmy celem pośmiewiska uliczników i ubolewania sąsiadów. W domu wszystko szło na opak. Służąca uciekła, bo nie chciała być dłużej świadkiem scen, jakie się u nas rozgrywały. Nie gotowano, nie kładziono się na spoczynek.... były to dnie okropne.... W tydzień potem znaleźliśmy się na ulicy!...

Wstajesz, zaciskasz pięści z bolu? Poczekaj, to jeszcze nie wszystko! Jak się stało, możesz się domyśleć. Ojciec nie wyszukał innego mieszkania, a Stern miał prawo za sobą!

Dwanaście godzin byliśmy na ulicy. O dziesiątej w nocy sprowadziliśmy się do nowego mieszkania.

Była to istna jaskinia, ale... miała dach nad sobą i ludzie się już więcej na nas nie gapili.

Ojciec nie pozwolił, bym chodziła do szkoły, zostałam więc w domu, zajmując się naszem małem gospodarstwem. Regina chodziła już do trzeciej klasy, a Genia miała po wakacjach przejść do drugiej.

I płynęły nam dnie, tygodnie, upływały miesiące i wśród kłopotów o chleb codzienny zapomniano o synie i bracie!...

Po czterech latach pochowaliśmy matkę. Pochowaliśmy Anioła naszego domu. Dopóki ona żyła,

prowadziło się dom jako tako, żyło się przyzwoicie i ludzie nie wytykali palcami.....

Jeszcze trawa nie przykryła grobu mej matki, jeszcze pomnik nie stanął na wiecznem miejscu jej spoczynku, gdy... dostaliśmy macochę!... Obca kobieta zajęła miejsce naszej matki, żądała naszej miłości, darząc nas w zamian przekleństwami i kułakami, wymawiając nawet tej strawy, którą podawała zgłodniałym!

Regina, zawsze łagodna, znosiła wszystko z pokorą, a Genia, to delikatne dziecko uległo niezwykłemu temu trybowi życia i poszło do swej matki— anioła! A ja musiałam na to patrzeć i nic pomódz nie mogłam, a chociaż myśli moje gubiły się w labiryncie różnych przedsięwzięć, przecież czułam swą niemoc.... niemoc okropną!!! —

Madame Raszid umilkła. Opowiadania z minionych lat wstrząsnęły nią całą. Obie dłonie przyłożyła do palących skroni, oddychając mozolnie. Dziwnie odbijał przepych buduaru od tych dwóch postaci, z bolu zgiętych. Nawet słońce, które żegnając ziemię, ciekawie tu zajrzało, ledwo sekund kilka pobywszy, usunęło się prędko.

Madame Raszid podniosła głowę. Szmerem tym z odrętwienia zbudzony, popatrzył się Józef na siostrę.

Nie była to już kurtyzana z bezwstydnem czołem, ani nowoczesna Magdalena prosząca przebaczenia, a i nie ta wśród łez i jęków opowiadająca kobieta. Była to raczej mściwa Judyta z zamierzchłych czasów, w modne ubrana szaty.

— Marjo! co tobie?

Roześmiała się szatańsko.

— Marjo! na Boga!

Nie odpowiedziała; mocno ujęła jego rękę i poprowadziła go do okna.

— Czy widzisz te sklepy w oddali? Szewską ulicę, Rynek, Sukiennice? Czy widzisz z dala te magazyny? Wszędzie jam była, prosiła o pracę, a w ilu miejscach podejrzliwie przyjęta i upokorzona, odprawiana z kwitkiem!

W jednym sklepie dano mi zatrudnienie, lecz po dwóch dniach odprawiano jako niezdolną. Poszłam gdzieindziej. Tu znowu zdawało się kupcowej, że się jej mężowi zanadto podobam, dała mi więc za tydzień pięć guldenów i pożegnała. A co ja przy tem od macochy cierpiałam! Odejść z domu nie mogłam, bałam się ludzkiej obmowy, zresztą z czegóżbym wyżyła, cóż mnie, osobie bez fachowego wykształcenia płacić można było? Chodziłam więc znowu od magazynu do magazynu, od sklepu do sklepu żebrząc pracy lub zajęcia, aż wreszcie dostałam... na moje nieszczęście! Moim pryncypałem był człowiek najgorszej opinii, ja nie wiedziałam o tem... i w czas niedługi wytykano mnie palcami.

Przysięgam ci... lecz cóż przysięga kurtyzany znaczy... a jednak możesz mi wierzyć! Ani ja, ni pryncypał nie zawinił, ale czego macocha zła nie dokaże?! Oczerniła mnie przed ojcem, a ten wyrzucił mnie z domu!

Oszołomiona z bolu, zrozpaczona, myślałam, że jestem w istocie winną i nie wróciłam już do mego pryncypała, ale rozpoczęłam nową wędrówkę po magazynach i sklepach. —

Madame Raszid wstrząsnęła głową, rękę przyłożyła do mocno bijącego serca.

— Niewinną obwiniali, wyszydzali i nigdzie przyjąć nie chcieli!.... W nocy, gdy nie wiedząc, gdzie głowę złożę, zziębnięta, zgłodniała wróciłam przed bramę domu, w którym mieszkała moja rodzina..... brama była zamknięta, nie świeciło się nigdzie, byłam samotna, choć tak blisko ojca i siostry!.... Któż powie o Bogu?! Któż Go wspomnie, gdy daremno czeka pomocy! Któż wspomni moralność, gdy z mrozu i głodu kona?!....

Zakryła twarz rękami.

— Moralność, to zadowolenie naszego własnego ja!.... Usłyszałam to tej samej nocy w mieszkaniu hrabiego, a odtąd żyłam w takim przepychu!

Wskazała na umeblowanie.

— Marjo! Marjo! — jęczał brat.

Ona na to nie zważała.

— Nie chcieli mi dać zatrudnienia — mówiła namiętnie — teraz ja zapracowany ich grosz za okno wyrzucam! Rujnuję ich braci, mężów i synów! To moja zemsta!!!

— Marjo — krzyknął brat, lecz widząc, że na niego nie zważa, przystąpił do niej, szarpiąc za ręce — a więc tak mówi kurtyzana, tak mówi moja siostra, Marja Kerner!

— Madame Raszid, powiedz raczej! Przyszedłeś sądzić mnie? Przeklinaj nawet! Czy kurtyzana w ogóle trwożyć się będzie przekleństw ludzkich? Toż jej wszyscy moralni i uczciwi ludzie złorzeczą! Idź! Wróć, bom ja stracona! Genia umarła, niech ci się zdaje, że i drugiej siostry nie masz! Pozostaje ci jeszcze jedna. Jeśliś bogaty, wtedy rzuć jej garść złota i worek morałów, a otrzymasz tuzin całusów od jej trojga aniołków! Idź! idź!!

On stał z wykrzywionemi z bolu ustami i patrzał się na nią, aż wreszcie smutnie schylił głowę.

Czyżby przyjechał zapóźno?

— Marjo — rzekł cicho — pójdę i przyjdę potem.

Zwrócił się ku drzwiom.

— Nie idź! — zakrzyknęła.

Odwrócił głowę.

Marja wyciągnęła ku niemu ręce, a boleść szamotała się z rozpaczą, a lepsze ja z demonem jej duszy, a przepych buduaru nikł przed jej wzrokiem, zdawało się jej, że z luster wychodzą twarze wykrzywione i blade, wyciągające ku niej kościste ramiona, że figury z marmuru i bronzu, to djabły i czarownice, wyprawiające swój sabat, a monotonny dźwięk zegaru, to jęki nieszczęśliwych żon i matek, których mężowie i synowie trwonią majątek i bezczeszczą swe nazwisko.... walczyła okropnie, lecz powoli oczy tracą swój ogień, bo go łzy zgasiły.

Przybiegła do brata, a kładąc główkę na jego piersi, wyszeptała jedno słówko małe, nieznaczące a jednak doniosłe:

— Ratuj!

A na tle purpury i złota, bronzu i marmuru majaczyły dwie postacie w bratnim uścisku, a zmrok

wieczorny rzucał swe cienie na batystowy szlafroczek, odbijający od czarnego ubrania mężczyzny.

III.

Na „żydowskiej ulicy.“

Przed numerem 8m domu przy ulicy Józefa zwanej także żydowską, zajechał o godzinie dziesiątej z rana fiakier.

Żydówki ze sklepów i z pod straganu wyszły zaciekawione.

— Doktor? — pytały jedna drugą.

Fiakrem według ich zdania mógł tylko doktor zajechać.

Niebawem ciekawość żydówek została zaspokojoną. Jedna z nich bowiem wysłała sprytnego Abramka na zwiady, a ten przyleciał wkrótce z relacją:

— Ten czarno ubrany pan, to wszedł na drugie piętro do Silbermanów.

Tymczasem rozegrała się na drugiem piętrze scena powitania, okraszona jak zwykle, licznemi wykrzykami i łzami.

— Brat przyjechał! Wójcio przyjechał!

To jedno słyszeć można było wśród chaosu.

I wkrótce żydówka, utrzymująca sklepik w tym domu, dowiedziała się od kucharki, która zbiegła ze wschodów po sodową wodę, że przyjeżdżający fiakrem jegomość jest pani bratem i pewno z Ameryki przybył.

Relacja ta obiegła wkrótce całą żydowską ulicę.

— Brat z Ameryki, pewno bogaty — kalkulowały sprytne żydóweczki i obrachowywały możebny kapitał, jaki przypaść może na Silbermanową. Nawet sławny lichwiarz z żydowskiej ulicy, pożyczający na 56%, dowiedziawszy się o przyjeździe bogatego brata z Ameryki, w myśli ułożył już konto dla Silbermana... na 500 złr. w. a.

A Regina Silbermanowa uszczęśliwiona, zapłakana a śmiejąca się, biegała od czystej swej kuchenki do skromnie, lecz gustownie urządzonego pokoju, biorąc sprzęty do ręki, to znów stawiając.

Była jak w gorączce.

Wreszcie usiadła, a troje dzieci: dwie dziewczynki i chłopczyk, uczepiwszy się jej sukni i fartuszka, stanęły obok, patrząc zdziwione na wujaszka.

Jakże tu było miło, schludnie! Dzieci czysto umyte i ubrane, gospodyni w białym fartuszku, okrywającym płócienną w „karo“ sukienkę.

Wszystko oddychało dobrobytem.

Józef Kerner uśmiechał się błogo, patrząc dokoła.

— Regino, widzę, że jesteś szczęśliwą.

Uśmiechnęła się smętnie.

— Mam dobre dzieci, patrzaj, w nich moje szczęście, w nich życie moje — lecz widząc, że zdziwiony i jakby rozczarowany wpatrywał się w jej twarz, podbiegła żywo do stolika po album i rozłożyła przed bratem. — Nie ma mojego męża w domu, pokażę ci choć jego fotografję. Ale... mój mąż w starozakonnem ubraniu.

— Jakto? i tyś się zdecydowała?

Znowu uśmiech smętny prześlizgnął się po jej twarzy.

— Ojciec kazał, to było na moje dobro. Miałam pięćset guldenów posagu, cóż było robić? Swatano mi go; każdy mówił, że to świetna partja. Byłam wówczas jeszcze bardzo młodą, miałam szesnaście lat, cóż było robić? Sierota, chciałam się pozbyć macochy.

— Twój mąż handlarzem zboża?

— Tak. Nie źle nam się powodzi, ale...

— Jest jakieś ale — uśmiechnął się smutnie brat.

— To głupstwo, zwyczajnie jak u nas polskich żydów! — ściągnęła ramionami.

— Cały ciężar wychowania dzieci zwala na ciebie? — zgadywał brat.

Skinęła głową, całując swą młodszą córeczkę.

— Ale ci nie brak niczego, dobry dla ciebie? — wypytywał troskliwie.

Znowu się uśmiechnęła.

— Daje mi tygodniowo, nie dużo; nic dziwnego, mamy dzieci, trzeba odkładać dla nich, a ja

widzisz, jak mogę oszczędzam z tego, co on daje na życie, kupię lustro do pokoju, to dywanik, to dzieciom co sprawię. Żądać od niego na wszystko nie mogę. Oni nie pojmują, że potrzeba kapelusza do sezonu, rękawiczek, lub parasolki. To już oni wszyscy tacy! Co innego niemieccy, ci sami z żonami chodzą do magazynów, ale u nas polskich żydów!... Tyś od tego już odzwyczajony, nieprawda, Józiu?

Uśmiechnęła się do niego.

— Myślałem, że tu już inaczej.

Westchnął.

— Ale Józiu — rzekła żywo — ty mi jeszcze nic o sobie nie mówiłeś! Tyś może już żonaty?

Skinął głową.

— Dawno?

— Od dwóch miesięcy.

— A masz jej fotografię?

Wyjął fotografię i pokazał.

Wpatrywała się długo w rysy nieznanej sobie bratowej, aż oddała fotografię.

— Nieładna, ale coś anielskiego w wyrazie jej twarzy — rzekła — kochasz ją?

— Szanuję i da Bóg, wkrótce pokocham.

Rozmowę przerwało wejście kucharki, która przyszła się pani spytać, czy dzieci pójdą dziś na planty.

— Sama nie wiem — odpowiedziała zakłopotana — Józiu! zostaniesz u nas na obiedzie?... Widzisz... posyłam dzieci codziennie na plantacje przed obiadem... doktor kazał. Kucharka mi tylko przystawi obiad i odchodzi z dziećmi, ja sama potem gotuję. Lecz dzisiaj...

Była mocno zafrasowana.

— Ależ nie przeszkadzaj sobie! Jadam obiad o szóstej, jestem tak przyzwyczajony. Nie przeszkadzaj sobie. Owszem wyślij dzieci, pomówimy swobodniej!

Uścisnęła mu rękę przepraszając.

— Poczekasz chwilkę, wydam im kapelusze, to pójdą. Zaglądnę jeszcze do kuchni; przepraszam Cię na chwileczkę!

Wyszła z dziećmi a za nią kucharka.

Józef Kerner został sam w pokoju.

— A więc tu żyje moja siostra... szczęśliwą nie jest, ale zadowoloną z bytu, ma dzieci, które kocha...

Zaczął się przechadzać po pokoju, oglądając wszystko dokładnie.

Spostrzegł szafkę z książkami.

— A więc tu o pokarm duchowy dbają! ktoż, czy szwagier? Ledwie do uwierzenia. A więc siostra? Prawdopodobnie.

Otworzył pierwszą książkę: „Historja Greków i Rzymian.“ Otworzył drugą: „Literatura polska.“ Przeglądnął wszystkie i poznał, że jego siostra stara się wypełnić luki swej edukacji.

Na co?

On wiedział; toż wychował się między polskimi żydami! U nich większość kobiet tak robi! Chęć światła ogarnia je wszystkie, a wytrwalsza zdobywa wiedzę, żując ją przez całe życie u boku męża, który jej zrozumieć nie może.

— Ach, oglądasz moje książki?!

Siostra wracała z kuchni i zastała go przed szafką.

— Widzisz, na wszystko znajdę czas. Wprawdzie uczę się — gdy męża nie ma w domu, bo on... śmieje się ze mnie... powiada, że mi to na nic się nie przyda. On nie wie, jak to przyjemnie! Lecz siądź! Jeszcześ mi nic o sobie nie mówił, a nawet zapomniałam ci się spytać, od kogoś się dowiedział, gdzie mieszkam.

— Od Marji.

— Widziałeś ją?

Patrzała na niego z oczekiwaniem.

— Wczoraj — odpowiadał — biedna ona!

— Biedna — powtórzyła jak echo i łzy zaszkliły się w jej oczach.

— Byłem u niej wczoraj; czytałem także twój list... Regino! nasza siostra kurtyzaną!.....

— Józiu, nie potępiaj jej! Ona już tyle cierpiała za nas wszystkich w domu! Widzisz... kto wie, coby się było ze mną stało, gdybym nie była wyszła za Silbermana. Czy sądzisz, że mi to łatwo przyszło?... Każda z nas ma swoje marzenia... Józiu! potępić łatwo, ale przebaczyć?...

— Przebaczyłem jej i zabiorę z sobą do mojej żony, do kraju nowego, niechaj zapomni o swojej przeszłości.

— Józiu, ty wracasz?

— A cóżeś sądziła? Wszak tam mój dom teraz; żona, fabryka!

Spuściła smutnie głowę.

— Znowu się rozstaniemy, a może na wieki! O mój Boże! Biedne my dzieci, na co przyszliśmy na ten świat?

— Nie rozczulaj mnie, Regino! Zrobię dla was wszystko, co w mojej mocy. Nie płacz, Regino! Masz dzieci, wychowaj je dobrze, uczciwie! Rodzice obowiązani są, więcej zrobić dla dzieci, niż się spodziewać od ich wdzięczności mogą! Ja też mam święte obowiązki, do nich wracać muszę. Regino! nie płacz! I ojca przyszłość zabezpieczę, bo chociaż z jego winy spałem w owej burzliwej nocy w budce strażaka, toć to poprowadziło mnie na drogę walki, a teraz jestem bogaty, nawet bardzo bogaty!

— Opowiedz mi wszystko, Józiu — prosiła ona ocierając łzy. Chłopcu łatwiej na świecie — mówiła dalej — oj łatwiej! Ci państwo, u których lekcje dawałeś, mówili mamie, żeś się im zwierzył, a oni między znajomymi uzbierali pewną kwotę i wysłali cię do Hamburga. Ale co dalej, opowiedz wszystko. Miałeś tam wstąpić do interesu ich krewnych... opowiedz, co dalej?

Roześmiał się przymusowo.

— Co dalej? Pracowałem, a zarobiłem tyle, by kupić mały bochenek chleba i przekroić go na trzy części, to jest: na śniadanie, obiad i kolację... widzisz, jadłem tyle, by nie umrzeć z głodu! — Potem było lepiej, dano mi zyskowniejsze zatrudnienie, wżyłem się w ten interes, szło jakiś czas dobrze, ale jak to często się tam zdarza: nastąpił krach niespodziewany. Cóż miałem począć? Wrócić do kraju nie miałem po co. Pojechałem więc do Ameryki, marząc o złotych górach. Niedoświadczony, jaki byłem! Tam stokroć gorzej! Jak prosty wyrobnik pracy jąć się musiałem, tam wybierać nie można! Ale byłem wytrwały, a tam tego potrzeba, by zupełnie nie zaginąć wśród tej

masy walczącej o byt, przeciskającej się z miejsca na miejsce, pracującej na wyścigi, bo inaczej życia tam nie ma! Wstąpiłem do fabryki sukna i wkrótce zwróciłem na się uwagę szefa. Majątku zrobić tu nie mogłem, ale odkładałem pewny kapitalik, by módz kiedyś na własną rękę założyć interes.

— A nie pisałeś do nas — przerwała z wymówką.

— Ależ pisałem do mamy, adresując do państwa, u których lekcje dawałem tutaj. Nie otrzymałem jednak odpowiedzi, myślałem więc, że nic o mnie wiedzieć nie chcecie.

— Nie otrzymaliśmy listu.

— Pewno zaginął, dość, że fakt istnieje. Teraz jestem bogaty, jestem właścicielem tej fabryki, gdzie poprzednio sam ciężko na chleb pracowałem.

— A twój szef?

— Został moim teściem. Zdobyłem jego zaufanie. Umierając powierzył mi fabrykę i córkę, która była jego jedyną spadkobierczynią.

— A ożeniwszy się, przyjechałeś zaraz do nas! Józiu, czemuż nasza matka nie żyje, czemuż nie dożyła tej pociechy!

Zapłakała rzewnie.

— Cicho Regino, nie szarpaj mego serca, ono ledwie że nie pękło pod ciosem wrażeń, które padły nań. Nie płacz, jeśli to prawda, że istnieje życie po za tym światem, że istność pozagrobowa to nie fikcja, nie legenda; to nasza matka szczęśliwą w raju. Bo i cóż to nasze życie? do jednej kropli słodyczy dolewa się kielich piołunu! Nie płacz, cieszmy się, dopóki jesteśmy razem i nie bój się, nie odjadę, aż wszystko ułożymy.

Uśmiechnęła się z poza łez.

— Krótko trwają na ziemi chwile szczęścia — przemówiła — żyjemy, a gdyby człowiek oglądnąć się chciał za minionym czasem, toby życie mu się sprzykrzyło. Cóż robić, trzeba je brać, jak się daje!

— Moja ty filozofko!

I długo tak gwarzyli, aż nadeszły dzieci; na południe przybył także Silberman i wśród ogólnej ożywionej rozmowy zeszedł czas prędko.

Znowu zajechał przed dom fiakier, znowu zbiegły się żydówki i miały to zadowolenie, że widziały, jak „brata z Ameryki“ odprowadzono aż do wozu, jak go całowano i ściskano, aż dorożkarz konie zaciął a one ruszyły.

Żydówki z ulicy nie studjowały Lawatera, a przecież każda z nich przysięgłaby na talmud, że „brat z Ameryki“ bogaty człowiek i nie skąpy!

Wierzyły w to święcie, bo inaczej, rozmyślisły, nie odprowadzonoby go aż na dół.

I jakoś się nie pomyliły.

W tydzień po opisanych przezemnie odwidzinach wiedzieli już wszyscy mieszkańcy żydowskiej ulicy, ile tysięcy Józef Kerner zostawił familii, a wiedzieli o tem z tą dokładnością, z jaką ja wysokość sum zapisanych podaję.

Hindzia i Jochcia córeczki Silbermanów miały po dwa tysiące, każda z nich z osobna w kasie oszczędności złożonych, które to pieniądze miały stanowić ich posag.

O synku Silbermanów zaś mówiono, że gdy wyrośnie, to pojedzie do wuja do Ameryki. Jedno tylko martwiło mieszkańców żydowskiej ulicy, a mianowicie to, że stary Kerner założył sobie przy rzeczonej ulicy szynk a wyposażył takim komfortem, że ściągnął do niego wszystkich żydowskich gości.

Coś tam jeszcze szeptano o drugiej córce Kernera, ale nic na pewno o niej nie wiedziano, nigdy bowiem nie doszedł już tu więcej głos ze sfer, wśród których dawniej żyła i obracała się sławna niegdyś Madame Raszid, w której się nie spodziewano Marji Kernerównej.

K O N I E C.

WIOSNA.

Wiosna do życia budzi naturę —
Wiosna zielenią lasy okrywa:
Na każdym listku barwa jej lśni.
Zniknęły zimy szaty ponure,
Z cicha się słowik w gąszczu odzywa,
W jasnym błękicie skowronek tkwi.
Wiosną ach! wszystko tutaj oddycha,
Świeżem jej tchnieniem lubo, radośnie,
I duch mój też się nad światy rwie;
Lecz mię nieznana siła odpycha,
I w głębi serca zwątpienie rośnie,
I z głębi uczuć zwątpienie tchnie.
Chciałem ulecieć, myślą niesiony
W sfery urocze, bliskie błękitu,
By tam choć chwilę, choć chwilę żyć,
By te nadziemskie zobaczyć strony,
A potem spłynąć z tych wyżyn szczytu
I znów, jak pierwej, człowiekiem być;
I być czemś więcej, niż trawką tylko,
Która pod słońca ciepłym promieniem
Nad inne wznosi zielony szczyt.
Chciałem się jedną nasycić chwilką,
By się módz potem bawić wspomnieniem,
Jak ten uroczy wyglądał świt.
Ale gdym wracał, biedny i mały
Z tych niedostępnych krain marzenia,
Głos usłyszałem płynący z chmur:
„Jak dzikie ku nam wznoszą cię szały!
Wszak tylko częścią jesteś stworzenia,
Tyś kopią tylko a tutaj wzór.“
I każdy kwiatek na mojej drodze
I każdy ptaszek śpiewnym swym głosem.
Jakby wołając przed Boga tron,
Albo się ze mnie natrząsał srodze,
Albo się nad mym litował losem,
Żem w mej potędze słabszy, niż on.

Stanisław Womela.

W klasztorze Sióstr Niepokalanek
w Jarosławiu.

Jak tu spokojnie, cicho, uroczo —
Tutaj nie znają burz życia, świata,
Tu namiętności wnętrza nie tłoczą,
Od ludzi grzechu broni ta krata.
Modlitwa skrzydłem swojem otacza
Sługi w pokorze Boga modlące,
Tu promień szczęścia życie ozłaca,
Tu nie rwą serca ognie płonące.

Słyszę szmer cichy: z serc modła płynie,
Zlewa się razem w akkord pieśniany,
Echo śród murów rozbite ginie,
A z nieba leci Anioł wybrany
I modły zbiera jak perły drogie!

O tutaj tylko, tu szczęście błogie,
Tutaj zapomnieć można przeszłości,
Burz i walk z losem i ludzkich złości
I ich szyderskich śmiechów na licu!

Tu znajdziesz schronę, biedna dziewico,
Gdy serce twoje bole ucisną
A ponad głową gromy zawisną!
Tu, gdyś samotna, ciebie przygarną,
Otoczą cichą serc swych miłością,
Tu się rozstaniesz z niedolą czarną,
Tu i łzę znajdziesz, co zwą: litością!

Jarosław, dnia 1. Czerwca 1883.

Bolesław Andruszewicz.

WIGILJA,

POWIASTKA.

I.

Wiatr wieje, hucząc przeraźliwie po gałęziach drzew. Gwiazd nie widać na ołowianem niebie, śnieg sypie gęsty, a ciemność grobowa pokryła świat.....

Krańcem lasu przesuwa się postać nieznanego mężczyzny, noszącego ubior pielgrzyma. Siwe włosy w nieładzie spadają na potężne czoło starca, a na piersi srebrna spływa mu broda. Jedną ręką podnosząc poły długiej swojej sukmany, w drugiej trzymał prosty kij sękaty. I szedł powoli, sunąc się po śniegu, w którym zapadał się co chwila, laską tylko torował sobie drogę, czasami wpadając po pas w śnieg, to znowu mozolnie wdrapując się na wzgórze, lecz szedł dalej..... i dalej.....

Minął las, do wioski było daleko, a siły już opuszczać go zaczęły, odpoczął chwilkę westchnąwszy głęboko. Potem ruszył dalej, mrucząc zapewne jakąś modlitwę. Wtem wiatr zadął silnie, obalając go na ziemię.

— O Boże! — zawołał wtedy starzec z goryczą — czy już nie dójdę dziś do wioski... mej ziemi rodzinnej! O Panie! wszakże Ty mnie nie opuścisz.

I podnosząc się mozolnie, otrzepywał z twarzy i z brody śnieg. I szedł znowu dalej zamyślony z nawpół zamrużonemi oczyma a szeptał półgłosem:

— To dziś wigilja.... tak.... tak.... dziś wigilja— wycedził przez zęby, dzień dziś wielki, Pan świata się rodzi.....

Po chwili podniósł głowę i spostrzegł tuż przed sobą dworskie ogrodzenie, pokryte grubą warstwą śniegu. Ujrzawszy je, ocucił się, serce zakołatało mu gwałtowniej, a przyspieszając kroki, szepnął prawie niedosłyszalnym głosem:

— Tu koniec mej pielgrzymki — i wszedł na mostek, który prowadził do dworu a przekroczywszy go, przystanął w bramie i dziwne jakieś uczucie owładnęło nim. Począł się wahać, rozmaite obudziły się w nim myśli, aż wreszcie szybkim krokiem wszedł na podwórzec, zkąd uderzył nań widok na dwór, staroświeckim budowany stylem. Pochylony był ten dwór prawie do ziemi, a sterany wiekami, zdawał się prawie podobniejszym być do chatki, niż do dworu szlacheckiego, z okien zaś dworskich bił blask światła, jak gdyby z zaczarowanego zamku, oświetlając podwórzec....

II.

Ruch we dworze wielki, przystawiano, przestawiano, krzyk, hałas nie do opisania....

Najstarsza córka pana domu, panna Stanisława nakrywała do stołu wraz z lokajem, który znosił talerze, a panna poustawiawszy je, zaczęła przygotowywać opłatki z miodem. Służący kończąc nakrycie zauważał, że na dwanaście miejsc było nakryte.

— Wszak jedenaście osób siada do stołu, proszę panienki, na cóż to dwunaste nakrycie?

— Niech zostanie tu — odrzekła Stanisława, mam dziwne przeczucie, że dwunasta osoba tutaj zasiędzie, niezbierajcie tego nakrycia Mateuszu, proszę was.

Wkrótce pan domu łamał opłatek z domownikami, przyjmując życzenia i udzielając nawzajem:.... „Pan świata się rodzi.....“

III.

Wigilja zaczęta.... lokaj znosił i wynosił potrawy z pokoju do przedpokoju i napowrót... W tem odezwał się głos trwożliwy:

— Mój panie! proszę mnie zameldować panu.

— Coście za jeden? — zapytał lokaj.

— Pielgrzym — odrzekł obcy — powiedzcie to panu.

— Pan nie ma czasu, je teraz kolację — odburknął lokaj — wynoście się z Bogiem — na później poznanie, teraz nie mam czasu, no, idźcież sobie.

— Nie — odrzekł pielgrzym, chcę widzieć się z panem i to natychmiast.

— Co? — zawołał lokaj zaperzony, odtrącając od drzwi pielgrzyma, który upadł, uderzając głową o podłogę. Na łoskot wywołany jego upadkiem, wybiegli biesiadnicy, zrywając się od stołu. Pan domu, otworzywszy drzwi, zawołał, cofając się wstecz z przestrachu:

— O Boże! cóż to za nieszczęśliwy wypadek, może ten człowiek umarł, wodę, wino podajcie coprędzej, aby go ocucić.

Tymczasem goście podnieśli starca, sadzając go na wielkim krześle, nalawszy mu do ust wina a twarz jego skrapiając wodą. Wkrótce też pielgrzym otworzył oczy, rozglądając się wokoło, poczem rzekł:

— Pokój temu domowi! — i łzy cisnęły mu się do ócz gwałtownie.

— O Emiljo, moja droga! — zawołał wstając z krzesła — o żono moja ukochana! jam twój mąż Stefan Milewski, ja uciekłem z Syberji i tutaj zaszedłem, dowiadując się o ciebie. Gdzież syn mój, którego dotychczas nie znałem, lecz wiedziałem o dziecięciu, które się miało urodzić a dziś wiem tylko, że mam syna, którego od lat trzydziestu nie widziałem.

— Jam jest twój syn, twe dziecię —, to rzekłszy pan domu padł do nóg ojcu zlewając je łzami rzewnemi, a po chwili zawołał:

— Patrz ojcze ukochany, to ma żona a to wnuczki twoje a moje dzieciaki....

Jaka była radość w rodzinie, żadne pióro tego nie opisze.

Dwunaste nakrycie zostało zajęte.

Uszczęśliwiona rodzina kończyła wigilję z tym, którego miała za straconego i z którym po latach

trzydziestu po raz pierwszy łamie opłatek, pożywając dary Boże.

Po wigilii roztworzono drzwi od salonu, gdzie było „drzewko,“ oświetlone przepysznie świeczkami i gnące się pod ciężarem rozmaitych rzeczy.....

Radości nie było końca......

— O dziadunio! dziadunio! — zawołały wnuczęta, tuląc się doń, całując z poszanowaniem jego ręce i nogi — zakolęduj nam co.

Ten, namyślawszy się chwilkę. zaczął śpiewać a uradowana i uszczęśliwiona rodzina zaintonowała z nim razem pieśń staropolską:

„O! dzisiaj dzień wielki,
Pan świata się rodzi.“

Stanisław Kostro

Jedna droga,

PIEŚŃ.

Dla kobiety — szczęścia pasmo
Jedną drogą snuje się!
Na niej wiara lśni się jasno,
Myśl modlitwą k' niebu mknie.
Na tej drodze miłość płonie
Gwiazdą szczęścia — wiary — łez...
Praca wzmacnia słabe dłonie,
W poświęceniu — ofiar kres!
Jedną drogą dla kobiety
Spływa z niebios szczęścia zdrój!
Tą — co krzyż ma u swej mety,
Tą, co z cierni zwija strój,

Gdzie dla drugich wszystko swoje
W poświęceniu można dać,
Złożyć dolę — pracę — znoje
I w spokoju cicho trwać.
Dla kobiety jedna droga,
Gdzie rodzinne gniazdko — dom,
Wpośród nieszczęść, w obec wroga,
Słaby zemst niewieścich grom.
Bo Ojczyznie służyć wiernie,
Jej bez skargi wszystko dać...
Miłość — szczęście — dom — łez ciernie,
To na drodze — szczęścia trwać!
Dla kobiety jedna droga
Wyższa ponad ziemski brud...
Od rodzinnej chatki proga
Po tęczowym szlaku złud
Płynąć wyżej! Skrzydłem cnoty
Nie tknąć błota — żądzy dróg,
Stroić ducha w odblask złoty...
W takiem życiu — bliższy Bóg!

1888.

Błękitna.

HANNIBAL,

HEROIDA.

Ciesz się o Romo, co w świata granice
Swoje zaborcze wysyłasz sztandary,
I w miast dalekich spokojne dzielnice
Wnosisz miecz krwawy i wojny pożary.
Ciesz się o Romo, co w obcej krainie
Panując miecza potęgą wielmożną,
Obdzierasz Bogów przedwiecznych świątynie
I chciwie rękę wyciągasz bezbożną.
Ciesz się o Romo, i hojne złóż dary
Bogu, co wrogów ze świata zabiera,
Niech płoną święte dla Marsa ofiary:
Hannibal, wróg twój, pogromca... umiera!
Ciesz się mój ojcze, co w cieniów krainie
Przebywasz, w państwie ponurem Plutona,
Patrz! oto strugą Rzymianów krew płynie
I dumna Roma leży zwyciężona.
Odkąd ci dałem przysięgę zawiści,
Ona dla Rzymian całem mem uczuciem
I ruch mój każdy ruchem nienawiści,
Każde wspomnienie bolesnem ukłuciem.
Bo tylko w zguby i zemsty pragnieniach
Mściwych mych myśli koło się toczyło,
Jam setki Rzymian pogrążył w płomieniach,
Jam setki Rzymian osłonił mogiłą.
Łzy rzymskich matek, płaczących śmierć synów,
Jęki małżonek, widzących śmierć męża —
Oto dowody nienawiści czynów,
To punickiego jest dzieło oręża!
I broń punicka krwią wrogów oblana,
Przeszła przez Alpy a Rzymian potęga

Na polach Cannae sromotnie złamana
Padła — patrz ojcze — oto ma przysięga!
Po twardych karkach wrogiego plemienia
Przeszły zwycięzko punickie szeregi.
Skroń wojowników laur sławy ocienia
I brzmi jej odgłos aż po Tybru brzegi.
A nawet harde Kapitolu mury
Słuchały dźwięku kartagińskiej broni,
Okrzyk zwycięztwa uderzał o chmury
I miecz punicki pił krew z rzymskiej skroni.
A Kartagina za liczne sztandary,
Zdobyte w boju, za Rzymian pogromy
Bogom dziękczynne paliła ofiary,
Drwiąc z strasznej klęski nieprzyjaznej Romy.
Dzisiaj nić życia mam przeciąć trucizną,
Choć nieskończone to dzieło olbrzymie.
Żegnaj mi zatem na wieki, Ojczyzno,
Płacz Kartaginie a raduj się, Rzymie!

Pisane w Brodach, dnia 24. Października 1888.

Stanisław Womela.

Do braci!

Smutno dziś bracia, na polskim zagonie,
Ojczyznę dola pognębiła twarda —
Żnicz gaśnie święty w narodowem łonie,
Udziałem naszym — niewola i wzgarda!
Tyle już męczeństw myśmy przecierpieli,
Tyle już cierni wbito w nasze skronie —
A bronią naszą były łez kąpiele,
Słabe modlitwy i wznoszenie dłoni...
Zamiast do czynu dodać zdrową rękę
I lepszą dolę Ojczyźnie sposobić —
Wolim narzekać na więzy i mękę,
Lać łzy gorące — ale nic nie robić!

Więc dziś kto treny rzewne spiewać umie
I kto frazesy szumne deklamuje,
Ten popularność łatwo zyska w tłumie...
I patrjoty nazwanie zyskuje...
Sądzim, że płaczem i skargą na nieba
Już obowiązkom czynim wszystkim zadość —
Że już pracować wcale nie potrzeba,
Że dość łzy rzewne — teatralna bladość....
Dosyć już bracia łzy sączyć bez celu,
W pracy dla Polski zaświta zbawienie —
Same nam nieba doli nie udzielą,
Na własnej sile nasze odkupienie. —
Gdzie zamiast pracy słychać narzekania,
Tam słaby płomyk żywotności płonie,
Słaby kto ból swój przed światem odsłania
I czas na modły bezowocne trwoni...
My w sobie boleść zamknijmy i rany,
Niech się twarz śmieje, choć nas robak toczy —
Chociaż rozpaczą duch straszną targany,
Niechaj radością promienieją oczy. —
Rzućmy te jęki, narzekania rzewne —
Raźno do dzieła, ręce splotłszy zgodą —
A sami losy zwyciężymy gniewne,
Bo w bój nas praca z zaparciem powiodą!

Stryj, dnia 27. Grudnia 1887.

Antoni Stanisław Chołoniewski.

Podgórzanie wojownicy.

Zwierzęta poczuwają życie swoje nieświadome... Ludzie wiedzą, że żyją: są świadomi życia i rozwoju jego.. Świadomość rozwoju życia w pełni jest oświatą, poczucie życia społecznego jest cywilizacją... Narody żyją życiem odrębnem gdyby

ludzie... Jest też poczucie i świadomość życia narodowego. Jest oświata narodowa! —

Narody nieświadome rozwoju życia, zwiemy: dzikiemi gens barbara = goi...

Narody dzikie mogą być cywilizowanemi — lecz bez oświaty. Do cywilizacji wystarczy: spólne mieszkanie, spólna obrona, spólne wyżywienie, wiedzione poczuciem społecznem.

Oświata wie o swej pieleszy, o swej przeszłości, wie o postępie w rozwoju umysłu, zna cel życia i bytu swego...

Bydlę boruczy nad kością bydlęcą... Pies — wilk — wyje nad posoką.. My! deptamy ziemię krwią zbroczoną — deptamy kości ludzkie, leżące w mogiłach... Po polach pełno pomników! każda kapliczka i figura zmurowana na grobie ludzkim...

A czyjeż to groby tu w Sądeczyznie? Może dziadów waszych!... A wiecie wy o tem?

Polska przed wieki piersią swoją zasłaniała Europę i oświatę — od Tatar, chcących miasta zamienić na pastwiska. Boć to ich cywilizacja!

Wewnątrz, Polska wyrabiała myśl swoją, oświatę swoją.., Sięgała po wiedzę... Była przytułkiem ludzi mądrych... A mądrość ludzka kończy się na pojęciu Boga!

Przyszli ludzie z Włoch i nauczali o Bogu: Polska przyjęła ich, słuchała ciekawie nauki rozumowej, chwaliła Boga polską mową.

Socyn Leliusz, lekarz i dworzanin księcia toskańskiego Medici, w Krakowie wykładał lat 4. Bratańca jego: *Socyna Fausta* — Morstyn star: Filipowski przyjął w dom, córkę dał mu za żonę...

Po śmierci Stefana Batorego osiadły w Krakowie.... 1598 napadany od pospólstwa, bity, po ulicach włóczony obrany z mienia i książek, uszedł do Lusławic. Tuż za Dunajcem w Rabkowej miał córkę za Wiszowatym, dziedzicem Wrocmirowej. W Lu-

sławicach znalazł opiekę u Błońskich, których nazwiskiem rozpoczynam spis Podgórzan znakomitych:

Białkowski Piotr na Jodłówce, otrzymanej w nagrodę oswobodzenia Biecza od stronników szwedzkich r. 1655go, przyczem Stadnickiemu Janowi ściął głowę szablą. Był pułkownikiem ziemi halickiej, wojakiem służałym.

Błoński Abram na Lusławicach, spólnik z Taszyckim Stanisławem. Spólnie utrzymywali zbór i szkoły. Taszycki miał synów 20 i 3 córki, Morstyn synów 12, Otwinowski synów 10. A Wiszowaci? Rupnowscy? Gosławscy? Stadniccy?... Dodawszy wnuków nieco, krewniaków i sąsiadów: zebrała się szkoła. Sprowadzono nauczycieli, rozpędzanych wszędzie... Zawiązała się szkoła i wzmogła rozbitkami szkół innych a mowa polska urastała w wykładach, kazaniach, sporach naukowych i teologicznych z Wójkiem, Skargą i innymi Jezuity uczonymi. Błońscy przyczynili się do jej rozkwitu: a mowa to kwiecie narodowości.

Socyn mieszkał i umarł tamże r. 1604go a wyznawcy jego nazwali się: Bracią polską.

Błoński Jan syn opiekował się nim do śmierci i gorliwie obstawał przy nauce jego, utrzymywał szkoły i zbór. 1655 przechowuje Jonasa Szlichtinga, podporę wiary rozumowej. Bracia jego Piotr i Aleksander r. 1647go przerażeni wyrokiem śmierci na Jonasa Szlichtinga przeszli na Kalwinizm nieprzeczący Trójcy Świętej...

Bobowski z Bobowej na Brzeznej — 1609 Jan (Jakub?) — na Moskwie pułkownik pod Kluszynem wielce się przyczynił do zwycięztwa Żołkiewkiego, pułk jego pieszy dobywa Smoleńska r. 1611go.

1612 Bobowski i Piasecki z drużyną Litwy, docierają na Sybir...

Paweł, przyjaciel słynnego drukarza Sternackiego, r. 1655go 14. grudnia podczas rzezi arian, z nim wraz uciekał przed czerniawą chłopską. Żona zaś jego w łóżku schowała i zakryła Sternacką, którą zbójce ścigali.

Branicki — na Łabowej, Cacowie, które posagiem przeszły na Lubomirskich.

1655 Jan, pułkownik województwa krakowskiego, padł przeciw Szwedom zapędziwszy się...

Jan Klemens z Czarneckim w Krakowie — „*Cujus seriem meritorum et virtutum longum est enumerare,*“ — mówi Jan Kazimierz nadając mu kaduk po Gutowskim.

Brzescy z Pieli arianie... kędy zbór arian utrzymywali Jędrzeja 5 synów — przeciw Szwedom padli.

Bylina — z Leszczyn na Wilczyskach — Jeżowie — Łyczanie. 1621 *pod Chocimem* padł jeden, przyjaciel Potockiego, wieszcza tej wojny. 1655 *Konstanty* w Krakowie oblężonym padł na wycieczce przywodząc akademika.

Chrząstowski kalwin — na części Tęgoborzy, Białowody, † 1621 pod Chocimem przywodząc 100 piechoty.

Marek, rotmistrz piechoty wwa. krak. Za zasługi otrzymał Stróże pod Czchowem.

1632 *Aleksander* własną chorągiew wodzi.

Stanisław podsędek naczelnik kalwinów, zgodny z lutry — główny wróg arian.

Chwalibóg — na Lewniowej, Janowicach.

Wacław — jeniec turecki...

Stanisław — w obozie całe życie...

Samuel rotmistrz pow. sądeck...

ks. Cichowski Mikołaj — jezuita — sam pisze się Podgórzaninem, właściwie Czchowski... wyrozumował, że arianie djabła za Boga mają i głosząc to ludowi wiejskiemu, spowodował prześladowanie a w końcu rzeź arian czyli Braci polskiej.

Cikowski arian — z Wojsławic, Ceklina, Zimnowódki, Zeglec.

Jan arjan — za rozszerzanie arjanizmu powodem Ossolińskiego Krzysztofa z 15 ariany zasądzon na wieżę głęboką.

1618 *Krzysztof* pod Cecorą ranny w nogę strzałą tatarską,. całe życie kaleką, mimoto rotmistrz powiatu pogromca zbójców, którzy go nachodzą.

Czerny z Witawic Stanisław — dzierżawca Świnarska, † na Moskwie padł.

1652 Jerzy † pod Batowem padł.

Dąbski Daniel — urzędował w grodzie sądeckim. Spokrewnion z Lubienieckimi, Szlichtingami, Stokowskimi.

— *Jakub* — usarz w Moskwie — 1657 dowódca Biecza.

1648 *Marek* pod Żółtemi wody jeniec, † 1652 pod Batowem padł.

Remigian — pod Korsuniem jeniec 5 lat w niewoli zostawał.

Delpacy w Glinniku.

Franciszek, kapitan w pułku pieszym Cellarego, wystawionym przeciw Chmielnickiemu...

Długosz — sołtysi wojenni w Łomnicy.

Domaradzki arian w Ropie 1609 na Moskwie wojuje (Naruszewicz I., 339).

1649 *Mikołaj* padł w Zbarażu oblężonym. Jako arianowi odmówiono pogrzebu; na wałach pogrzebion.

Jan z Ropy, pogromca zbójców i napadan od nich r. 1652go.

Duńczewski na Jerzmanowej herbu Krzywda *Stanisław* wojak za Wł. IV. i Jana Kaz. Na Szwedów zasadzał się i napadał, Wirc w 1500 ludzi spustoszył mu dobra Łazy. — Gdy król chciał wynagrodzić, rzekł: „Dość mi, że mam Krzywdę w herbie.“

Garlicki na Chronowie, Gosprzydowej, Tymowej częściach 1683 Aleksander † pod Wiedniem padł.

Gerlichowski Jan Spisak z Gerlichowa 1655 pułkownik piechoty spiskiej podczas wypędzenia Szwedów z Nowego Sącza, potem komendant miasta ulubiony.

Gnoiński arian z Porąbki, Brzozowka, Gnojnika... *Samuel* stronnik szwedzki, zacięcie Pińczowa broni dobyty w zamku Krupem, gdzie groby ich ariańskie.

Gołuchowski z Niecwi.

Mikołaj, † pod Cecorą poległ.

Jędrzej, Czarneckiego wojak dzielny.

Samuel, rotm. wojew. krakowskiego.

Gosławski arian z Kraszówki przy Lusławicach. Wszystko rotmistrze waleczni a rektorowie w Rakowie. *Adam* do tego słynny z nauk.

Jagniątkowski od Łapanowa i Zarzecza. Piechotę własną wodził na Szwedów...

Jakliński Tobiasz z Siekierczyny, burgrabia podstarości sądecki. Zbójce z Podhala napadli go zawzięcie. 1627 w nieobecności jego pomęczyli mu żonę, popalili ją; dwór złupili... 1628 w liczbie mnogiej dobywali go, zapalili dwór, uszedł obronną ręką.

Jędrzej syn, wojak na Ukrainie (Luczenica Humejki) wsławiony, nagle napiwszy się wody umarł. Ojciec na 170 mil zwłoki sprowadził.

Janowski z Opatkowic *Stanisław* pod Chocimem rotmistrz.

Januszowski Jan, uszlachcony od Zygm. III.—Z początku drukarz, w końcu pisarz ksiąg. Owdowiały wyświęcił się, był kanonikiem i archidiakonem w Nowym Sączu. Między innemi pierwszy zebrał uchwały sejmowe i prawa koronne. — Pisał polszczyzną czystą. Znakomitość naukowa.

Jordan na Zakluczynie, Niecwi, Limanowej...

1621 *Jan* pod Chocimem waleczny — *Jerzy Hermolaus* wojownicy słynni, *Mikołaj*, pułkownikiem.

Kątski z Kąt i Czchowa na Wiatrowicach herbu Brochwicz, arianie.

Marcin, rotmistrz dzielny Stefana Batorego.

1651 *Marcin Kaźmierz*, burgrabia krakowski.

1653 *Jerzy*, rotmistrz piechoty w Krakowie.

Karwacki 1651 pod Beresteczkiem w chorągwi Akowskiego, *1655* podstarości czorsztyński z ludem swym łączy się z ks. Kądziełką w Żywcu i ciągną na odsiecz Częstochowy.

Kochowscy, dzierżawią Łososinę.

r. 1651 . . . . † padł pod Beresteczkiem.

„ „ 2gi *Felicjan* z Wąsowiczami wraz dobywa Nowego Sącza. Był rządcą dóbr Nawojowej Lubomirskiego.

Wespazjan, brataniec ich odbywa całą wojnę kozacką. Pod Ochmatowem (1655) ocalał cudownie. Poczem pisze sławne w dziejopisarstwie: Klimaktery swoje.—

Krupka.

1651 . . . padł pod Beresteczkiem.

Krzysztof. Za usługi wojenne 1654 otrzymał w dożywocie Olszanę i Wolicę, 1656 rotm. pow. sąde-

ckiego... W Tęgoborzy czata jego chwyta Łabowian zbójeckich.

Krynicki Jan 1624 uszlachcon za waleczność w Inflantach i pod Smoleńskiem, Potockiem, Wielkołukami. Herb: Korab matki szlachcianki i Gryfa: Dobków.

Kurowski Wojciech, rządca Barcic.

1651.... pod Kopeczyńcami ocalił.

Łącki z Brzany Joachim, który (1651) z konia zwaliwszy tatara Niczajmurzę, sam też zaciągnion i przywalon od niego, nie mógł się wydobyć i dał początek przysłowiu: „Imał Łącki tatarzyna a tatar go za łeb trzyma". 1656 z Szwedami bronił Łęczycy.

Lanckoroński Bąk padł pod Kluszynem 1610, dzielny rotmistrz. 1649 *Przedbor* kasztelan sądecki, † padł w Zbarażem.

Laskowski z Rozdziela Laskowej 1634 *Władysław* rotm. królewski znakomity.

Leńczewski z Wiatrowic, padł pod Beresteczkiem.

Leszczyński na Krużlowej 1683 Stanisława syn *Jędrzej* zginął na wojnie tureckiej.

Ligęza, z Bobrku pod Duklą, major.

1620 . . . . rotmistrz Lisowczyków ujęty, powieszon w Wrocławiu.

1651 Jan podwojew. krak. padł w Dubnie.

Lipski z Lipia, Ujazdu, Zbydniowa, Rybia.

1621 Jan 50 lat wojował, pod Chocimem padł †, dowodząc chorągwi usarskiej, w której 4 synów jego służyło. Najstarszy *Hieronim* przywodził chorągwi mszcząc śmierci ojca. *1633 Jędrzej z Jerzym*, bracia Jana, waleczni pod Kamieńcem i Smoleńskiem. *1655 Jan wnuk Jana*, 18-letni rotm. powiatowy sądecki, gromi Szwedów...

Lubieniecccy z Lubińca. *Jędrzej*, dworzanin Stefana Batorego w Wieliczce nurza się w szatach świetnych. Odtąd on i bracia i ród cały — podporą arianizmu... *Stanisław pisarz* wychodźca.

Lubomirski Stanisław, podstarości sądecki, od zakonnic starosądeckich dzierżawił Sielce i Sławikową.

Sobestjan syn jego — żupnik krak. z soli dorobił się majątku, za którym szły żony posażne i dostojeństwa.

Joachim — syn umarł pod Smoleńskiem, leży w Tawiawie...

Stanisław hetman, szczęśliwy pod Chocimem drużba Chodkiewicza. Sól odkrył w Świerczu, za którą 1635 od sejmu wziął dobra inne. Czarnecki Stefan był dworzaninem jego, ztąd wymówka o soli.

Synowie: Jerzy marszałek wielki koronny, starosta spiski, hetman polny. Całe życie emulował z Czarneckim...

Konstanty star. sądecki, podczaszy koronny, na Grybowie dożywotnik za żoną. 1655 on głównie z Wąsowiczami rozpoczął wojnę przeciw Szwedom w N. Sączu.

Aleksander koniuszy kor. na Tęgoborzy całej.

Lysek Wojakowski z Wojakowej *1653 Aleksander* rotmistrz padł pod Zwańcem.

Makowski z Witowic, które przedał Czernemu.

Jan — † zabit pod Orszą.

Szczęsny † zabit pod Sokalem od Tatar.

Męciński na Dukli, Kobylanach...

— *Wojciech* jezuita męczennik święty, urodzon z matki arianki.

1618 *Jędrzej* przepadł w wyprawie na Moskwę.

Jan pod Cecorą rotmistrz — jeńcem w rok wykupił się.

1618 *Balcer* do Moskwy z chorągwią własną, 1624 pod Martynowem gromi Kantymira...

1621 . . . † pod Chocimem poległ.

1651 *Wojciech* pod Beresteczkiem od postrzału w głowę jąkał się.

Mierzyński na Chomranicach, Tabaczowej, Znamirowicach *Stanisław,* ożenion z Morstynówną, arianin. 1649 z Niewiarowskim wraz rotmistrzuje w wojsku Radziwiłła na Litwie przeciwko Niebabie, w bitwie nad Prypecią dzielny. Ks. Cichocki jezuita wymawia mu dostatki nabyte na dworze Radziwiłłów.

Minor-Ligęza młodszy z bliźniąt.

Jan, z dwu żon miał 18 synów, z każdej po 9. Z tych 5ciu poległo pod Obertynem! — Z drugich zaś:

Sobestjan 22 lat wojował,

Sobestjan, syn tegoż podkowy łamał, powrozy targał, walczył mężnie między innemi pod Byczyną, na Węgrzech i t. d.

1624 drugi syn *Ludwik* w 18m roku życia † pod Bóbrką przeciw Tatarom Kantimira.

Aleksander 7 lat na Węgrzech wojował bez ustanku za Stefana Batorego.

Tobiasz, pułkownik królewski, wojak dzielny, pogromca Tatarów pod Uściem, kędy zabrał konie i wóz chana... pod Ostropolem działa zabrał. Tamże syn jego *Aleksander* znak cudzy porwał, ochotnika pod bramę wiódł i zdobył... Pod *Zbarażem* Tobiasz posłuje.

Jakub mąż rycerski.

Mniszek na Samoklęskach pod Żmigrodem.

Mało komu wiadome, że samozwańśtwo Dmytra Otrepiewa dojrzewało na Podgórzu w Samoklęskach. Na górze wysokiej są zwaliska zamczyska. Do niedawna ludzie starzy wskazywali kędy były pokoje, w których przebywał Dymitr, kędy stajnie...

Morstyn na Raciborsku.

Stanisław córkę Elżbietę wydał za Socyna, przez co ustalił arianizm w Polsce.

1621 *Aleksander* pod Chocimem na arkan łowił Tatary. Był później bachmistrzem żup w Wieliczce.

Niewiarowski.

1605 *Feliks*, sławny rotmistrz pancerji z Chodkiewiczem walczy Szwedy pod Kircholmem (Narusz. I. 148—157, 157 p. 148—277)

. . . tamże rotm. piechoty.

Ossoliński na Sobolowie *Hieronim* kaszt. sądecki pod Obertynem oskoczony ranny, z konia pada, ocalał cudownie. S. Anna rany mu zawiązywała. Wdowa jego w N. Sączu uposażyła ołtarz 10.000 Męczenników.

1577 syn *Marcin* † poległ u Gdanska pod Tczewem.

1649 *Baldwin* † padł pod Zborowem, *miał Tarłównę*.

1651 *Adam Jerzy* starościc biecki, † pod Beresteczkiem, w oczach króla ginie nacierając mężnie.

Otwinowski herbu Trąby na Roździelu, Łąkcie, Bytomsku...

Jan komornik biecki miał 10 synów: wszystko albo uczeni albo wojownicy arianie.

Walerjan poeta...

Hieronim mąż wojenny poseł do Turek...

Samuel w obozach wiek trawił. Był biedny jak wszyscy, r. 1628go w Nowym Sączu u kupca Tymowskiego ręczył zań Stadnicki Krzysztof. W końcu 10 lat w Tureczynie przebył jako znający mowy tłumacz. Tamże zmarł na powietrze.

Remigian † padł pod Smoleńskiem.

Zygmunt † padł na Wołoszczyznie.

Jan tamże w niewolą wzięt, wykupion, w powrocie utonął w Dunaju.

Piotr w Stambule † umarł w powietrze, ucząc się arabskiej mowy.

Mikołaj rotm. pieszy pod Kokenhauzem 1654 dożywocie na sołtystwie Cichani i Leszczynach odstępuje Ogonowskim.

Aleksander pod Skałą w niewoli tatarskiej. Uwolnion posłował do Turek.

Pągowski z Kat — Siekierczyny, arianie.

1605 . . . . † pod Kircholmem w uzarji hetmańskiej padł w sławnem rozbiciu piechoty Lindersona (Naruszewicz I. 260.)

Pieniążek z Skrzydlnej, Szaflar, Krużlowej herbu Odrowąż.

Jan, starosta nowotarski, wojownik Stefana Batorego.

Prokop, kawaler zakonu Św. Łazarza. Z Turkami wojował na lądzie i morzu. Z korsarzami walcząc pod Algierem postrzelon, pod Tunetem drużbę swego z rąk ich wyrąbał, obóz czujnością ocalił. Na morzu pierwszy skakał na okręty korsarskie, których zabrał kilka. 1573 wróciwszy do Polski pod Gdańskiem samosiódm poraził 24 rajtarów pod Latarnią Tczewem.... Sławny też z waleczności na Moskwie: pod Sokolem, Ostrowem, Pskowem... pod Byczyną też.

Krzysztof z Krużlowej, rotmistrzył Stefanowi Batoremu pod Gdańskiem i na Moskwie, z Zygmun-

tem IIIm do Szwecji. Gospodarząc pisał Hippikę.... W Krużlowej słup na pamiątkę ocalenia, gdy spadł z konia.

Nikodem też na Moskwie wsławiony za Stefana Batorego. W zbroi usarskiej pełnej przeskakiwał konia... Umarł na morzu: leży w Cyprze.

1651 *Przecław* na Gorlicach połowie, † padł pod Beresteczkiem.

Jan na Gorlicach, rotmistrz Wielopolskiego. 1655 bił się pod Jarosławiem, Sędomirzem, Warką, Gnieznem, Pragą, Krakowem... 1657 w Bieczu dowódzcą podczas Rakocego.

Pisarski na Zbydniowie.

Achacy † poległ pod Chocimem (za Jana III.?) W zakładzie Ossolińskim rękopis wierszowany z napisem: —„Pisał Achacy Pisarski, towarzysz huzarski, nie jeździł na raku ale na rumaku.“

Podoski w Przyszowej na Podosczyznie na Dobrocieszy.

Karol † padł na Litwie koło Wolkowysk od kozaków i Moskwy.

1621 . . . . † padł pod Chocimem.

1655 *Jan* jako arianin od czerniawy chłopskiej napadnięty, męczon wraz z żoną.

Poniatowski rządca dóbr w St. Sączu, Jazowsku.

1649 . . . . . pod Zbarażem rotmistrz, wspomagając Mrozowickiego z konia spadłego otoczon, zarąban.

Porębski z Poręby wielkiej i Głąbowic.

Jan † zabit od Szwedów w czasie napadu Wrzeszcza, przed którym uciekli bracia Porębscy: Zygmunt i Jędrzej.

Potocki Szreniawa na Łużnej, Staszkowie, Łosiu.

1649 . . . . w Zbarażu Tatarom w zastaw dan.

1651 *Jerzy* } ranni pod Beresteczkiem
Jan } rotmistrz królewski; 1655 z Szwedem trzyma jako arianin.

Wacław wieszcz, zięć Lipskiego Jana. Syn padł † pod Wiedniem. (W Łańcucie znajduje się cesarski paszport dla zwłok jego.)

Przypkowski arian na Gnojniku, Koniuszowej, Falkowej, Bukowcu. Ród cały arianie gorliwi.

1658 . . . . *pułkownik* królewski sławny † padł pod Kownem.

Samuel, „wielkim“ od arian zwany dla nauk i poświęcenia. Kaznodzieja i pisarz znakomity.

Rarowski Krzysztof, zięć *Bielskiego Joachima.*

Mikołaj wojuje Szwedy... kozaki.

Joachim dzierżawca starostwa sądeckiego 12 lat wojaczył... zięć Lubomirskiego.

1652 *Wojciech* własną chorągiew wystawia. W Nowym Sączu fundacja na lampę za duszę Seweryna, którego niechcący zastrzelił brat Jan.

Rej z Nagłowic... starosta libuski na Turzy, Rzepienniku.

1651 *Władysław* star. libuski pod Beresteczkiem waleczny, lecz z Czaplicem wraz odradza królowi pogoni dalszej.

Reklewski Józef wojak, potem Reformat, w 90m roku zarąban r. 1657go od Węgrów Rakocego w Przemyślu.

Rokosz na Łososinie górnej.

1638 *Stanisław* i *Jan* † † padli przeciw kozakom.

Rożen na Bruśniku, Mogilnie, Łące...

Adam sławny jeszcze za Stefana Batorego na Moskwie. Na Multanach chorągiew Turkom wyrwał.

Zygmunt niemniej szczęśliwy wojownik Stef. Bat. Na Wołoszczyznie zapędziwszy się za Raczem przebił się przez całe wojsko tureckie. Także chorągiew turecką zdobył chorążemu rękę uciąwszy. Chory a jednak napadł Tatar w 60 ludzi: położył trupem 52, 26 pojmał, resztę rozpędził. Za co otrzymał starostwo derpskie.

1621 . . . . pod Chocimem.

1655 *Olbracht* ciągnąc na Szwedów utonął w Dunajcu pod Olszynami.

Sędzimir z Łukowicy 1621 *Gabryel?* pod Chocimem ranny.

Skalski Jan, kapitan dragonii Czarneckiego.

1651 *Jędrzej* pisarz komory celnej w Grybowie.

1652 *Stanisław* z Grybowa z czerniawą ludową zbija Lutry...

Skrzetuski Krzysztof 1657 pisarz grodzki w Bieczu.

Smolka, sołtysi wojenni we wsi biskupiej Świniarsku naprzeciw N. Sącza.

Stadniccy z Żmigroda, Osieka...

Równie jak onych z Dubiecka chwali ks. Sawicki jezuita, że sprzyjają zakonowi ich. A ks. Sawicki to spowiednik Maryny Mniszkównej, mową łacińską witał ją na tronie carów a wróciwszy zdrów, w Osieku pisał „Rozmowy" swoje. Osiek obok Samoklęsk,—wedle podania po drucie przesełały sobie zamki oba listy. Żmigrod tuż obok: Stadniccy też wszyscy ruszyli na Moskwę za Mniszkiem, z którym byli spokrewnieni.

Jędrzej posłował do Maryny od króla składając życzenia.....

Jan owdowiałą wracającą doma z ojcem, wydobył z rąk Moskali i przywiózł do obozu pod Tuszyn na smutniejszą jeszcze dolę! Ogółem wyprawa moskiewska, to ważna część dziejów rodziny tej...

Stanisław djabełek „syn djabła" — na Krużlowej..

Stanisławski z Łąkty dolnej 1656 *Michał* rotmistrz, wzięty od Szwedów pod Gołębiem, 1657 od Lubomirskiego posłem do Rakocego, a od tegoż posłem do miasta Lwowa. Pośrednik między Polską a Rakocym, od którego uciekł z pod Sędomierza.

Stanno starościc sądecki chorąży sanocki 1649... pod Zborowem ranny.

Stojowski Bartłomiej r. 1655 dzierżawca Rostoki 1656 *Jędrzej* chorąży Wielopolskiego dla zasług otrzymał zapisy na Lusławicach i Lubince po Szlichtingach arianach.

Stokowski z Gruszowa.... Żmigroda.

1649... rotmistrz chorągwi niemieckiej w Pilznie.

1676 *Stanisław* porucznik pancerji Lubomirskiego Hieronima, wsławiony, † padł 1676.

Stradomski Wojciech, pokojowiec Jana Każmierza r. 1655go z królem wraz ucieka do N. Sącza i na Spiż.

Taszycki na Lusławicach Jastrzębi....

1638 *Władysław* porucznik usaryi † padł przeciw kozakom.

Zygmunt † też przeciw kozakom.

1651 pięciu braci z chorągwi wojewódzkiej Cikowskiego śledzą i imają zbójców.

Trębecki na Trąbkach, Wysokiem, Brzezinie...

Jan Gąba rotmistrz z synami Janem i Piotrem wojownicy przeciw Turkom i Tatarom.

Stanisław syn na Ukrainie od Tatar jęt, Turkom zaprzedan na galary, odbit od księcia floryndzkiego; na Rzym wrócił do N. Sącza r. 1599.

Trzyciescy z Trzycierza. —

Rodzina ta w osobie Jędrzeja sekretarza i przyjaciela Zygmunta Augusta ogromny wpływ wywarła na różnowierstwo. Uczony wielce pismami bezwzględnie następował na katolicyzm, a z naczelnikami odszczepieństwa był w styczności...

1649.... † padł pod Zbarażem.

Ujejski na Połomiu i Witowicach 1652 Bendyk rotmistrz królewski.

Wargulec właściwie Długosz z Łomnicy sołtys.

Wąsowicz Wąs Połotyński herbu Połota.

Krzysztof wojak znakomity przeciw Nalewajce.

1655 detto pułkownik Czarneckiego dragonii zdobywa N. Sącz 13. grudnia 1655.

Jan z Smogorzewa się pisze, rotmistrz w pułku brata Krzysztofa, z którym zdobywał Sącza, 1657 rotmistrz załogi w Nowym Sączu.

Kaźmierz rotmistrz piechoty nawojowskiej, pogromca zboju. 1664 po śmierci jego

Jan rotmistrzuje w Nawojowej. On dopiero wytępił zbójców do szczętu.

Wielogłowski. Ród odwieczny z przydomkiem Bochnar właściwie Soos de Sovar, z Węgier przybył w pomoc św. Kindze, oblężonej w Pieninach i wynagrodzon wsią Wielogłowy.

Wielopolski z Wielopola nad Dunajcem, Kobylanki, Gnojnika... *Jan* starosta biecki za Zygm. III. i Wł. IV. przywodził chorągwiom własnym. Także 1651 pod Beresteczkiem... poseł do Rakocego. R. 1655go stanął na czele powstania przeciwko Szwedom. Po wypędzeniu ich zwołał sejmik do Grybowa. 1656 pod Radymnem złączył się z Czarneckim... pod War-

szawą chorąży jego Stojowski wynagrodzon. Posłując do cesarza otrzymał tytuł komesa.

1656 *Stanisław* pod Gnieznem postrzelon w nogę.

Wiernek z Witowic.

1621...... pod Chocimem strażnik obozowy w pojedynku Turka zwalił.

Wierzbięta na Przyszowej i Sękowej 1655 *Jan* rotm. wojew. krak....

Wilkoszewski na Tropiu i Skrzydlnej 1656 *Samuel* przeciw Szwedom wodzi chorągiew własną, w której 4ch jego braci. Pod Krakowem rozgromion poszedł do niewoli Szwedów, gdzie był przeszło rok.

Zawilichowski z Mszalnicy 1648 *Stefan* w Zbarażu rotm. kwarciany... poseł do kozaków, u których miał mir, 1651 załogą w Kamieńcu oblężonym.

Żmijowski w Nowym Sączu r. 1621go był w niewoli.

Żylicz Szymon rotmistrz piechoty biskupa krakowskiego w Muszynie: pogromca i postrach zbójców beskidników.

Szczęsny Morawski.



Rybak podolski nad Strypą
(według fotografii E. Jurkiewicza w Kołomyi). I.

Rybak podolski
nad Strypą.

(Tekst i fotografje Eugeniusza Jurkiewicza w Kołomyi.)

Z wiosną każdego roku wybierają się chłopi podolscy z okolic Wiśniowczyka, miejscowości położonej w obwodzie Brzeżańskim, na połów ryb, gdyż w tym czasie właśnie ryby bardzo są pożądane z powodu przypadającego wielkiego postu. Pierwszy nasz obraz przedstawia taką w swoim rodzaju dosyć oryginalną scenę. Każdy bowiem biedniejszy chłop, który rybołostwem na chleb codzienny zarabia, ma ze sobą tak zwaną krośnę, z którą się na połów ryb wybiera a nieraz zanurzony do kolan stoi w błocie i czeka swej zdobyczy, którą niebawem zakupuje handlarz żydek, by takową mógł ze znaczną korzyścią inteligencji na wsi odsprzedać. Rybak schwycony został z natury za pomocą aparatu błyskawicznego właśnie w tej chwili, kiedy sieć swoją zanurzył w wodzie a młody handlarz ryb czeka tuż opodal na rezultat łowu, rybakowi zaś towarzyszą często gęsto także ciekawe dzieci z wioski, wydające zazwyczaj okrzyki radosne na widok każdej złowionej ryby.

Drugi nasz obraz przedstawia chwilę, kiedy rybak w łódce swojej wybiera się na większą wodę. Bardzo oryginalne są pozycje i stroje towarzyszących mu w wyprawie, z których jeden w kapeluszu słomkowym założonym na bakier nogi rozkracza w łódce, dwaj inni zaś wodę wbród przechodzą.



Rybak podolski nad Strypą
(według fotografji E. Jurkiewicza w Kołomyi), II.

Jak ma postępować szkoła,

aby wzbudzić u dzieci poszanowanie cudzej własności?

ROZPRAWA PEDAGOGICZNA,

przez

SALAMONA SPITZERA.

„Bojaźń Boga — mądrości
„Początkiem i zacności.“

Przypowieści Salamona.

„Nic, nic od grzechu, nas śmiertelnych ludzi,
„Mocniej nie wstrzyma, do cnoty nie wzbudzi,
„Jak przyszłych rzeczy po śmierci koleją
„Bojaźń z nadzieją.“

Stanisław Konarski.

I.

Żadne pojęcie nie istnieje w tak rozmaitej formie, jak pojęcie o własności. Jedni wyznawają zasadę: „co moje, to moje, a co twoje, to twoje;“ — są to ludzie nie dbający o łaskę niczyją i nie świadczący nikomu dobrodziejstw, ale też i niekrzywdzący nikogo. Inni trzymają się zdania: „co moje, to twoje, a co twoje, to także twoje;“ zasada ta wprawdzie nielicznych ma zwolenników, ale wyznawana przecież przez ludzi skromnych, dobrodusznych, do poświęceń skorych, którzy całe swoje mienie a nawet i życie gotowi złożyć w ofierze dla dobra ludzkości.

Inni znów mówią: „co moje, to twoje, a co twoje, to moje;“ — jest to zazwyczaj klasa biedna a chciwa,

która nie mając nic do stracenia, skłonna jest do komunistycznych zamianek w nadziei zysku. Inni wreszcie twierdzą: „co moje, to moje, a co twoje, to także moje;“ są to ludzie najgorsi w społeczeństwie i pozbawieni wszelkiego poczucia sprawiedliwości, gdyż nie szanują cudzego mienia. Są to ludzie, wytwarzający z pomiędzy grona swego najzgubniejsze zasady i teorje społeczne, jakoto: socjalizm, nihilizm, komunizm, ludzie, z których w braku należytego wykształcenia sercowego tworzą się później zastępy rzezimieszków i morderców.

Brak należytego pojęcia i poszanowania cudzej własności rodzi nieposzanowanie jakiejbądź władzy, począwszy od rodzicielskiej a skończywszy na najwyższej świeckiej lub duchownej; nieposzanowanie cudzej własności daje powód do wstrętnych a przewrotnych idei w społeczeństwie; jest przyczyną oszukaństw, sprzeniewierzeń i bankructw wszelakiego rodzaju a także najgłówniejszym powodem ruiny i upadku materjalnego całych narodów.

Nieposzanowanie cudzej własności jest źródłem rozlicznych okrucieństw i przekroczeń w obec obyczajności. Kto nie szanuje cudzego mienia i cudzego honoru, ten staje się ohydnym oszczercą, nikczemnym zdrajcą, podłym denuncjantem.

Kto nie szanuje cudzej własności, ten nie umie także uszanować cudzego przekonania, cudzych zasad i zapatrywań, ten staje się nieubłaganym prześladowcą innych wyznań; a gdy przy sprzyjających mu okolicznościach dojdzie do jakiejkolwiek władzy, to stanie się okrutnym tyranem dla podwładnych.

Jednem słowem: z braku poszanowania cudzej własności wynikają wszelkie wady i przywary, zagrażające rozwojowi ekonomicznemu i bezpieczeństwu ogółu.

Jednem więc z najgłówniejszych zadań wychowania publicznego powinno być wzbudzenie i utrwalenie w młodzieży poszanowania cudzej własności, aby bodaj po części usunąć wszelkie złe następstwa w przyszłości.

Słuszna tedy rzecz, aby się bliżej zastanowić nad ważną nader kwestją, która już od lat najmłodszych w wychowaniu naszem powinna być uwzględnioną.

II.

Brak poszanowania cudzej własności pochodzi jak wszelkie spaczone pojęcia moralne, częścią z mylnych pojęć lub gorszących przykładów, częścią zaś z braku wychowania, albo też ze zboczenia umysłowego lub wychowania niewłaściwego. Wady, usterki i wykroczenia całych społeczeństw są bowiem zazwyczaj owocem błędów dydaktycznych i pedagogicznych spaczonego wychowania a rzadko tylko wynikiem złego usposobienia.

Objąwy i skutki występków, wynikłych z braku uszanowania cudzej własności okazują się atoli nietylko w późniejszym wieku w społeczeństwie dorosłem, ale już i w tem społeczeństwie miniaturowem, jakie nam przedstawia każda szkoła.

Już i tu widać małe sprzeniewierzenia i kradzieże, wynikające z chciwości, łakomstwa, zazdrości albo czasem z ubóstwa, niedostatku i głodu, szczególnie często zaś powtarzają się złośliwe uszkodzenia cudzej własności, spowodowane lekkomyślnością a co gorsza jeszcze rozmyślną złośliwością.

Aż nadto często zdarza się, że uczeń drugiemu podstępem zabiera rzecz jakąś, lub znalezioną ukrywa, mimoto, że wie, kto ją zgubił, albo pod rozmaitemi pozorami właścicielowi pożyczonej odeń rzeczy nie chce zwrócić, albo też bezczelnie kłamie, zapierając się i zaprzeczając jej posiadania.

Najczęściej jednak nieposzanowanie cudzej własności objawia się w rozmyślnem, złośliwem uszkodzeniu cudzej rzeczy a mianowicie u uczniów w tem, że psują budynek i sprzęty szkolne, plamią i niszczą zeszyty, książki i inne przybory naukowe współuczniów, kradną owoce, zrywają kwiaty, obłupują drzewa z kory, niszczą płoty, psują gniazda ptasie, łamią narzędzia i sprzęty domowe nietylko rodziców, ale także i obcych ludzi.

Zadaniem więc szkoły jest, usunąć i wykorzenić już w samym zarodku te wady i wykroczenia przeciw bezpieczeństwu cudzej własności.

Jeżeli złego nie zniszczymy, jeżeli wady moralnej nie usuniemy w jej zawiązku, niedostatków

umysłowych jeśli nie uzupełnimy dodatniemi stronami, natenczas te wady młodzieńcze przejdą nam w krew i w kości, wyrodzą się w nałóg i staną się wreszcie nieodłączną naszą przywarą.

„Tak więc i swawola, gdy w kim zatwardzieje, „Trzeba ją w czas skrępować, nim dusza zemdleje“ — mówi Mikołaj Rej z Nagłowic.

„Nawyknienie jest tem względem charakteru — twierdzi Walerja Marrené (Morzkowska) w dziełku p. t.: „Przesądy w wychowaniu“—czem nauka pamięciowa względem wiedzy, — dwie te rzeczy harmonizują z sobą, odpowiadają sobie i jako środki pomocnicze mają swoje wielkie znaczenie.“ —

Jeżeli zatem nie wszczepimy dość wcześnie w młodzież należytego poczucia poszanowania cudzej własności, natenczas drobne sprzeniewierzenia i kradzieże staną się przyzwyczajeniem, wyrodzą się w nałóg a wreszcie przeistoczą się w wyłączne zajęcie i dającą utrzymanie ohydną profesję.

Bardzo wielu nie popełniałoby w późniejszym wieku rozlicznych występków i zbrodni, gdyby w młodocianym ich wieku starano się wszczepiać w nich prawidłowe i moralne pojęcia o poszanowaniu cudzej własności.

Ponieważ jednak na wytworzenie moralności działa przedewszystkiem i najsilniej przykład, oraz nawyknienie i wychowanie, usiłować więc należy, aby za pomocą wychowania pielęgnować w nas wrodzone nam dodatnie skłonności, a w sposób właściwy plewić i zniszczyć zarodki złego powstałe z gorszących przykładów, z braku wychowania lub błędnych osobistych zapatrywań.

III.

Widać z tego, że źródło wszelakich wad moralnych jest dwojakie a mianowicie: wypływa z jednej strony od wychowawców względnie rodziców i otoczenia, z drugiej zaś strony zależy od usposobienia, zarodków moralnych i wrażliwości wychowanka.

Wychowawca przeto musi nasamprzód wniknąć w powody i źródło złych skłonności i nałogów i wedle rozmaitości powodów, tudzież według indywidualności osobnika odpowiednio działać i wpływać na usunięcie złego stosownie do stopnia zakorzenienia wady, charakteru wychowanka, źródeł i powodu przekroczenia i t. d.; bo tak samo jak lekarz znać powinien przyczyny i okoliczności towarzyszące chorobie, aby usunąć zarodki tejże, tak i wychowawca znać powinien pobudki złego czynu, aby już w związku wyplenić takowe, lub wedle możności osłabić i oddalić.

W tym też celu niech się nauczyciel zapozna z rodzicami wychowanka, ze sposobem i rodzajem wychowania domowego swego pupila, i z tego też powodu szkoła w ścisłym pozostawać musi stosunku i porozumieniu z domem, gdyż tylko brak tej okoliczności jest powodem, że szkoła nie może tyle zdziałać, ileby zdołała w innych korzystniejszych warunkach wychowania domowego*). Tu też właśnie przedstawia się cała trudność zadania i działania nauczyciela w tym kierunku. Szukając bowiem powodów wykroczenia przeciw poszanowanin cudzej własności, dochodzi najczęściej do smutnego przekonania, że wynikają one z braku wychowania lub też ze złego wychowania domowego.

„Tak więc niewątpliwie—mówi Herbert Spencer—trudności wychowania podwójne mają źródło, bo przypisać je zarówno rodzicom, jak i dzieciom wypada. Jeżeli dziedziczność jest prawem natury, jak o tem dobrze wiedzą przyrodnicy i jak o tem świadczą codzienne doświadczenia i przysłowia wszystkich ludów; to w takim razie, w połowie wypadków przynajmniej, błędy dzieci są odźwierciedlaniem błędów

---

*) „Jeśli się w którem państwie albo królestwie — powiada Mikołaj Rej — rozmnoży a szkrzydła roztoczy on sprośny grzech łakomstwo, to już sobie rozważ, w jaki zły a niepobożny przypadek takie państwo zatoczyć się musi. Bo już i niesprawiedliwość i łupieztwo nielza iż z tym panem pospołu osieść musi.“ (Żywot poczciwego człowieka.)

rodzicielskich. Mówimy: w połowie wypadków, ponieważ prawo dziedziczności jako skomplikowane oddziedziczaniem cech przodków bardziej odległych, sprawdza się tylko w sposób ogólny. Jeżeli więc w połowie wypadków dzieci wprost po rodzicach oddziedziczają pewne cechy moralne i fizyczne, przeto złe skłonności, jakie rodzice u dzieci zwalczać muszą, niewątpliwie są te, które rodzice sami posiadają. Może się to nie ujawnić na zewnątrz, skłonności te mogą być stłumione przez uczucia innej natury, lecz zawsze fakt pozostaje niewątpliwym. Nie powinniśmy się więc łudzić nadzieją, aby ludzkość doczekała się kiedyś idealnego systemu wychowania: rodzice nie będą nigdy posiadali potrzebnej do tego doskonałości.“—

(„Naród jest takim, jakie rodziny i domy:
„Bez obyczajów czemże są praw całe tomy?“

Ks. A. S. Krasiński.)

Tak więc przedstawia się nam cała trudność wychowania moralnego zwłaszcza, że mamy do kształcenia młodzież przeważnie z najniższych warstw społeczeństwa, gdzie prawie o żadnem wychowaniu dodatniem mowy być nie może, ale gdzie szlachetne a wrodzone nam uczucia moralne gorszącym przykładem najczęściej wyrugowane bywają.

Dlatego należy się nieco dłużej i dokładniej zastanawiać nad tym przedmiotem i śledzić powody i objawy występku nieposzanowania cudzej własności, począwszy od pierwszych chwil umysłowego rozwoju dziecka, a zatem od wychowania domowego.

IV.

Wiadomo, iż szczególnie w naszych czasach weszło w modę — nie zawsze koniecznością spowodowaną — wyręczanie się matek mamkami i niańkami, które po największej części dają pierwszy zgubny przykład i wstrętne powody do oszukiwania i okłamywania rodziców; mamki i niańki bowiem jako osoby, po większej części pozbawione wykształcenia, charakteru, rozsądku a czasem i prostej uczciwości, idąc jedynie za popędem uczuć zmysłowych i zachcia-

nek, popełniają rozmaite wykroczenia przeciw przyzwoitości, sprawiedliwości i obowiązkom, a chcąc się potem uchronić od zasłużonej kary, nakłaniają dzieci, które były świadkami a może i uczestnikami tych przestępstw, aby oszukiwały i okłamywały rodziców, co jest pierwszym szczeblem do popełniania sprzeniewierzeń i kradzieży. Kto się bowiem sprzeniewierza w myśli, u tego nie trudno, aby się także sprzeniewierzył w czynie.

O ileż gorszy i zgubniejszy jednak od wpływu mamek, jest wpływ nierozsądnej i nierozważnej matki, która dla ukrywania przed ojcem niejednej niewłaściwości, poucza dzieci, jak mają ojca okłamywać i zapierać się prawdy! Rzecz to wstrętna nad wyraz a jednak niestety tak rozpowszechniona dla uniknienia surowej nagany lub głośnego choć słusznego krzyku.

Umysł dziecka jest bardzo wrażliwy na każde uczucie, a nieraz słówko nawet, niebacznie przez starszych wypowiedziane w przekonaniu, że dziecko go wcale nie zrozumie, czyni głębokie, niezatarte wrażenie, które stać się może przyczyną niejednej wielkiej wady moralnej w przyszłości.

Gdy dziecko do samodzielnego dochodzi myślenia, wtenczas tworzy sobie pojęcia bezwzględne i jednostronne, biorąc wszystko absolutnie i doprowadzając do ostateczności, nie mając względu na żadne towarzyszące okoliczności, dlatego też wiele zależy od pierwszych moralnych wrażeń dziecka.

Dziecko już od najwcześniejszych dni okazuje popęd posiadania, zaledwie bowiem zdoła rączką samowolnie poruszać, już sięga po rozmaite przedmioty, pod wzrok mu wpadające. Już od tego też czasu przyzwyczajać należy się dzieci do tego, że nie wszystko otrzymać mogą, czego pragną, i to tylko należy im się dać, co dla nich konieczne, korzystne, potrzebne, dozwolone, odpowiedne i przystępne a drugiemu krzywdy, ani szkody nie czyni.

Zaspakajanie żądzy posiadania celem uśmieszania gniewu lub płaczu dziecka jest w najwyższym stopniu niewłaściwe i czyni je z czasem nietylko upartem, ale namiętnem i okrutnem. Przywykłe do osiągnienia wszystkiego, czego tylko zapragnie, ża-

dnych nie zna względów dla nikogo, z całą natarczywością, uporem i natręctwem domaga się zaspokajania swych pragnień, a nie mając względu ani na słuszność, ani na sprawiedliwość, ani też na możliwe okoliczności i warunki sądzi, że wszystko posiąść musi, czego tylko zapragnie i zażąda.

Należy się więc w dzieci od najwcześniejszej młodości wpoić słowem i przykładem pewną obojętność dla rzeczy materjalnych i pouczyć je, aby nie przywiązywały do pewnych drobnostek zbytniej wagi, która tylko podnieca zmysłowość i może w nich wzbudzić nieugaszone pragnienie i żądzę posiadania. Jeżeli zaś dziecko już z natury ma wrodzoną gorącą chęć posiadania, to tem niebezpieczniejszem jest podniecanie tejże, skutkiem czego później przemocą, podstępem lub tajemnie przywłaszczy sobie cudze rzeczy, jeśli osiągnąć ich nie może uczciwą drogą nabywania.

Bardzo nierozsądnie postępują sobie także rodzice, jeśli z obawy, aby dzieci nie przyzwyczajać do żarłoczności, pomimo materjalnego dobrobytu zbyt skąpo je żywią. Owszem, dowiedzioną jest rzeczą, iż dzieci, którym udziela się pożywienia w ograniczonej tylko mierze, stają się nieraz chciwe, łakome, nienasycone i czyhają na sposobność, aby ukradkiem i potajemnie przywłaszczyć sobie, co się tylko da. Należy się więc dzieci przyzwyczajać do mierności w jedzeniu i piciu, ale nie zanadto im skąpić. Smutniejsze jeszcze skutki rodzi nierozumne a poniekąd niesumienne postępowanie rodziców, uwidoczniające się w nierównym podziale potraw pomiędzy dziatwą, dziecko bowiem, czując się krzywdzonem i upośledzonem, staje się zazdrośnem, zgryźliwem i stara się w inny podstępny i niedozwolony sposób wynagrodzić sobie to, czego mu dobrowolnie i wedle praw słuszności nie dadzą.

Cóż dopiero mówić o rodzicach, którzy sami dają dzieciom niegodziwy przykład sprzeniewierzenia i nieposzanowania cudzej własności słowem i czynem?

Ilekroć też z tego powodu musi nauczyciel wejść w kolizję z rodzicami, którzy przy zupełnym braku

wychowania, wiedzy, charakteru i moralności, stają nieraz w obronie występnego dziecka swego?

Rzecz to znana każdemu, bo aż nadto się powtarzająca prawie w każdej szkole.

V.

Wśród takich to okoliczności, które w obecnych czasach bynajmniej nie są wyjątkowemi, — choć nie brak także prowadzącej się wzorowo i moralnie młodzieży — zadanie szkoły jest bardzo trudnem, ale tem donioślejszy i większy ciąży na niej obowiązek, aby wpływem swoim odpowiednio i dodatnio przeciwdziałać wpływom domowego, nieudolnego i opacznego wychowania.

Powyżej przytoczone niekorzystne, lub utrudzające wychowanie okoliczności nie dowodzą jednak, jakoby szkoła żadnego wpływu na wychowanie nie miała. Wszak gdyby tak w istocie było, to nie wyszlibyśmy nigdy z wieku barbarzyńskiego i nie nabywalibyśmy nigdy uczuć szlachetnych. Tylko przykładną moralnością można skutecznie wpłynąć na umoralnienie całych warstw i pokoleń. Jest to wprawdzie zadaniem bardzo trudnem, — ale jak nas historja poucza — możliwem. Każdy szlachetny owoc powoli dojrzewa. Trzeba tylko nieustannie i wytrwale wpływać na umoralnienie, a nie pozostanie to bez skutku.

„Także i przyrodzenie cnotą ozdobione,
„Gdy k'temu naukami będzie przystrojone,
„Wiele może podparte być tem przyrodzenie,
„Gdyż każdemu stworzeniu *potrzebne ćwiczenie*",

mówi Mikołaj Rej.

Gdybyśmy mieli do czynienia z samą tylko młodzieżą moralnie się prowadzącą, cel wychowania naszego nie byłby wcale tak wzniosły. Mówi też Stanisław Konarski w rozprawie p. t. „O religji poczciwych ludzi": „Aleć prawdę rzekłszy, taka poczciwość alboli czcigodność, która ze krwi, z bogactw i z naturalnych talentów, z odwagi i serca możnego i nieustraszonego idzie, a cnoty nie ma, nie mówię, że nic ale bardzo mało i u świata waży. Nawet i tacy sami,

którzy tylko z bogactw, męztwa i podobnych rzeczy są poczciwi, uczciwi, alboli czcigodni, nie kontentują się taką poczciwością, ale przecież starają się albo o prawdziwą cnotę, albo przynajmniej o pozór cnoty."

Prawdziwe więc spełni nauczyciel zadanie, jeżeli zdoła w taką młodzież mimo niekorzystnych warunków wszczepić zasady moralne. Im cel wyższy i donioślejszy, im trudniejsze zadanie, tem też i zasługa jest większa.

Wychowaniem rozumnem i prawidłowem, wpływem moralnym i szlachetnym usiłować winniśmy zapobiedz złemu i usunąć wady moralne, które młodzież z domu wyniosła lub po rodzicach oddziedziczyła.

Zadaniem szkoły jest przyzwyczajenie młodzieży do dobrego a wszczepianie wstrętu i odrazy do złego.

Celem wychowania jest zatem nadanie przyszłemu człowiekowi stałego kierunku w dobrem, hartu duszy, silnej, niezachwianej, wytrwałej a dodatnio skierowanej woli, postawienie mu w życiu szlachetnego celu w takim stopniu, aby charakter jego nie zachwiał się pod wpływem nieprzyjaznych okoliczności, lub niebezpiecznie drażniących pokus.

Trzeba tedy usilnie wpływać na umysł młodzieży przez nieustanne przykłady a wszczepiać w nią szlachetne idee i uczucia, wykorzeniając równocześnie i wyrugowując wstrętne a zgubne zasady.

Trzeba podać podniety i pobudki moralne takie i w takiej mierze, aby wychowanków zawsze pobudzały do popędów szlachetniejszych i do częstego zaspokojenia tychże, przez co umysł młodzieńczy mógłby się ćwiczyć w czynach dobrych. Ćwiczenie czyli przyzwyczajenie takie mą na celu, rozbudzić zdrowy umysł dziecka i powodować je do doskonalenia się w czynie. Tak więc wychowanie powinno wpłynąć na przyzwyczajenie młodzieży do dobrego, które się ma stać dla niej zwyczajem.

VI.

Cel wychowania, czyli kształcenia charakteru ściśle jest połączony z kształceniem umysłu, dlatego

też powinne zawsze iść w parze, wspierając się wzajemnie, jeżeli pomyślne mają wydać rezultaty. W miarę rozszerzania pojęć powinne się także rozwijać charakter i zalety charakteru, jakoto: stałość, wytrwałość, cierpliwość, rozwaga, wstrzemięźliwość, sprawiedliwość w sądzeniu i czynie, pojęcie tejże sprawiedliwości i t. d.

Dla tego też nauczyciel szczególną wagę kłaść winien na stronę moralną wychowania i przy każdej nadarzającej się sposobności mieć tę okoliczność na względzie zwłaszcza, gdyż nietylko wypada mu usunąć rozpowszechnione i wkorzenione przywary, ale także wręcz przeciwne zalety umysłowe powinien wytwarzać, w umysł młodzieży wpajać i utrwalić.

Wyrobić tedy w młodzieży trzeba przedewszystkiem samodzielność, opartą na trwałym gruncie stałego charakteru.

Jeżeli zaś silny a prawy charakter w ogóle jest rzadkością w dojrzałem społeczeństwie naszem, to tem trudniejszą jest rzeczą, tworzyć go w tak smutnych warunkach wychowania i bytu, jakiemi są obecne.

Smutny obraz obecnego społeczeństwa naszego przedstawia nam Morzkowska w następujących słowach:

— „Najpobieżniejszy rzut oka na nasze stosunki wykaże niezawodnie brak u nas tej samoistności, a głębszy pogląd wykaże, iż tutaj właśnie trzeba upatrywać źródła największej części wad i niedoborów naszego społeczeństwa.

„Jeśli byle jakie hasło, rzucone z byle jakich ust, pociąga masy i szereguje je pod byle jaki sztandar; jeśli skarzymy się na brak opinii publicznej, która by karciła złe i występowała w obronie niesłusznie pokrzywdzonych; jeśli byle jaka miernota wyrasta na wielkość, rozpiera się i zabiera miejsce należne zasłudze; jeśli samochwalcze głosy posiadają moc wszechwładną; jeśli tak łatwo za pomocą kilku szumnych pochwał, stanąć w opinii ogółu na szczycie sławy; jeśli można bezkarnie lekceważyć najprostsze zasady zdrowego rozsądku i naigrawać się z dobrej wiary publicznej, — wszystko to dzieje się za sprawą

tego braku samodzielności, tego bezkrytycznego trzymania się utartych szlaków, tego braku cywilnej odwagi wypowiedzenia i posłuchania własnych przekonań, które stanowią charakterystykę naszą, a której źródła zarówno szukać należy w złych nawyknieniach umysłowych, jak w braku wyrobionego charakteru.“

Wszelka moralność jako wykwit szlachetnych myśli i wzniosłych ideałów, może być wzbudzoną i wywołaną li tylko szlachetnym przykładem i wpływem moralnym.

Ponieważ należyte pojęcie poszanowania cudzej własności jest wynikiem stopnia moralnych pobudek i czynników umysłowych, dlatego przedewszystkiem wpływać winna szkoła na uszlachetnienie serca i umoralnienie umysłu. Aby zaś człowiek mógł należycie wybierać między złem a dobrem, trzeba w nim wyrobić dodatnio silną, wykonawczą wolę, przy pomocy której mógłby się oprzeć wszelkim pokusom, przełamać przeciwności i stale a wytrwale obstawać przy dobrem i szlachetnem. Bez silnej woli marnieją i upadają wszystkie przymioty serca i najpiękniejsze zasady moralne, które wychowawca wszczepia, pielęgnuje i wzmacnia.

VII.

Przy wyrobionej silnej woli musi dziecko posiadać należyte pojęcie i umieć dokładnie rozróżnić to, co moje, a co twoje: młodzież powinno się przyzwyczaić do tego, aby z cudzą rzeczą nie tak się obchodziła, jak ze swoją własną, cudzego mienia aby nie śmiała bez zezwolenia prawowitego właściciela naruszyć a tem mniej uszkodzić. To przyzwyczajenie wzbudzi w uczniu poszanowanie cudzej własności tak dalece, że i w późniejszem życiu nie poważy się naruszyć obcej rzeczy, jakąkolwiek wartość by miała. Kto umie szanować cudzą własność, ten także nie będzie ukrywał skradzionej rzeczy, ani nie przyczyni się do żadnej kradzieży lub sprzeniewierzenia bądźto radą, bądźto czynem, ni też nie zatai znalezionej rzeczy.

Dla tem pewniejszego utrwalenia w umyśle młodzieży poszanowania cudzej własności, trzeba ją

pouczyć o tem, jak postępowanie niehonorowe człowieka w obec towarzyszów i całego świata poniża, jak złodziej lub ukrywacz kradzieży przez wszystkich jest znienawidzonym i wzgardzonym, jak ciężko grzeszy przeciw Bogu, obrażając Go i przekraczając Jego przykazania, jak surowo Pan Bóg karze podobne przestępstwa i t. d.

Zważać powinno się też niezmiernie na objawy współczucia i koleżeństwa wśród młodzieży, wszczepiając w serca tej młodzieży zasadę: „Co tobie nie miło, nie czyń drugiemu!“ Szlachetnie wydoskonalona cnota współczucia łagodzi i uśmierza żądzę posiadania, a zatem i pragnienie posiadania i przywłaszczania sobie nieprawnym sposobem cudzego mienia.

Szczególniejszą wypada także zwrócić uwagę na młodzież, z biedniejszej klasy pochodzącą, gdyż ta bardziej skłonną jest do nieprawnego przywłaszczania sobie obcej rzeczy.

Żadną miarą nie powinno się zezwolić na gry w pieniądze, lub w ogóle zabawy, przy których się o jakikolwiek zysk materjalny rozchodzi, ponieważ to daje powód do łakomstwa, chciwości, żądzy zysku a skłania do małych sprzeniewierzeń i kradzieży.

Trzeba w ogóle jak najwięcej działać na stronę moralną uczniów, aby wzbudzić w nich prawdziwą odrazę do złego a upodobanie w dobrem, inaczej bowiem, gdy umysł ich pozostanie nieczułym na wrażenia i uczucia szlachetne a obojętnym na działanie wrażeń nieszlachetnych, — wtedy błędy, ułomności i wady niezniszczone i niewykorzenione w zarodku, rozsiedlą się i rozwiną w umyśle młodzieży, jak drzewo stukorzenne, które coraz silniej i głębiej zapuszcza swe korzenie, i błędy te utrwalą się w sercu i umyśle i zrodzą gorżkie do spożycia owoce dla rodziny i całego społeczeństwa.

Trzeba się starać, aby rozwaga zawsze panowała nad żądzą i zmysłowemi pragnieniami. Gdyby tylko obawa przed wykryciem wstrzymała od złego czynu, mało byłoby wówczas moralności i bezpieczeństwa na świecie.

Uczeń powinien być zawsze pod ścisłym dozorem i nieustanną kontrolą, jednakowoż tak niezna-

cznie, aby tego nie czuł, inaczej bowiem stanie się obłudnym i podstępnym. Trzeba niepostrzeżenie a pilnie baczyć na każdy krok jego. Trzeba go czasami zostawić własnowolnemu działaniu, aby się przekonać o sile wewnętrznych jego pobudek, bo jak przysłowie niemieckie mówi: — „Gelegenheit macht Diebe.“

W razie zaszłego wątpliwego wypadku, dopóki się nie ma wyraźnego przekonania, nie wypada jawnie okazywać swojego powątpiewania, podejrzenia lub niezadowolenia, ale czekać na oczywiste dowody. Jeżeli bowiem bezpodstawnie kogoś podejrzywamy lub obwiniamy na podstawie przypuszczenia tylko — a pozory, jak wiadomo, bardzo często łudzą — wtedy czynimy dotkniętemu wielką krzywdę, co może nader szkodliwie oddziaływać na jego umysł.

Jeżeli zaś fakt zaszedł, na co są oczywiste dowody, natenczas w odpowiedny a nie rażący sposób, wykazać trzeba zawód, jakiego się doznało przez zbytnią ufność, i ufność tę niegodnemu jej odebrać, aż przez długie, wzorowe postępowanie nie odzyska i nie zaskarbi sobie na powrót ufności!

W razie zaś powtórnego sprzeniewierzenia się surowiej powinno się już ukarać winowajcę w miarę przestępstwa, pobudek i indywidualności ucznia.

VIII.

Zanim pomówię o karach w wypadku kradzieży, przedstawię ogólnie to przestępstwo.

Że przestępstwo kradzieży i w ogóle wszelkiego rodzaju bezprawne przywłaszczenie cudzej własności, nie jest wyłącznie wynikiem nowszych czasów i krytycznych warunków życia, w których się obracamy, o tem przekonywuje nas historja powszechna, historja prawa i sprawiedliwości, jakoteż historja ogólnej kultury narodów.

Im prostsze obyczaje, im skromniejsze wymagania, tem rzadsze były objawy tego występku.

Ignacy Krasicki powiada w Mikołaja Doświadczyńskiego wypadkach: „Nie masz u Nipuanów słów, wyrażających kłamstwo, kradzież, zdradę i pochlebstwo.“

Jak wszystkie ludy, tak i mieszkańcy Indyj wschodnich mają właściwe sobie przesądy. W niektórych przesądach odbija się jaskrawo cześć i pamięć dla zmarłych, tudzież poszanowanie instytucji własności. Według wyobrażeń Indjan, duch dawniejszego właściciela zawsze jeszcze zarządza gruntami, wszystkie ważniejsze sprawy odbywają się też w jego imieniu. Ztąd idzie, że wszystkie kontrakty kupna lub dzierżawy spisuje się w imieniu nieboszczyka jako właściwego prawozlewcy. W przeciwnym bowiem razie duch dawniejszngo właściciela prześladuje nowonabywcę, który chcąc przebłagać ducha wystawia mu na gruncie spornym ołtarzyk ofiarny.' Nieraz też zdarzają się wypadki, utwierdzające Indjan w tym przesądzie. Angielski pułkownik Sleeman wspomina, że w dolinie Nerbudy zaorał raz włościanin wspólną miedzę, przywłaszczając sobie spory kawał pola. Następnej wszakże nocy ukąsił wąż jego syna i woły zapadły na zarazę. Strwożony włościanin przyrzeka natychmiast w świątyni, trzymać się nietylko dawnej miedzy, lecz nadto wystawić duchowi sąsiedniego gruntu ołtarz ofiarny. Duch dał się przebłagać, woły ocalały, a ołtarz stał się kopcem granicznym. Inną razą wywarł duch za nieuszanowanie cudzej własności zemstę w ten sposób, iż grunt przywłaszczyciela mimo najstaranniejszej uprawy żadnego nie wydawał plonu. Jeden z Europejczyków, chcąc wyprowadzić lud z przesądu, wydzierżawił ten grunt za tysiąc rupij rocznie. Najął nawet kilkadziesiąt pługów dla zorania niwy i udał się z robotnikami na miejsce. Zaledwie wszakże usiadł na dywanie pod bananem i począł szydzić z przesądu — aż tu zobaczył na drzewie ogromnego czarnego węża, który z rozwartą paszczą na niego czyhał. Przerażony Europejczyk dosiadł konia i wyrzekł się dzierżawy gruntu. Niejaki Lindsay podjął się później uprawy i pomiaru zaklętego gruntu; zaledwie wszakże sznur nowy celem pomiaru rozciągnięto, potargał się takowy w kawałki a przedsiębiorca tegoż samego dnia zachorował i wkrótce potem życie zakończył.

Każde drzewo owocowe lub dzikie zostaje także według mniemania Indjan pod opieką ducha, który

za najmniejszą kradzież lub szkodę — chorobą lub śmiercią karze. Razu pewnego zbliżył się do właściciela drzewa figowego pewien młodzieniec z prośbą o litość, wyznając, że ukradkiem zerwał owoc figowy, wskutek czego duch opiekuńczy sprawił mu niezmiernie dotkliwy ból w żołądku. U nas przypisanoby to zapewne owocowi niedojrzałemu. Właściciel drzewa figowego wziął z ziemi trochę nawozu krowiego, potarł nim czoło młodzieńca, wzywając opieki ducha. Ustały cierpienia, a młodzieniec przyrzekł, że opiekuńczego ducha więcej nie obrazi.

Rzadko też dopuszczają się w tych krajach kradzieży owoców, a drzewka, z psoty połamanego, nigdzie nie dojrzysz.

Zamiast różnych nieraz szkodliwych przesądów naszych, przydałyby się u nas indyjskie. U nas bowiem aż zanadto częste są skargi o naruszenie posiadania, a nim jeszcze owoc dojrzeje, wszystkie już niemal drzewa owocowe przy drogach, w sadach i ogrodach stoją z połamanemi gałęziami. Jeśli kto zasadzi drzewko przy drodze, to psotnik nieznany nieraz w ten sam dzień je ochwieje, złamie lub z ziemi wydrze*).

Talmud podaje nam następującą wiadomość:

Aleksander Wielki podczas swego zwycięzkiego pochodu zaborczego przybył w Afryce do pewnego ludu, mieszkającego w odosobnieniu od innych i prowadzącego życie spokojne, nie znając zaborów ani wojen. Zaprowadzono go do namiotu króla, panującego nad tym ludem. Panujący kazał go uraczyć złotemi daktylami, złotemi figami i złotym chlebem. Aleksander zdziwiony tem przyjęciem zapytał, czy tu złoto jedzą? Panujący odpowiedział na to:

— Zdaje mi się, że zwykłych pokarmów możecie w swoim kraju dość znaleźć. Pocóż więc przyszedłeś do nas?

---

*) Tygodnik Rzeszowski nr. 59. z r. 1887.

— Wasze złoto mnie tu nie zwabiło — oświadczył Aleksander — ale chciałbym poznać wasze obyczaje.

— To dobrze — odpowiedział tamten — możesz u nas zabawić, jak długo tylko zechcesz.

Gdy tak z sobą rozmawiali, przybyło do króla dwóch obywateli z prośbą o wymierzenie im sprawiedliwości. Oskarzyciel rzekł:

— Kupiłem od tego człowieka kawał roli, a gdym go skopał, znalazłem w nim skarb. Skarb ten nie mój, albowiem kupiłem tylko rolę, nie zaś ukryty w niej skarb a właściciel nie chce go żadną miarą odebrać.

— Jakże mogę go przyjąć — usprawiedliwiał się oskarzony — skoro go nie włożyłem do roli? Jestem zaś tak uczciwym, jak i mój współziomek; sprzedałem mu rolę wraz z wszystkiem, co w niej było, azatem i ze skarbem. —

Panujący powtórzył ich słowa, aby się przekonali, czy ich należycie zrozumiał. Po niejakim namyśle zapytał:

— Ty masz syna, przyjacielu, nie prawdaż?

— Tak jest.

— A ty masz córkę?

— Tak jest.

— A więc niechaj twój syn poślubi jego córkę a para małżeńska niechaj otrzyma skarb jako wiano!

Tak opiewał wyrok panującego a Aleksander dziwił się niezmiernie wielkiej sprawiedliwości i uczciwości tych ludzi.

W innym rozdziale podaje Talmud fakt następujący:

Pewien Ismaelita sprzedał rabinowi Szymonowi wielbłąda a uczniowie zawiedli wielbłąda do domu. Przy zdejmowaniu siodła znaleźli pod nim naszyjnik, wysadzony drogimi diamentami.

Z radością więc zawołali:

— Rabi! Rabi! Błogosławieństwo boskie wzbogaca! (Chcieli przez to powiedzieć, że go sam Bóg takim obdarzył skarbem.)

Ale rabi Szymon odrzekł:

— Zanieście diamenty temu człowiekowi, od którego kupiłem wielbłąda, on sprzedał mi tylko zwierzę, a nie drogie kamienie. —

Ku niemałemu zdziwieniu właściciela zwrócono mu więc kosztowności.

Przytoczone tu fakta nie świadczą bynajmniej o dzikości i surowości obyczajów lub braku inteligencji i moralności, lecz przeciwnie o wrodzonym a naturalnym zmyśle sprawiedliwości, o wkorzenionem głęboko pojęciu o poszanowaniu cudzej własności, wreszcie o prostocie serca i wrodzonych szlachetnych uczuciach moralnych.

W obecnych czasach podobne fakta wydają się niektórym jako legendy biblijne, bo występek sprzeniewierzania, kradzieży i oszustwa tak spowszedniał, że obojętni na podobne wykroczenia, nawet w kołach najinteligentniejszych uwagi nie zwracają na niedozwolone zabieranie kwiatów, fotografij i t. d. a lekkomyślnego bankruta i utracjusza największego przyjmują z nienależącemi mu się wcale oznakami uszanowania.

IX.

W miarę wzrostu ludności i potrzeb a z ubytkiem sposobu utrzymania i zatrudnienia nastąpiło rozluźnienie obyczajów i wytworzyły się rozmaite wady, jakoto: podstęp, chciwość, chytrość, żądza mienia, oszustwo, sprzeniewierzenie i kradzież.

Są to wady wielce szkodliwe dla ogółu, i dlatego też były zawsze surowo karane. Gdyby kradzież dla poszkodowanego również była przyjemną, jak dla złoczyńcy — mówi Herbert Spencer — nie znaleźlibyśmy jej w spisie grzechów głównych.“

W piśmie świętem, które stanowi pierwszy podstawowy kodeks karny, surowo wzbronioną jest kradzież wszelkiego rodzaju, t. j. gwałtem, podstępem lub za pomocą tajemnego przywłaszczania sobie cudzego mienia i dobra, a jest wzbronioną nawet kilkakrotnie, co wskazuje na ważność tego zakazu.

Niejednokrotnie też surowo karani byli Izraelici za nieposzanowanie cudzej własności.

Podczas zwycięzkiego pochodu Izraelitów do Palestyny, Wszechmocny niedozwolił im zająć miasta Aj, ponieważ znajdował się między nimi niejaki Achan, który mimo zakazu Wszechtwórcy przywłaszczył sobie część łupów wojennych z miasta Jerycha. Dopiero gdy go Izraelici ukamienowali i zniszczyli wszystko, co posiadał, pozwolił im Wszechmocny zająć to miasto.

W wiekach średnich kradzież także była na sposób barbarzyński karaną. Jako dowód posłużyć mogą wyjątki z dawnych kronik i tak n. p. w ustawie leśnej dla miasta Frankfurtu nad Menem brzmi przepis dla postępowania z przestępcami:

„Za psoty leśne albo obłupania drzewa z kory powinno się przestępcy lub psotnikowi rozpłatać brzuch, wyjąć kiszkę, przybić ją do pnia i chodzić z nim około drzewa tak długo, aż mu wszystkie kiszki wyjdą z brzuchu.“

Jeszcze aż do r. 1693. odczytywano gminie publicznie rokrocznie ten ustęp dla przypomnienia.

W innej znowu ustawie krajowej był ustęp, że ktoby przesunął kamień graniczny, ten ma być po szyję zagrzebany w dole, w którym stał kamień, a głowa jego zorana pługiem, zaprzężonym czterema końmi.

W całych Niemczech za kradzież karano śmiercią i to: mężczyzn wieszano lub łamano kołem, kobiety zaś zagrzebywano żywcem.

W Lubece jeszcze w r. 1592m żywcem zagrzebano niejaką Annę Pypers rodem z Wittembergji, za kradzież starej sukni.

W Frankonii za króla Gunrautha ukamieniowano dworzanina za bezprawne polowanie w lasach Wogezów.

W Szwecji i Norwegji także kamieniowano złodziejki, zarówno jak morderczynie, podpalaczów i rozbójników.

Dawne polskie prawo karne w przestępstwie przeciw własności rozróżniało „kradzież“ i „złodziejstwo.“ Pierwsza nazwa oznacza właściwie przestępstwo kradzieży, druga zaś głównie uwydatnia trudnienie się z zawodu niejako kradzieżą, a bardzo

często mieści w sobie to pojęcie jeszcze inne przestępstwa przeciw własności, jakoto: grabież.

Statut Kazimierza Wielkiego dozwala, aby złodziejowi, schwytanemu na gorącym uczynku, zabrano konie i wszystko, co ma przy sobie, zapewniając przy tem bezkarność temu, któryby w bójce złodzieja takiego zabił; a na mocy rozporządzenia Władysława Jagiełły z r. 1388., w Piotrkowie wydanego, złodziej na uczynku schwytany, popadł karze śmierci przez powieszenie albo spalenie, połowę zaś jego majątku konfiskowano.

Nawet tak zwani „oprawcy, czyli mistrze,“ których obowiązkiem było między innemi ściganie złodzieja, w razie niedopełnienia obowiązku ulegli przepisanej dla złodziei karze.

Statut litewski z r. 1588., rozdział XI., artykuł 7. powiada, że każdy złodziej, przywiedziony z licem, nie mającem większej wartości od czterech kóp, gdyby pierwszy raz ukradł, powinien oddać rzecz z nawiązką, gdyby drugi raz z licem był złapany, chociażby to lice i dwóch kóp wartości nie miało, tedy ma być przy słupie smaganym i sowito szkody nagrodzi; a trzeci raz z licem złapany, traci gardło; — natomiast artykuł 21. tegoż rozdziału pozwala na zabijanie złodzieja przy licu.

Przepisy te wskazują na srogość i surowość obyczajów dawnych czasów; obecnie zaś dążymy do wyrobienia łagodnych obyczajów przy równoczesnem wytępieniu i zohydzeniu każdego występku przeciw sprawiedliwości i bezpieczeństwu.

X.

Jak widzimy, najsurowsze nawet kary śmierci nie zdołały wstrzymać ludzi od popełnienia kradzieży i sprzeniewierzeń, najdotkliwsze następstwa nie pohamowały oszustów i przestępców, dlatego, że wewnętrzne przekonanie, szlachetna myśl religijna nie zapanowała nad zmysłowością i żądzą materjalną; jedynem i najważniejszem zadaniem szkoły pozostaje więc: wzbudzić w dzieciach przez nieustannie moralno-etyczne wychowanie, niezachwiane uczucie

prawdziwego poszanowania cudzej własności, któreby mogło zapanować nad wszelką zmysłowością nawet wśród najkrytyczniejszego położenia, a któreby zdołało przytłumić wszelką żądzę i pragnienia materjalne.

Gdyby się jednak mimo wszelkich usiłowań nauczyciela zdarzył w szkole występek kradzieży, to powinno się należytą według pobudek, stopnia wykroczenia, tudzież indywidualności ucznia wymierzyć karę.

Jeżeli wykroczenie znane jest współuczniom, to powinno się je publicznie zgromić i ukarać, w każdym zaś razie powinien nastąpić zwrot kradzieży lub odpowiedne odszkodowanie.

Tam, gdzie już nie można liczyć na szlachetne serce i prawdziwy wstyd, tam trzeba użyć dotkliwej kary cielesnej.

„Kłamstwo pochodzące ze złośliwości, upór, nieprzyzwoitość i małe złodziejstwa — powiada Diesterweg — powinno się karać rózgą.“ Nie trzeba jednak uważać przestępcy za straconego ze wszystkiem zbrodniarza, aby mu nie odbierać wszelkiej nadziei poprawy, ale trzeba jego winę uważać za jedyne i przypadkowe wykroczenie, które wzorowem postępowaniem naprawić można, przyczem wyraźnie objawić należy nadzieję poprawy.

Jeżeli się przestępstwo powtarza, to w takim razie i kara musi być dotkliwszą i w obec rodziców wymierzoną. Przy wymierzaniu kary powinno się przedewszystkiem uwzględnić indywidualność przestępcy. Jeżeli popełnił przekroczenie z nierozwagi, lekkomyślności lub nieświadomości, to powinno go się dokładnie pouczyć o znaczeniu jego występku a tylko lekką wymierzyć mu karę; jeżeli zaś z świadomością rzeczy i złośliwością dokonał złego czynu, natenczas pouczenie powinno być krótkie, natomiast kara dotkliwą. Niepoprawnych i zatwardziałych przestępców powinno się czasowo lub zupełnie wydalić ze szkoły, aby nie krzywdzili i nie znarowili wstrętnym swoim przykładem reszty uczniów.

Przejdźmy teraz do szczegółowych uwag i niektórych wypadków.

Przedewszystkiem wpoić trzeba w dzieci przekonanie, że nie mają one żadnej wyłącznej własności a wszystko, co posiadają, jest własnością cudzą, bo własnością rodziców, opiekunów i dobrodziejów, albo też własnością publiczną. Rodzice ciężko pracują nietylko na dostarczanie żywności, ale także na sprawienie odzieży, książek i potrzebnych przyborów szkolnych, dlatego dzieci powinne szanować wszystko, co od rodziców pochodzi, a co one nawykłe uważać za swoją własność. Ale i nauczyciel pilnie na to baczyć i uważać powinien, aby dzieci miały odzież zawsze schludną i całą i nie powinien znieść najmniejszego zaniedbania. Gdyby jednorazowe napomnienie nie poskutkowało a uczeń by przyszedł do szkoły znowu nieczysto odziany, to wypada go bezwarunkowo odesłać do domu aby się oczyścił, przyczem od nadzoru domowego żądać trzeba ścisłego dozororowania i przestrzegania porządku i czystości.

Również powinien nauczyciel starannie uważać na to, aby uczniowie w porządku i czystości utrzymywali wypożyczone im książki lub odzież jako własność publiczną, z której także inni uczniowie korzystać mają, zastrzegając sobie przy wypożyczaniu tychże przedmiotów, iż w razie zaniedbania tychże, uczniowi je odbierze. I z tego też powodu nauczyciel bardzo często powinien przekonywać się o stanie wypożyczonych rzeczy, kontrolując takowe w czasie przed rozpoczęciem szkoły. Gdyby się nauczyciel przekonał, że który z uczniów mimo napomnienia wypożyczonych rzeczy zaniedbuje, to powinien groźbę swoją wykonać i przedmiot zniszczony—przynajmniej na czas jaki — odebrać, aby dać przykład odstraszający dla innych. Trzeba bowiem dzieci przyzwyczaić nietylko do wdzięczności za odebrane łaski i dobrodziejstwa, ale także do poszanowania rzeczy, z których nietylko oni, lecz i drudzy korzystać powinni.

Niszczenie przyborów szkolnych, krajanie lub babranie ławek, oszpecanie lub zanieczyszczanie budynku szkolnego powinne być najsurowiej zakazane i żadną miarą nie powinnebyć obojętnie przyjmowane. Jakiekolwiek

uszkodzenie przyborów lub sprzętów szkolnych — o ile to się nie stało oczywiście przez nieprzewidziany wypadek, lub bez złego zamiaru — wszelkie babranie po ścianach gmachu szkolnego powinno być jak najsurowiej karane wedle przewinienia a to natychmiast po sprawdzeniu niegodziwego czynu, bez poprzednich porozumień z rodzicami ucznia lub wyższą władzą szkolną, lecz tylko z bezpośrednim zarządem.

Zresztą nauczyciel sam najlepiej osądzi, co jest odpowiedniejsze, gdyż nieraz sam w wielkiej jest kolizji, ażali samoistnie działać, ażali może zasięgnąć naprzód zdania rodziców, którzy nieraz wiedzeni prawdziwie małpią miłością, nie zezwolą może na ukaranie dziecka, niepomni zdania mędrca Salamona: „Kto powściąga rózgi swej, ma w nienawiści syna swego, ale kto go miłuje, zawczasu go karze.“ (Przypowieści Salamona, XIII., 24.) Nauczyciel wtedy traci na powadze wobec uczniów a przestępcę czyni to tem śmielszym i bezczelniejszym, gdyż wie, że w danym razie rodzice zawsze staną w jego obronie i że nic przykrego nie spotka go za psoty, a wówczas nauczyciel znajduje się rzeczywiście w opłakanym stanie. Wykroczenia najczęściej powtarzają się w niektórych szkołach, gdzie nauczyciel swoją osobą i moralnym wpływem nie potrafi wiele zdziałać z powodu braku należytej powagi nauczycielskiej w oczach uczniów, u których — jak w ogóle u istot na niskim stopniu inteligencji zostających — powagą jest przedewszystkiem nieograniczona władza. A nauczycielowi właśnie brak należytej samodzielności w działaniu, której pozbawiony jest przez rozmaite ograniczenia, w regulaminie zawarte i przez zbyt ścisłe przestrzeganie tychże w danej okoliczności.

Ileż to rażących wykroczeń nauczyciel przeocza i patrzy na nie przez palce z tej jedynie przyczyny, że nie mając pożądanej samodzielności i dozwolonego sposobu działania w danym wypadku, musiałby się odnieść do wyższej władzy szkolnej, która zazwyczaj nauczycielowi przypisuje winę, kładąc wszystko na karb nieudolności jego, lub jeśli zarządza dochodzenie, to czyni to częstokroć w sposób niewłaściwy, kompromitujący nauczyciela w oczach dzieci, a

w najlepszym razie wykaże tylko jego niemoc i brak samodzielności, co w obec uczniów wielką jest ujmą.

Naturalne następstwo złego czynu jest najskuteczniejszą nauką na przyszłość, przeto i kara musi być naturalną, azatem ile możności bezpośrednio nastąpić winna po dokonanym czynie: za uszkodzenie musi nastąpić odszkodowanie, za złośliwe niszczenie surowa a dotkliwa kara cielesna. Odkładanie kary aż do czasu następnego porozumienia i wymierzanie kary za przewinienia po dłuższym czasie wygląda w oczach dzieci na barbarzyństwo i nielitościwe pastwienie się.

XI.

Nauczyciel powinien starać się, aby w szkole nie dać powodu i nie wystawić uczniów na pokusę do popełnienia wykroczeń przeciw poszanowaniu cudzej własności, bo jak przysłowie mówi: „Gelegenheit macht Diebe,“ a w modlitwie pewna część opiewa: „I nie wódź nas na pokuszenie.“ Cóż dopiero mówić o istotach słabych, nie mających jeszcze żadnych prawie, albo w nader małym stopniu wszczepione prawdziwe zasady moralne, o tych istotach, u których żądza posiadania i zaspakajania materjalnych pragnień góruje nad głosem wewnętrznym. Dlatego nauczyciel powinien być zawsze pierwszym w klasie i uważać, aby uczniowie wszedłszy do klasy, zajęli zaraz swoje miejsca a nie plądrowali po wszystkich ławkach, przyczem niejedna rzecz mogłaby ich skusić i przy sprzyjających okolicznościach nakłonić do przywłaszczenia jej sobie. Gdy się taki czyn niegodziwy raz uda bez przeszkody i niemiłych dla złoczyńcy następstw, to łacno może się wzbudzić chęć do powtarzania go, co w następstwie wyrodzi skłonność do złego i nałóg, tak że uczeń dotknięty temi wadami, stanie się wyrafinowanym złodziejem, którego trudno będzie na gorącym uczynku schwytać a jeszcze trudniej od nałogu odzwyczaić.

Nie powinno się też żadną miarą zezwolić na to, aby podczas pauzy uczniowie pod jakimkolwiek pozorem albo z jakiegokolwiek powodu zostawali w klasie, ale wszyscy równocześnie powinni wyjść

i na odgłos dzwonka równocześnie w klasie się zjawić.

Po skończonej nauce nauczyciel powinien uczniom dość czasu zostawić na zebranie i uporządkowanie książek i przyborów szkolnych, jakoteż odzieży, poczem wszyscy równocześnie wyjść powinni. I nie powinno się także zezwolić na to, aby uczeń pod jakiemibądź wymówkami później się wracał celem przeszukiwania ławek. Dzieci niektóre bowiem o wiele są przebieglejsze i podstępniejsze, aniżeli przypuścić można.

Gdyby się przed wyjściem z klasy okazało, że uczniowi któremu rzecz jaka w klasie zginęła, natenczas niech nauczyciel wezwie uczniów, aby każdy przeszukał swoje rzeczy, by skonstatować, czy rzecz brakująca „przypadkiem“ lub „przez nieostrożność“, do kogo innego się nie dostała? Nieraz bowiem uczeń w jednej chwili miarkuje się, a gdyby to nauczyciel od razu nazwał kradzieżą, to niejeden właśnie będzie tem bardziej ukrywał, aby się nie zdradzić jako złodziej.

Gdyby wezwanie nauczyciela nie odniosło pożądanego skutku, to nauczyciel sam wprawnem okiem po zmienionej twarzy ucznia pozna winowajcę. W razie jednak, gdyby nie było pewnych oznak ani poszlaków, to nie powinno się jawnie okazać podejrzenia, bo jeśli ono nieuzasadnione i niesłuszne, to nauczyciel bardzo wielką krzywdę wyrządza dotkniętemu podejrzeniem.

Jeśli się zaś okaże potrzeba rzeczywistej rewizji, wtedy bez namysłu i bez wyjątku powinno się każdego przeszukać. Po pierwsze z tej przyczyny, że uwalniając niejako na podstawie przekonania, od odpowiedzialności i winy dzieci z tak zwanych „lepszych“ domów w przypuszczeniu, że dobre ich wychowanie nie zezwoli na występek, czyni się tem samem bardzo bolesną i dotkliwą ujmę tym uczniom, którzy również bardzo moralnie i wzorowo wychowani, „powierzchownością“ swoją nie dają tej pewnej rękojmi, chociaż postępowaniem swem nie dawali nigdy powodu do podejrzenia i obraża się ich ambicję. Powtóre i z tej przyczyny, że — mówiąc między nami i bez wszelkiego

ubliżenia albo ujmy komuś uczynionej — niestety i „dom porządny“ nie zawsze może być gwarancją stopnia moralności i czystości wychowanka. Bo, jak wiadomo, znajdują się w rodzinach nawet najzacniejszych i najzamożniejszych indywidua, które bez najmniejszego powodu dopuszczają się rozlicznych sprzeniewierzeń i kradzieży, podlegając tak zwanej „kleptomanii.“ Nałóg to, wyradzający się nawet w warunkach i okolicznościach najmniej do tego powodów dających a tak niebezpieczny i niełatwo uleczalny, jak wszystkie w ogóle złe nawyczki i narowy.

Gdy się znajdzie przestępca, powinien nauczyciel z indywidualności jego, jakoteż z przedmiotu przywłaszczanego i innych towarzyszących kradzieży okoliczności od razu osądzić, co było właściwą pobudką przekroczenia i według tego po sprawdzeniu powodów powinien wymierzyć w oczach wszystkich przykładną karę. A mianowicie: albo przez zgromienie niegodziwego uczynku surowymi wyrazami—jeżeli to po raz pierwszy i z lekkomyślności się zdarzyło; — albo przez tymczasowe skarcenie, odkładając stosowne wymierzenie kary aż do chwili po należytem porozumieniu się z nadzorem domowym,—jeżeli to uczynił uczeń nie po raz pierwszy i to podstępnie; — albo też, — jeżeli czyn zbrodniczy popełnił zatwardziały, niepoprawny przestępca — powinna nastąpić natychmiast kara i to dość surowa.

W żadnym wypadku nie powinno się przepuścić takiego występku bezkarnie, a w każdym razie objawić nadzieję, iż to się stało po raz ostatni, że uczeń może uzyskać znowu stracone zaufanie, jeżeli się poprawi.

Nie bardzo natomiast zalecenia godne są przypadkowe rewizje, przedsięwzięte od czasu do czasu w celu przekonania się, czy który uczeń nie ma przy sobie niepotrzebnych rzeczy lub zabawek i czy te nie są potajemnie przywłaszczone, — gdyż to nie skutkuje korzystnie na wychowanie publiczne a może tylko dać powód do licznych kłamliwych tłumaczeń ze strony uczniów. Wystarczy, jeżeli nauczyciel zakaże znoszenia do szkoły niepotrzebnych rzeczy i gdy się przy jakiej tam sposobności o

przekroczeniu zakazu dowie, jeżeli wtedy należycie ucznia zgani, w razie zaś powtórnego przekroczenia zakazu, jeśli mu odbierze rzecz i odeśle ją do domu z poleceniem, aby rodzice na to uważali, by uczeń niepotrzebnych nie zabierał rzeczy i nie znosił z sobą do szkoły.

Dalej pouczać trzeba dzieci, iż w szkole tak jak w rodzinie nietylko jedno drugiemu nic, czy to podstępem, czy to chytrością zabierać nie powinno, ale że w szkole żadnych przedmiotów zgubić się nie powinno, ani też nic znaleźć nie można. Wszystko cokolwiek nie swojego uczeń napotka, powinien oddać nauczycielowi, jeżeli nie wie, do kogo rzecz należy a nauczyciel zgubę zwróci właścicielowi. Tak samo i rzecz, znalezioną poza szkołą, powinien uczeń przynieść nauczycielowi, który się dowie, do kogo przedmiot znaleziony należy, i w ten sposób najłatwiej właściciel go otrzyma. Szczególniej wpoić trzeba w uczniów zasadę: „Co tobie nie miło, nie czyń drugiemu.“

XII.

Nauczyciel powinien też rozciągnąć baczną uwagę na zachowanie się uczniów i poza szkołą, a mianowicie śledzić, czy który nie psuje złośliwie domów prywatnych lub gmachów publicznych przez babranie lub uszkadzanie murów, czy nie niszczy drzew, krzewów, pomników lub sprzętów publicznych. Jeżeli psotnikiem takim jest uczeń innej szkoły, wtedy sumienny nauczyciel nie omieszka dać znać o tem dotyczącemu zarządowi. Nie jest to bynajmniej wykonywaniem obowiązków policji, ale czuwaniem nad publiczną i cudzą własnością, co stanowi obowiązek każdego uczciwego obywatela. Własność publiczna powinna być w największem poszanowaniu, jako dobro wspólnym, cudzym kosztem utrzymywane i dla użytku i dobra szerszych warstw ogółu przeznaczone.

Bardzo surowo powinien być karany barbarzyński zwyczaj nielitośnych rozpustników, strzelających z proc do ptaków, przyczem także nieszczęście zrządzić może, iż kamień znienacka przechodniowi oko

wybije lub niebezpiecznie go skaleczy, pominąwszy i to, że często gęsto szyby wytłucze. Tu nie wystarcza odbieranie morderczej zabawki, ale powinna nastąpić natychmiast dotkliwa kara cielesna, aby się psotnikowi nie zachciało więcej powtórzyć tak morderczej rozrywki.

Młodzież, przekonawszy się, że żadne wykroczenie nie ujdzie jej bezkarnie, strzedz się będzie przewinienia, co się później wyrodzi w moralną zaletę i wstręt do złego.

Najważniejszem zatem zadaniem szkoły jest i zawsze pozostaje, wpływanie przez środki wychowawcze na umoralnienie młodzieży i wytworzenie w niej silnej woli dodatniej, gdyż, jak mówi ks. biskup Krasiński:

„Co w dobrem gospodarstwie jest uprawa roli,
„To w rozwoju władz duszy — ukształcenie woli.“

Szczególnie wiele zdziałać może nauczyciel przy nadarzającej się ku temu sposobności. Bardzo wiele materjału dostarczają w czytankach szkolnych zawarte zdania, myśli, przysłowia i ustępy, których treść odpowiedna posłużyć może za podstawę i punkt wyjścia do takich uwag, a z których też nauczyciel skwapliwie skorzystać powinien.

Dla wzbudzenia zachęty do szlachetnego postępowania bardzo skutecznie posłużyć mogą przy nadarzonej sposobności trafnie zastosowane rozmaite opowiadania i historyjki, które silniej przemawiają do serca i przekonania młodzieży, aniżeli długie i nużące morały i wykłady o uczciwości i poszanowaniu własności cudzej. Dzieci bowiem są na tyle ambitne, że chętnie idą za przykładem i naśladują to, co u drugich zachwalają. Tylko wpływ moralny, wyższy i szlachetny może wstrzymać szerzenie się złego, bo:

„Nic, nic od grzechu nas, śmiertelnych ludzi,
„Mocniej nie wstrzyma, do cnoty nie wzbudzi,
„Jak przyszłych rzeczy po śmierci koleją
„Bojaźń z nadzieją.“

Ukochany mój!

(FANTAZJA).

Jeśli prawdą, że na ziemi,
Pełnej prochu, błota, złości,
Można z skrzydły iść białemi,
Mając w sercu znak prawości,
I nie skalać piór srebrzystych,
I nie zbrudzić uczuć czystych,
I być jasnym w dumań kole,
I mieć ciszy rys na czole,
To ty pójdziesz — prawda — tak?
Jako ziemski biały ptak,
Ukochany mój!
Jeśli prawdą, że w tem życiu
Można znaleźć szczęścia kwiecie
W wielkiej pracy, cnót ukryciu
I w poezji cichym świecie...
I nie szukać go wśród złota,
Nie wśród lekkich prac kolei,
Ale w drodze gdzie krzyż, cnota,
Bratnia pomoc, szlak nadziei,
Miłość kraju, poświęcenie,
Pieśń, marzenie i natchnienie,
To ty będziesz szczęśliw tak,
Jak jest piękny marzeń szlak,
Ukochany mój!
Jeśli prawdą, że wśród chłodu
Serc łaknących tylko złota,
I wśród zimna — uczuć głodu,
Walki, co nas w przepaść miota,
Można kochać święcie — cudnie
I z miłości mieć moc cudu,
Wierzyć w serce nie obłudnie
I nie trwożny bolu, trudu

Kochać wszystko jasne, czyste, —
Pieśń miłości, sny srebrzyste,
I nie tonąć w jednem oku,
Lecz do olbrzymiego skoku
Nabrać siły, męztwa, cnoty,
Mając w sercu promień złoty...
To ty kochać będziesz tu,
Snując cudną przędzę snu,
Ukochany mój!
Jeśli prawdą, że bez słońca
Tej wolności, co nam wzięto,
Której skrzydło mocą ścięto,
Można śledzić świtu gońca,
Można dzierżyć w skutej dłoni
Znamię krzyża i pogoni,
Orła więzy zniszczyć jeszcze,
I rozbudzić duchy wieszcze,
I pogonić w bój co żywo,
Zerwać kruków żelaziwo...
To ty walczyć będziesz wraz,
Gdy nadejdzie świtu czas,
Ukochany mój!

1888.

Błękitna.

NUDY,

rozprawka.

Jedną z najcięższych chorób moralnych jest nuda — ona truje myśli, zabija ducha, budzi zwątpienie w siły własne, prowadzi do zniechęcenia i rozpaczy a w końcu wkłada nawet broń samobójczą do ręki. Neron, gdy się nudził, Rzym kazał podpalić; Heliogabal jadał pasztety ze słowiczych języków, a mło-

dzieniec wieku XIX. skraca z nudów życie, które mu zbrzydło, zanim je poznał.

Lecz cóż to jest? jaki powód, że dzisiaj, gdy prąd taki realny nurtuje na dnie społeczeństwa naszego, przecież i brudne, cuchnące fale nudy wdzierają się aż do nas, do naszego kółka domowego, pod strzechę domowego ogniska i zdumieni czytamy w dziennikach, że dziecię 14-letnie odbiera sobie życie, bo mu się sprzykrzyło.

Winne temu dziwne stosunki obecne, winno wychowanie, winne matki i ojcowie, którzy nie umieją czy nie chcą w umysł dziecięcia zasiać zdrowego ziarna, by potem zdrowe wzrastały owoce.

Pielęgnowanie zamiłowania w pracowitości, w praktycznem życiu, rozbudzanie uczuć piękna, dobra, prawdy, rozbudzanie ducha i niezależności, swobody, energii — to pierwszy środek zaradczy na nudy. Od najwcześniejszej doby życia dziecię czynnem być powinno, niechaj się bawi, lecz niech nie próżnuje, niech myśli, zastanawia się, bada, czyta — lecz niech nie marzy chorobliwie, niech nadto nie wgłębia się w sfery dalsze, w to, co mu obcem, dalekiem a nigdy nie urzeczywistnionem. Odrywać dziecię należy od wszelkich baśni piastunek, od wszelkich wybujałych opisów a podawać zdrową, posilną, na praktycznym gruncie opartą karm duchową. Nuda jest strasznem cierpieniem, a jak przykrem dla drugich, łatwo ten pojmie, kto spotykał — o co dziś nie trudno — osoby młode a znudzone, wystygłe, z dziwnym grymasem na twarzy, przesycone życiem, chociaż w około siebie znaleźć mogły pole do zużytkowania swej wiedzy, swoich zdolności do stania się użytecznymi członkami społeczeństwa.

Janina Antonowiczówna.

Świat lepszy,

(z Hieronima Lorma*).

Kto wiarą, wiedzą się kieruje,
Ten pozna nędzę w świecie tym;
Lecz silniej ją promieniem swym
Duch — niźli wiara — pokonuje.
Bo wiara z poza ciemnych krat —
O świecie lepszym marzy tylko;
Lecz duch promienny jedną chwilką
Sam sobie stworzy lepszy świat.

G. Kohn.

*) Hieronim Lorm, jeden z najgłębszych nowożytnych myślicieli i poetów niemieckich, jest żydem i urodził się 9. Sierpnia 1821 w Nikolsburgu, w Morawii. Znany zaszczytnie w najszerszych kołach czytającej publiczności autor, pochodzi z żydowskiej rodziny Landesmanów, a Hieronim Lorm, to tylko pseudonim. Jako samouk wyrobił sobie stanowisko, szanowane powszechnie. W piętnastym roku życia swego ogłuchł skutkiem częściowego sparaliżowania całkowicie i miał wzrok znacznie nadwerężony, co go jednak nie wstrzymało od dalszej pracy nad sobą samym. Przetrwawszy reakcję czasów Metternichowskich, które go chwilowo z Wiednia wygnały i do zmiany imienia zmusiły, wrócił Landesman czyli Lorm w Kwietniu r. 1848go znowu do Wiednia, gdzie przez dłuższy czas pozostawał, tamże ożeniony. Po 25oletnim pobycie we Wiedniu, przeniósł się wreszcie do Drezna, gdzie dotychczas zamieszkuje.

BIBLIOGRAFIA.

a) Gazety i czasopisma.

[Gazeta Polska, wychodząca w Czerniowcach pod redakcją Klemensa Kołakowskiego. Czerniowce, 1890. Rok VIII.]

Omawiając najnowsze numera pożytecznego, na kresach wschodnich wychodzącego wydawnictwa, rzucamy mimowoli wzrok poza siebie na przeszłość tegoż pisma. I powiadamy: ośm lat walki wytrwałej a obfitej w owoce, to wiele! W numerach ubiegłego rocznika zajaśniało też niejedno imię, zaszczytnie znane w naszej literaturze, że z pomiędzy wielu tylko przypomnimy imiona Gawalewicza, Stanisława Miłkowskiego, Leona Węglińskiego, Zygmunta Ludomira, szczególnie zaś tegoż ostatniego artykuł: „Konno do polskiego Tsziflika.“

Nowy rocznik stara się godnie wstępywać w ślady swoich poprzedników. Już w pierwszych 7-miu numerach, udzielonych nam do przeglądu, widzimy bowiem obok nieodzownych lokalnych wiadomości, obok artykułów wstępnych, streszczonych ręką redaktora, także fejleton o treści dosyć urozmaiconej. Wyborną jest humoreska: „Nieboszczka moja ciocia,“ Kiellanda „Nastrój balowy“ jest to coś w rodzaju sylwetki marzycielskiej, niepozbawionej głębszego znaczenia; ale głęboką czujemy wdzięczność dla redaktora pisma, utalentowanego poety Kołakowskiego, który wierszom tak długo — zdaje się — milczyć kazał a teraz w swojej „Wandzie“ prawdziwą nam zrobił poetyczną niespodziankę.

O innych artykułach bodaj pobieżnie uczynimy jeszcze wzmiankę w następnym tomie naszego wy-

dawnictwa; tu zwracamy tylko jeszcze uwagę na wstępny artykuł: „Przyjechał — z Polski,“ odznaczający się zdrową tendencją, artykuł, który bezwzględnie pochwalamy, a czego nie powiedzielibyśmy o wszystkich bezwarunkowo wstępnych artykułach „Gazety Polskiej,“ a między innymi o takim „Koniu Trojańskim.“

[Ojczyzna, dwutygodnik, wychodzący pod redakcją Hermana Feldsteina, organ Towarzystwa „Przymierza braci.“ Lwów, 1889. Rok IX.]

Nie możemy jeszcze omówić rocznika najświeższego tego wydawnictwa, gdyż za mało posiadamy numerów; ograniczamy się przeto na ocenie chociaż pobieżnej zeszłorocznego wydawnictwa „Ojczyzny.“ Jest to jak wiadomo, organ postępowych żydów polskich i niektóre z jego artykułów wstępnych ze znajomością rzeczy są opracowane, jak np. artykuły: „W obronie fundacji barona Hirscha“, „Zbawcy Izraela,“ „Urząd izraelickiej gminy we Lwowie“ (wstępny artykuł, w ostatnim numerze pisma zawarty) i inne.

Nie możemy jednak „Ojczyzny“ całkowicie uwolnić od zarzutu pewnej zawisłości i stronniczości, aczkolwiek dobrze wiemy i uwzględniamy, że nieraz okoliczności i stosunki do takiej zawisłości i stronniczości doprowadzają. Nie wszędzie jednak zachodzi podobny mus moralny, a gdzie nie zachodzi, tam snadnie pragniemy się obejść bez czapkowania niepotrzebnego. I tak w notatce o zmarłym żydzie włoskim Alatrze niepotrzebnie uczyniono wzmiankę, „że Pius IX. z powodu dobroczynności tegoż żyda o nim się wyrazić miał, iż „Samuelo Alatri jest najlepszym chrześcianinem w Rzymie.“ Cóż mi za pochwała w tym frazesie, wyglądającym raczej na poniżenie narodu żydowskiego? Czy już żyd nie może być dobroczynny, albo czy miłość bliźniego i miłosierdzie, to już wyłącznie chrześciańskie cnoty? Nie sądzimy!

Z pomiędzy naukowych artykułów „Ojczyzny“ wymieniamy Ignacego Süssera: „Żydzi w świetle polskiej poezji dramatycznej.“ Jest to praca z pewnem zacięciem i nie bez świadomości rzeczy streszczona.

Mylił się jednak autor, a to grubo, jeśli oceniając dramat „Wielki Rabbi Abraham“, o moim ojcu pisze: „Zajście zresztą (otrucia) za świeże było dla fikcji poetycznej, a po za jednostronną działalnością bohatera, brakło dla niej akcesorjów wielkiej tragedji myśli (?!), tak w życiu jego prywatnem jak i publicznem (??)“ Z wszelkiem uszanowaniem dla uczoności p. Süssera twierdzę stanowczo, że podobnych słów używać mógł tylko człowiek, który najmniejszego nie miał pojęcia o życiu mego ojca.

Były redaktor pisma, p. Izydor Bernfeld, powołany obecnie do Belgradu, wytyka jako rzeczoznawcą w dwóch artykułach pod zbiorowym tytułem: „Nasze gminy wyznaniowe,“ niektóre wady, toczące organizm żydowski. Wielce ciekawie wyglądają też korespondencje tegoż samego autora o „Żydach w Serbji.“ Z korespondencyj rzeczonych wynika bowiem, że mimo małej w stosunku do Galicji ilości żydów tamtejszych, można było w Serbji pewien ład a nawet dobrobyt wprowadzić dzięki sprężystości zarządu.

„Teatr u żydów“ Gustawa Karpelesa jest to pouczające studjum zwłaszcza w chwili obecnej, gdzie wszędzie w Galicji na widownię publiczną występują dyrektorowie żydowscy z przedstawieniami żargonowemi, cieszącemi się niezłem powodzeniem.

„Ojczyzna“ zawiera także fejleton powieściowy, mieszczący nowelle i poezje Feldmana, Marji Alfy, Ignacego Süssera i innych. Ale o tym fejletonie szerzej się rozwodzić nie mamy już czasu. Powtarzamy jeszcze raz, że „Ojczyzna“ nieobliczone usługi wyświadczyć będzie mogła sprawie żydowskiej, ale wtedy dopiero, jeśli stanie na zupełnie niezawisłem stanowisku tak w obec żydów, jak i w obec chrześcian.

[Nowy Kurjer Drohobycki, dwutygodnik społeczno-ekonomiczny, wychodzący pod redakcją Alojzego Milerowicza. Rok II., 1890. Nra 1—4. Sambor, drukiem Schwarza i Trojana.]

Życie polityczne nie bardzo żywem tętnem pulsuje w tak zwanym cyrkule sądowym samborskim, czyli „Samborszczyznie.“ „Kurjer Stryjski,“ który się przed laty okazał był na widowni tamtejszej pod

redakcją Czesława Pieniążka, zeszedł ze świata po kilkumiesięcznem zaledwie istnieniu. Zaprojektowana jeszcze za czasów Czaińskiego „Gazeta Samborska,“ której redaktorem miał być nieżyjący już obecnie Feliks Chaszczyński, i tak krótkiego nawet nie doczekała się żywota, gdyż na własne oczy widziałem, jak rozebrano czcionki pierwszego numeru, nim jeszcze rzeczony numer prasę drukarską opuścił.

Wytrwalszy już cokolwiek w swych usiłowaniach publicystycznych Drohobycz. Tam odnawiają próbę po próbie. Po „Gazecie Naddniestrzańskiej“ nastał „Kurjer Drohobycki,“ po nim przyszła kolej na „Nowego Kurjera.“ Z artykułów rzeczonego pisma na razie możemy tylko wymienić „Kolendę“ jako wiersz bardzo udatny, oraz szereg artykułów pod zbiorowym tytułem: „Wady ludu naszego.“ Artykuły te, pochodzące od znanego nam osobiście autora, zdradzają wielką znajomość rzeczy. Druk, jak na prowincję, czysty i staranny.

b) Książki pamiątkowe i roczniki.

[Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Wielka ósemka. XIX. Rocznik. Stronic 546. Wiedeń, 1890. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu. Cena 2 złr. 50 ct.]

Jak dotychczas, tak i teraz nie zaniedbuje to czasopismo literackie środków, przyczyniających się do zabawiania i pouczania publiczności według starej zasady: „utile cum dulci.“ Widzimy więc tak dział powieściowy, jak i naukowy obficie zaprawiany. W tym pierwszym zwłaszcza obok poważnych przedmiotów, nie brak także humorystyki a nawet komiki.

Humorystyczny bowiem do pewnego stopnia „Pechowiec“ (Pechvogel) Ludwika Hevesy, opisujący mniemane nieszczęścia Dra Antoniego Taube, polegające nie na rzeczywistości, ale na rozlicznych nieporozumieniach. Tytuł: „Nowożytny Münchhausen“

byłby jednak właściwszy, gdyż główny bohater humoreski kłamie i wymyśla jak najęty. Do tej samej kategorji zaliczamy także Henryka Glücksmana japońską bajeczkę: „Lustro“, udowadniającą, że każdy śmiertelnik w lustrze nie to widzi, co ono przedstawia, ale to, co mu się w niem upatrywać zachciało. W zręczny też sposób naśmiewa się z zabobonów ludowych Bernard Rothenstein w swojej powieści humorystycznej, zatytułowanej: „Polowanie na djabła.“

Miasteczko, należące do hr. Wexberga, ni ztąd ni zowąd zaalarmowane zjawieniem się djabła. Aby skutecznie zwalczyć zgubne wpływy zabobonu, zarządza dziedzic gremjalne polowanie na księcia piekieł, na które prócz gości arystokratycznych, wzywa także wszystkich swoich poddanych, zdolnych do noszenia broni. Z wszystkich zaproszonych mieszczan zjawia się wszakże jeden tylko szewc Underhört, tchórz pierwszej próby, udający zucha i przechwalający się, że Jego Piekielną Mość w kałamarzu utopie, gdyż w inny sposób zabić djabła nie można. Tymczasem im bliżej myśliwi są celu, tem bardziej kołacze serce naszemu bohaterowi. Chowa się więc w gęste zarośla, aby uiść napaści czarta. Ale złe nie ominie nikogo! Nad głową naszego wojaka fruwa znienacka jakieś olbrzymie stworzenie z rozpostartemi skrzydłami. Nie ulega wątpliwości: to djabeł! Wtem słychać strzał celny. Strzelec zbliża się do kryjówki naszego bohatera: strzelcem tym zaś jest młody auskultant sądowy, zakochany w córce szewca i cieszący się wzajemną jej miłością. Ojciec nie sprzyja jednak zamiarowi kochanków, marzy bowiem dla jedynaczki swojej, Leni, o bogatem małżeństwie. Ale od czego sztuka myśliwska i myśliwska fantazja? Ona nietylko że uzbroiła młodzieńca do walki ze strasznym potworem, przerażającym całą okolicę, nietylko że zwycięztwem niewątpliwem uwieńczyła jego skronie, ale poda mu pewnie także środek do zwalczenia oporu przyszłego teścia. Wśród ogólnego zamięszania nie poznając go od razu mniema nasz myśliwy w pierwszej chwili, że ma do czynienia z kłusownikiem; niebawem jednak poznał szewca Underhörta i grozi mu, że bohaterską jego ucieczkę objawi całemu towarzystwu. Szewc

prosi go na miłość boską, żeby tego nie uczynił, zanadto bowiem byłby skompromitowany przed całym światem takiem wyjawieniem swego tchórzostwa. Auskultant zgadza się na prośbę szewca, ale pod warunkiem, że przyszły teść ugodę ślubną między obydwoma kochankami podpisze piórem zamaczanem w kałamarzu, w którym „djabła chciał utopić.“ Stary z westchnieniem zgadza się na to, młoda para pobiera się, a szewc Underhört paraduje na podstawie obopólnej ugody, zawartej między nim a przyszłym zięciem, przed całem prześwietnem towarzystwem myśliwskiem jako waleczny pogromca djabła, przedstawiającego się w kształcie olbrzymiego „bąka-czapli.“

Na polu poważnej powieści spotykamy w „Dioskurach“ po raz pierwsze imię Ferdynanda Saara: debiutuje on w roczniku ze swoją „Ginewrą,“ przedstawiającą sercowe walki dziewicy Ginewry, zaręczonej z młodym oficerem a opuszczonej niegodziwie przez narzeczonego. Rzecz kończy się jednak o tyle pomyślnie, że dziewczyna, dzięki męzkiemu swemu charakterowi, samobójstwa nie popełnia, lecz o własnych siłach dalszą drogę sobie toruje, drogę, kończącą się jeszcze szczęśliwem zamęźciem.

W idealistycznych barwach przedstawia hrabina Anna Pongràcz w swoim szkicu powieściowym zatytułowanym: „Powrót“, poświęcenie kobiety, która opuszczona i zdradzona przez męża, niewiernemu przebacza, bo powrócił zestarzały przedwcześnie i kaleką, a potrzebuje teraz opieki żony, tak jak dawniej opuszczone przezeń jej niemowlęta, jego dzieci!

Nie możemy dalej wniknąć w treść każdej powieści, zawartej w książce przez nas omówionej, ponieważ ich jest wielka mnogość, a przechodzimy do treści literacko-naukowej, która się niemniej obfitą przedstawia.

Studjum Ferdynanda Grossa: „Dziecko w literaturze uniwersalnej“ zawiera wiele ciekawych szczegółów; ale pomimo wielkich zalet, jakie ta praca bezsprzecznie posiada, grzeszy ona przecież pewną stronniczością a to już pod tym względem, że autor głównie podaje zdania i uczucia samych prawie Niemców w kwestji dotyczącej świata dziecięcego,

rzadkie tylko wzmianki czyniąc o obcych literaturach dziecięcych, o sławiańskich żadnej. Tu się już stała widoczna krzywda równouprawnieniu literackiemu; ile wzorów bowiem — dajmy na to — mogła nastarczyć sama dziecięca literatura polska, a jeśli autor nie rozumiał po polsku, to mógł snadnie korzystać z niemieckich tłumaczeń, rozprószonych po szerokim świecie. Ale i to, co autor podaje, mimo wszelkich braków i uszczerbków, mimo wszelkich mentalnych restrykcyj, godne jeszcze zastanowienia. Konstatuje on, że Szyller nie miał należytego pojęcia o świecie dziecięcym, Heine żadnego, Gete zaś miał. Lenau jako pesymista a w ślad za nim Justinus Kerner, Rückert i nawet Lessing uważają za szczęście nieocenione dla dziecka przedwczesną śmierć, ponieważ uniknie dalszych prób życia. Bezpodstawne i chybione to zdanie podziela także w pewnym względzie Stefan Witwicki, poeta nawidzony czarną melancholją i objawia je w pieśni: „Do dziecka.“ Zdanie to tem mylniejsze, że nikogo nie nazwiemy szczęśliwym dla tego, że przedwcześnie zeszedł z tego świata, nie spełniwszy nadziej niczyich, nie zdziaławszy nic dla społeczeństwa. Prędzej powiedziałbym już, że nieuzasadnione są żale urzędowych i nieurzędowych płaczek, roniących gorżkie łzy nad śmiercią męża, który zgasł w kwiecie wieku, zdziaławszy już cokolwiek dla społeczeństwa; żale, podniesione z tego powodu, że gdyby żył kilkanaście lub kilkadziesiąt lat dłużej, to mógłby był więcej zdziałać. Jeśli zdziałał choćby nawet odrobinę, to nie żył daremnie! Zastanawia nas także szczegół, że autor przytaczając rozmaite zdania wierszowane o dzieciach, nie przytacza sceny porywającej z „Fausta“ Lenaua, w której Faust klęczący na grobie swojej matki przypomina sobie czasy dziecięce i głęboko odczuwa brak matki, która go w wieku dziecięcym osierociła, śmiercią swoją oddawszy go na pastwę złego losu i zgubnych wpływów. Nie brak także komiki w zdaniach o światku małym, ale ta komika tylko dla Niemca jest zrozumiałą.

W swoich „Myślach o historji literatury“ streszcza nam Frydryk Lemmermayer jestestwo tejże. Bo dzisiaj tylu ludzi prawi o literaturze, nie mając o niej

nawet wyobrażenia. Sądzą więc autora, nie mając pojęcia o nim, nie przeczytawszy go, nie wniknąwszy w przewodnią ideę jego prac, a sądzą płytko, niesprawiedliwie i bez wiadomości rzeczy o tym lub owym; bo spuszczają się na tę lub ową historję literatury, która tak lub owak zawyrokowała. A to bardzo źle i niesprawiedliwie; nie każdy bowiem dorósł do wysokości myśli tego, którego się sądzić ośmiela. Wydarzyło się już i autorowi niniejszej bibliografii, że go płytkie duchy wyszydziły publicznie za jego zbiór balad historycznych: „Sieger und Besiegte.“ Jedni w żywe oczy i to na ulicy szydzili ze mnie, twierdzili, że takiego głupstwa chyba świat nie widział i wywiadywali się z urąganiem, czy się nie wstydzę, że jestem autorem podobnej bazgraniny? Drudzy twierdzili, że się zupełnie minąłem z celem, właściwem bowiem zadaniem poezji jest, przedstawiać czytelnikowi same tylko obrazy, mile działające na ustrój nerwowy, głaskające niejako fantazję czytelnika, a tu w moich „Sieger und Besiegte“ i śladu nie ma tego, bo pozwoliłem sobie bezcelowo nagromadzać stek najokropniejszych zbrodni, najgwałtowniejszych i najkrwawszych scen. Mądrzy ci krytycy zapomnieli o tem, że historja powszechna w głównych swoich postaciach upoetyzowana nie jest sielanką, że nie chciałem wyłącznie kąpać się w krwi ofiar, ale wykazać nawet w zbrodni wyższe powody, które ją wywoływały i odźwierciedlić działanie tej strasznej bogini zemsty, tej Nemezis dziejowej, która w historji powszechnej zastępuje władanie bóstwa sprawiedliwości. Ja sam miałem o mojej pracy to wewnętrzne przekonanie, że mimo rozlicznych wad, szpecących ją, jest i pozostaje ona najlepszem mojem poetycznem dziełem. Mikołaj Bołoz Antoniewicz, ten surowy i kompetentny sędzia, uznał moje „Sieger und Besiegte“ za pracę niezwykłą. A mimoto nie chciało pewne, w szerszych kołach dobrze znane pismo wiedeńskie, któremu „Sieger und Besiegte“ do oceny nadesłałem, tego dziełka ocenić, a redakcja wymówiła się nibyto brakiem czasu. W pięć lat później belletrystyczne pismo „Die Sphinx“, wychodzące w Lipsku, pisało o moich „Sieger und Besiegte“:..... „Die Gedankenwelt des Ro-

manzencyklus ist eine bedeutende und fesselnde,“ a redakcja bawarskiego pisma, której jedną z tych ballad do przedruku nadesłałem, odpowiada jednemu ze współpracowników, odwołując sie na moją przesyłkę: „Und verweisen wir Sie auf den in Nro 11. erscheinenden Aufsatz „Kleopatra“ aus der geschickten Feder einer bewährten Kraft, auf die wir stolz sind.“ I cóż na to panowie krytycy?

Artykuł Hermana Meynerta: „Mozart i Dora“ kwalifikowałby się wyśmienicie do galerji kobiecych typów w życiu wielkich naszych literatów i artystów. Czy to pod tytułem matek, czy żon, czy wreszcie w charakterze kochanek lub tylko przyjaciółek, — wszędzie odgrywają one niepośledną rolę w literaturze wszechświata. Zna Francja swoją Staël, swoją George Sand, znają Włochy swoją Laurę i Beatryczę, zna Polska swoją Maryllę, swoją Zofię hr. Potocką, swoją Wiktorję hr. Dembińską; czemużby Niemce nie miały się zdobyć na swoją Krystynę Vulpius albo Dorę? Artykuł Meynerta, lekko i z prawdziwą werwą literacką napisany, czyta się z wielkiem zajęciem i korzyścią dla umysłu: artykuł ten rzuca ciekawe światło na stosunki artystyczne, jakie pod koniec 18go stulecia panowały w Niemczech.

Na polu biografii odznacza się artykuł barona Albina Teuffenbacha o Wilhelmie Meyernie, poecie, nieznanym już młodszemu pokoleniu, a który przecież do pewnego czasu takiej używał reputacji, że o jego romansie: „Dia-Na-Sore“ pełen zapału wyraża się pewien niemiecki uczony, iż „na czele wszystkich książek obok biblii i Homera stawia „Dia-Na-Sorę.“ Do kategorij szkiców biograficznych należy także Błażeja Bogdana: „Niccolo Tommaseo jako włoski lingwista i autor.“ Tommaseo urodził się w Dalmacji; burze rewolucyjne, czynny udział w powstaniu z r. 1848go, zmusiły go do opuszczenia terytorjum austrjackiego i do wyemigrowania do Włoch. Osiedlił się naprzód w Turynie, potem we Florencji; znane są liczne jego prace literackie, jego powieści historyczne, przetłumaczone na język niemiecki i polski, jego dzieła lingwistyczne, filozoficzne i historyczne. Tommaseo nietylko piórem i słowem walczył za wolność

zjednoczonych Włoch, i to już w najmłodszych latach życia swego, ale ujmował się także za ujarzmioną Polską w dwóch pracach literackich, szczególnie zaś w obszerniejszem dziele: „L' Italia e la Polonia.“ Umarł w r. 1874, przeżywszy lat 72.

Z poetycznych tłumaczeń, dokonanych z obcych języków, podnoszę jako nadzwyczajnie udatne Jerzego Schulpe: „Rytmiczne tłumaczenia“ i Michała Landaua, adwokata tarnopolskiego a byłego redaktora „Świtu:“ „Sielankę młodości“ Konstantego Gaszyńskiego, szczególnie tę ostatnią. Nowella wierszowana Szczepana Miłowa, zatytułowana: „Wśród biednych“ odźwierciedla nam w lekkich wierszach stosunki, panujące wśród klas ubogich we Włoszech. Poetyczna powieść Ernesta Rauschera: „Nigritta“ jest niejako objaśnieniem polskiego przysłowia: „Natura ciągnie wilka do lasu.“ Młoda cyganka Nigritta, jako podrzutek znaleziona przez Lady Stanley i od najmłodszych lat wychowana w zamku angielskiej magnatki, nawet zaręczona z jej synem, który za nią szaleje, czuje się mimo wszelkiego przepychu nie swoją i nie swojską w zamku. Banda cygańska, stara wróżka, przepowiadająca jej przyszłość, budzą w niej wspomnienia upłynionych dawno lat. Nigritta rzuca suknie dworskie, aby zaślubić cygana, i tylko po to wraca jeszcze do zamku, by oddać pierwszemu narzeczonemu pierścionek zaręczynowy, nie mający już obecnie dla niej znaczenia.

Rocznik przez nas omówiony, zawiera jeszcze liczne inne wiersze Dra Ludwika Augusta Frankla, Kajetana Cerri, Marcina Greifa, Leitnera, Heleny Migerki, Alfreda Friedmana i innych, zamieszcza nawet w komplecie mały dramacik historyczny Dra Florjana Leopolda Meissnera, oraz liczne aforyzmy wierszem i prozą Augusty Littrow-Bischoff, W. Constanta, Frydryka Pichlera, Marji Najmàjer, ale nie mamy już miejsca na obszerniejszą recenzję.

c) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe.

Wydawnictwa Zukerkandla w Złoczowie. Biblioteczka dla dzieci i młodzieży.

[Książeczka XVIII. Pamiętniki mądrej muchy. Napisał Szczęsny Zahajkiewicz. Z 9 rycinami. Stronic numerowanych 192. Cena 50 ct. 1880, w Październiku.]

Autor niniejszego dziełka, uzdolniony nauczyciel ludowy Szczęsny Zahajkiewicz, jak wiadomo, okolicznościami nieprzychylnemi zmuszony został, przenieść się poza ocean. Tem większe zajęcie powinna też ta praca jego budzić jako jedna z nielicznych pamiątek, które europejskim zwolennikom swoim zostawił.

Autor, opisując w kształcie „pamiętnika" dzieje życia mądrej, ale żarłocznej i zarozumiałej muchy, wtajemnicza w sposób lekko pouczający młodych czytelników swoich w historję wynalazku druku i czcionek, w wyrób papieru, oznajmia ich ze sposobem, jakim się cukier wyrabia z trzciny lub buraków, tłumaczy hygieniczne właściwości kawy, herbaty i t. d. a opowiada to wszystko w sposób lekki, żartobliwy, wolny od wszelkiej pedanterji i doktrynerji, trzymając się wiernie zasady: utile cum dulci.

To też książeczkę jego, nader ozdobnie wydaną, polecamy chętnie małym czytelnikom do poglądowej nauki a nawet i starszym do czytania, do czego się dziełko Zahajkiewicza jeszcze bardziej nada z powodu formy lekkiej gawędy, w którą autor ubiera te „pamiętniki mądrej muchy," odpokutującej na koniec śmiercią obżarstwo swoje.

[Woda studzienna w miastach i miasteczkach powiatu rzeszowskiego. Skreślił Dr. Józef Barzycki, c. k. lekarz powiatowy. Rzeszów, 1888. Nakładem autora. Z drukarni J. A. Pelara (H. Czernego.) Stronic 31. Mała ósemka.]

Jak wiadomo, to mało jest miast w Galicji, w których życie ogółu odpowiadałoby we wszystkiem warunkom hygienicznym. Jednym z najniezbędniejszych takich warunków, jest dobra woda studzienna. Woda taka nie może być dobrą, ale po większej części bywa zanieczyszczaną rozmaitemi szkodliwemi substancjami w miastach fabrycznych, jakoteż w miastach, przepełnionych ludnością mieszaną, po większej części nie dbającą o przepisy sanitarne.

Autor w cennej swojej broszurce stara się wykazać zgubne następstwa takiej niedbałości na Rzeszowie i miastach w powiecie rzeszowskim położonych i podaje dwanaście wskazówek celem zaradzenia złemu.

Zajmującą jest także tabela Rzeszowa i miast, w obwodzie starostwa rzeszowskiego położonych a zbadanych co do czystości wody studziennej. Z tabeli tej bowiem wynika, że do najbardziej zanieczyszczanych pod tym względem miast należy Rzeszów, gdyż mimo swoich 73-ch studzien, mało tylko ma odpowiadających wszelkim wymogom sanitarnym, podczas gdy Strzyżów na 9 studzien chemicznie zbadanych zaledwie dwie ze słabą domieszką amoniaku lub kwasu azotawego wykazuje.

Autor radzi także wszelkie reformy w kierunku odwaniania wody zbiorowo a nie pojedynczo przeprowadzić i podaje środki, aby wodę studzienną, już zanieczyszczaną obcymi składnikami, za pomocą gotowania tejże oczyścić z bakteryj i zarazków różnorodnych.

[Pojęcie nauki skarbowej, napisał Dr. Stanisław Głąbiński. Sambor, nakładem autora. Z drukarni Schwarza i Trojana, 1889. Stronic 63. Mała ósemka.]

W dwóch rozdziałach tej pracy, wydanej w uzupełnieniu do poprzedniej „O systemie fizjokratów w ekonomice społecznej,“ podaje autor rozmaite poglądy na naukę skarbową tak starszych, jak i nowszych pisarzy, objaśniając je własnemi uwagami. Rzecz napisana li tylko dla fachowych, nie dla ogółu czytających.

d) Książki mieszanej treści.

[Józef Czernecki. J. G. Seume, jego życie, dzieła i zasługi. Przyczynek do dziejów polskich pod koniec 18. stulecia. Lwów, nakładem księgarni Milikowskiego (Starzyka). Drukiem I. związkowej drukarni we Lwowie, 1889. Mała ósemka. 168 stronic. Cena 1 złr. 50 ct.]

Witamy z żywem zadowoleniem i uznaniem biografię Seumego, streszczoną przez Czerneckiego.

Poprzednio uczyniłem już raz w 9m roczniku mego wydawnictwa wzmiankę o tem, że brak nam źródłowych prac, obejmujących żywoty sławnych Niemców i że taki brak niekorzystnie świadczyć musi o narodowości polskiej, zasklepiającej się w samej sobie i nieuznającej zasług obcych.

I rzeczywiście brak biografij obcych znakomitości i powag literackich w języku polskim jest przerażający. Czyż możemy, czyż powinniśmy spodziewać się po obcych choćby jakiej takiej sprawiedliwości dla nas i dla wielkich naszych mężów, którzy stworzyli literaturę polską, którzy mieczem swym w bojach ustawicznych rozszerzyli granice Polski, — jeśli sami w niepamięć puszczamy zasługi obcych? Tem większe zaś uwzględnienie należy się takim mężom, jeśli wir zdarzeń ich przeznaczył na świadków, niemal na współdziałaczy walk, które rozstrzygnęły o ostatnich losach Polski.

Czernecki roztacza przed nami barwny, zajmujący a przytem systematyczny obraz życia, działania i zasług Seume'go. A co czytelnika najbardziej zadowalnia, to historyczna objektywność i sumienność, z którą sobie autor postępuje, przytaczając wszędzie zdania stron obu, prostując takowe, gdzie wypada i nie przypuszczając ani przyjacielowi, ani nieprzyjacielowi. Sposób ten pisania jest jedynie godny historyka z zawodu, ale także nader rzadki, gdyż obecnie szowinizm narodowy górą wszędzie; więc w najlepszej wierze fałszuje się nieraz obce myśli i słowa, fałszuje się dzieje, aby sobie zjednać oklaski stronnictwa swego. Pole biografii obcych znakomitości u nas w ogóle leży odłogiem. Często spacza najlepsze chęci nie dająca się niczem wytłumaczyć obawa, by nie razić tego lub owego, i z biografii wytwarza się panegiryk.

Biografia Seume'go, opracowana tak treściwie i sumiennie przez Czerneckiego, zapowiada nam nowy a bardzo pożądany zwrot właśnie na tem polu piśmiennictwa. Wzywamy i zachęcamy uzdolnionego autora do więcej prac o podobnej tendencji. Wszakże sam powiedział: „Kto obrońcom Polski zasłużoną cześć oddaje, kto nasze śmiertelne zapasy uważa za naj-

piękniejszą kartę życia naszego w przeciągu całego stulecia, kto wdzięczność Stanisława Poniatowskiego dla carowej Katarzyny nazywa zbrodnią i zdradą narodu, piętnuje zaprzedanych magnatów, a wielbi Kościuszkę jako najszlachetniejszego bohatera, kto tak płacze nad upadkiem ludzkości i tak głęboko odczuwa wykreślenie całego narodu z karty Europy, a nawet podnosi głos swój przeciw: „Fuimus Troes“ Sarmatów, t. j. przeciw rozbiorowi Polski: ten nie może żadną miarą być poczytywany za wynalazcę słów: „Finis Poloniae“, wypowiedzianych rzekomo przez największego bohatera wolności i godzien jest nietylko czytania, lecz naszej czci i szacunku.“

A jeśli w taki sposób na sprawy polskie zapatruje się autor biografii Seume'go, to znajdzie niezawodnie w Niemczech więcej jeszcze postaci wzniosłych, szlachetnych i niezależnych, sympatyzujących myślą, słowem lub czynem z walczącą zwycięzko, jak i z uciskaną Polską; znajdzie przyjaciół swobody i wolności, myślicieli o sile Klingera, pieśniarzy o sile Holteia, bojowników słowa o sile Salleta, Herwegha, Kinkla, mniej więcej wszystkich przychylnie usposobionych dla Polski a nieprzychylnych wszelkiemu uciskowi ducha. Tym wszystkim zasłużone należy się wspomnienie. O to wspomnienie, ręką umiejętną skreślone, prosimy.

[Wilhelm Feldman. Nowelle i obrazki. Nakładem G. Gebethnera i spółki, Kraków, 1889. Druk W. Korneckiego w Krakowie. Mała ósemka. 172 stronic. Cena 1 złr. 50 ct.]

Gonienie za efektami powierzchownemi może się stać zgubnem dla najzdolniejszego nawet autora. Takie gonienie za efektami sprowadza zawsze na manowce a podniecając jedynie fantazję, nie dopuszcza do należytego zgłębiania przedmiotu. I tę też wadę spostrzegliśmy w najnowszych utworach powieściowych p. Feldmana, a mianowicie w jego „Nowellach i obrazkach.“

Autor idąc za przykładem mistrzów o wątpliwej sławie i lekkiej twórczości, poświęca rzeczywistość zbyt często fantazji chorobliwej i spaczonej, a to źle. Obawiamy się, że co do rzeczy specjalnie żydow-

skich, zdobędzie sobie wkrótce sławę „polskiego Francosa,“ na równi z nim niekrytycznie, nielogicznie przedstawiając rzeczy. Niech raczej — jeśli już koniecznie kogoś naśladować zechce—naśladuje Hercberga-Fränkla lub Komperta, a nie Zolów lub Francosów — a znajdzie właściwe wzory dla swego geniuszu.

Nowelle i obrazki w ilości sześciu rozpadają się na dwie kategorje. Jedna z tych poświęcona specjalnie sprawom żydowskim, druga katolickim. Co do żydowskich nowell, to od razu zaznaczamy, że te nierównie gorzej wypadły od nowell, poświęconych sprawom specjalnie katolickim. I dziwimy się temu. Wszak autor zkądinąd obznajomiony z wymaganiami i tendencjami świata żydowskiego. A mimoto „Idylla,“ to istna karykatura stosunków żydowskich, której na serjɔ rozpatrywać nie można, a taki Naftali i taka Perla istnieją chyba jedynie w fantazji autora. „Zapóźno,“ choć już nieco lepsze, maluje nam także sytuację niemożebną. Starowierczy kupiec, chusyta Aron, który li tylko dla pieniędzy ożenił się z wykształconą i postępową Goldą, który sam twierdzi, że „takie szczęście, jakie on ma z nią, daj Boże wrogom!“, który utyskuje na to, że Golda syna Abrahamka nie chce oddać do chajderu i narzeka, że „ani kuglą porządnego nie upiecze, ani w bożnicy po ludzku się nie pomodli,“ taki Aron czuje się nagle skruszonym śmiercią żony tak dalece, że postanawia, synka swego zamiast do chajderu, posłać do szkół publicznych i zaniechać interesów nieczystych. Przyznajemy otwarcie, że taka ofiarność nie leży w charakterze naszych chusytów.

W rażącej sprzeczności zostają także słowa umierającej Goldy: „I rodzice nie będą się gryźć, żem zła żydówka“... ze słowami matki: „Wy ją wychowali jak panienkę, a oddali za żonę takiemu klocowi chusydzkiemu;“ bo jeśli się rodzice rzeczywiście gryźli postępowością córki, to żadną miarą nie powinni byli narzekać na zięcia „kloca chusydzkiego,“ gdyż właśnie taki „kloc chusydzki“ bardziej od wszystkich innych nądawał się do tego, aby córkę odstępczynię nawrócić na drogę ortodoksyjności.

Jeszcze bardziej chybiona jest nowella: „Ofiary.“ Jeśli bowiem uważamy za rzecz możebną, że zaciekły chusyta, jak Abraham Chajkes, syna jedynaka Gabriela dla tegoż postępowości wydziedzicza i nawet dopuszcza do tego, że syn marnie ginie, to przecież w skrusze swojej nie posunie się tak dalece, aby dwom kolegom Gabriela, katolikom ofiarował po pięćdziesiąt złr. miesięcznie na ukończenie kursu szkolnego. Tyle bowiem istnieje instytucyj dobroczynnych i religijnych żydowskich, iż taki Abraham Chajkes znalazłby łatwo umieszczenie dla swoich pieniędzy gdzieindziej i nie potrzebowałby obdarzyć niemi „gojów.“ Istnieje żydowskie przysłowie swoją drogą dosyć trywialne, na oznaczenie rzeczy przepełnionych sprzecznościami i kłócących się z wszełką loiką: „Graam straam, mach mer a Lettnik.“ To przysłowie z wszełką natarczywością mu wrodzoną prześladowało nas ustawicznie przy czytaniu tych „Ofiar.“

Lepszą o wiele jest już druga kategorja „Nowell i obrazków,“ choć i tu niejedno możnaby zarzucić autorowi. Zkąd naprzykład wziął on takich idealnych Józków, którymi w swojej nowelli, zatytułowanej: „Za aniołem stróżem,“ zaludnia strzechę włościańską? Chyba, że ich widział na księżycu.

O wiele lepszą jest już nowella: „Ze świata nędzy.“ Charaktery stróża Mateusza i jego córki Handzi, oraz koncypjenta adwokackiego Stanisława są tu wiernie i barwnie odmalowane. Nowella jednak całym układem swoim wywołuje mimowoli w czytelniku wrażenie, jakoby była dopiero pierwszym rozdziałem większej powieści a nie całością, a to niweczy wszelką illuzję i psuje wrażenie.

Nienaganną prawie w całości swojej, najlepszą i najlogiczniej obmyślaną z wszystkich tu przytoczonych, prawdziwem cackiem nowellistycznem powiedziałbym, jest nowella: „Lekkoduch.“ Malarz X., chcąc niedoświadczonego swego przyjaciela Władysława uwolnić ze sideł kokietki, sam u niej odgrywa rolę amanta i postawia cześć i życie swoje na szalę celem uratowania przyjaciela, co się mu też ku ogólnemu zadowoleniu udaje. Nowella ta, dobra w zało-

żeniu i przeprowadzeniu, tryska niewyczerpanym humorem. Ale i tu nie obeszło się bez drobnych usterek. Wyrazy np. jak: „jakie perły, jakie dukaty z ust jej się sypią,“ są niezmiernie trywialne. Zdaje się, że w nich przemawia do nas pejsaty kupczyk lub kramarz, a nie malarz-artysta; wątpimy też, aby taka ukończona kokietka, chcąca się przypodobać wszystkim, taka panna Stasia się przechwalała: „Jak długo żyję — a mam już za sobą lat nie mało“ — bo mnogością lat swoich nie pochełpi się żadna kokietka, pragnąca podboju i zdobyczy.

Styl „Nowell i obrazków“ Feldmana wykazuje znaczny postęp w porównaniu z dawniejszemi pracami tegoż autora. Niech się jeszcze poprawi co do wad i błędów, wytkniętych mu w niniejszej krytyce, a nie wątpimy o tem, że przy wrodzonych mu zdolnościach stanie kiedyś bardzo wysoko i że przedstawi nam nie w mglistych jakichś zarysach, czyli „obrazkach“, ale w rzeczywistych i cennych „obrazach z życia“ wielkie kwestje społeczne, które wstrząsają ludzkością i że nam poda środki zbawienne na zaradzenie złemu. Bo prawdziwy poeta, to kapłan oświecający tłumy, to Mojżesz, zdobywający zdrój ze skały, to nowy Zbawca w koronie cierniowej, który się ofiaruje na ołtarzu ludzkości dla dobra swych współbraci!

[Walenty Ćwik. Rys dziejów poczt i telegrafów. Lwów, 1889. Nakładem Towarzystwa Czynnej Pomocy ck. urzędników pocztowych w Galicji. Z drukarni narodowej W. Manieckiego. Stronic numerowanych 179.]

Znany autor biografii Henryka Schmitta i innych cennych prac, wtajemnicza jako fachowiec czytelnika w dzieje poczt i telegrafów a czyni to w dziełku systematycznie opracowanem i na rozlicznych źródłach opartem. Ciekawe są daty o poczcie w starożytności, oraz w wiekach średnich, jakie nam Walenty Ćwik podaje. Widzimy, jak instytucja pocztowa, z początku ustanowiona dla ułatwienia handlu i komunikacji, staje się monopolem nieraz szkodliwym w rękach możnowładców albo przedsiębiorców bogatszych.

Nie ma prawie rozdziału w pracy Walentego Ćwika, któryby nie zawierał ciekawych szczegółów

dla czytelnika i tylko brak miejsca zmusza nas do ograniczenia się w przytoczeniu zaledwie kilku takich szczegółów! — Jaka różnica mianowicie między owymi starożytnymi hemerodromami czyli gońcami pocztowymi, przebiegającymi nieraz przestrzeń 1200 stajań czyli 30 mil geograficznych na dobę a naszymi skromnymi listonoszami, potrzebującymi kilka godzin czasu na przebycie przestrzeni ledwie kilkaset kroków obejmującej, jaka różnica między wehikułami ówczesnemi, ciągnionemi przez konie, słonie lub wielbłądy, konwojowanemi dla większego bezpieczeństwa przez całe szeregi zbrojnych a naszemi nowomodnemi pocztami! W 16m i 17m stuleciu szeroko rozgałęzione przywileje pocztowe Taxisów doprowadzały kilkakrotnie do groźnych zaburzeń i zatargów. Widzimy też w niektórych miejscach pocztę chwilowo w rękach to rzeźników, to perukarzy, to mnichów, a wszędzie manifestuje się tendencja omijania wygórowanych cen pocztowych za pomocą urządzania tajemnych towarzystw przesyłki i transportu. Z chwilą wprowadzenia w Anglii przez Rowlanda Hilla marki pocztowej (1840), przyjętej następnie i w innych państwach zamiast opłaty gotówką, obniża się stosunkowo cena pojedynczego listu a wzmaga się znacznie odbyt ogólny. Nie w tym samym stosunku pozostają jednak ceny jazd pocztowych, jak na razie dosyć wygórowanych, jeśli się je porówna z cenami kolejowemi (jazda ze Lwowa do Wiednia pocztą w r. 1823 trwała 4 dni i 11 godzin i kosztowała 42 złr. 58 grajcarów monety konwencyjnej.)

W końcowych rozdziałach swojej pracy czyni autor obszerną wzmiankę o telegrafach, telefonach i kolejach i kończy swoją pracę ognistą apostrofą:

„Stan rozkwitu, w jakim obecnie spotykamy zakład, nie jest bynajmniej męzką jego siłą; rozległe jeszcze pole roztoczone przed nim do dalszego rozwoju, przestronna droga ulepszeń prowadzi do szczytu postępu, gdy elektryczny teleskop, telefon, telegraf, poczta, kolej, wodna i powietrzna żegluga, stojąc pod wspólnym sztandarem, ogłoszą urbi et orbi: „patrzcie,

mówcie, słuchajcie, piszcie, jedźcie, płyńcie, bujajcie bez obaw w przestworzu, zmalała już przestrzeń, czas przez nas zdobyty!“

I my przychylamy się do tego życzenia, i życzymy ponadto, aby poczta, pamiętna wzniosłego swego zadania, pamiętna onych czasów, gdy pocztmistrze sami byli głośnymi literatami, redaktorami, założycielami i wydawcami gazet — (bo same imiona gazet: „Morgenpost,“ „Abendpost,“ „Postreiter,“ „Der alte Postmeister“ i inne świadczą aż nadto dobitnie o tem pochodzeniu) — aby poczta w przyszłości stała się wierną pośredniczką nietylko handlu i obrotu pieniężnego, ale także myśli ludzkiej, odźwierciedlonej najsilniej w literaturze współczesnej.

Książkę Walentego Ćwika i z tego względu polecamy jak najusilniej czytającej publiczności, że dochód z jej rozprzedaży przeznaczony dla Towarzystwa czynnej pomocy ck. urzędników pocztowych w Galicji, a więc na cel dobroczynny. Liczne pomyłki drukarskie, które się wkradły do tej edycji, usprawiedliwiamy chętnie brakiem czasu, który autora, przeciążonego pracą zawodową, zmusił, nocą przeprowadzać korektę.

[Ś. p. Następca tronu Arcyksiążę Rudolf. Pamiątka Jego życia i zgonu. Skreślił M. M. Z portretem. W Złoczowie, nakładem i drukiem O. Zukerkandla i syna, pod zarządem Wilhelma Zukerkandla, 1889. Stronic numerowanych 63. Cena 20 ct.]

Broszurka ta, streszczona na podstawie lektury 18 niemieckich i polskich czasopism, przedstawia raczej „pamiątkę zgonu,“ niźli „życia“ Arcyksięcia. Zwłaszcza działalność jego literacka nie dość dobitnie zaznaczona, co możnaby było jedynie uskutecznić przytaczając ustępy ważniejsze z jego prac. Możeby biografia większe wówczas przybrała rozmiary i stała się mniej popularną. Ale dla efektu chwilowego nie powinno się poświęcać idei. Natomiast śmierć i pogrzeb Arcyksięcia treściwie omawiane. Z tem wszystkiem kwalifikuje się jednak to dziełko o wiele więcej do czytania od wielu innych prac tego rodzaju, które omawiając życie nieodżałowanej pamięci Następcy tronu, grzeszą formą i treścią. Praca pana

M. M., lekko napisana, czyta się z przyjemnością a styl i język mało co pozostawiają do życzenia. Razi tylko jeden ustęp na stronicy siódmej a mianowicie: „wdowa po feldzeigmeistrze.“ To nie polski wyraz, Polak bowiem mówi: „wdowa po jenerale broni.“

Sambor, 24. Stycznia 1890.

G. Kohn.

Sprawozdanie z czynności moich.

Zamykam niniejszem rachunki trzynastego tomu wydawnictwa mego. Z rachunków tych wynika rezultat niebardzo pomyślny w stosunku do prac i usiłowań moich. Musiałem wydawnictwo uszczuplić a mimoto więcej zdobyć nie zdołałem na cele dobroczynne samborskie niż 25 złr. na bursę samborską i tyleż dla Towarzystwa dam dobroczynnych imienia Św. Wincentego á Paulo w Samborze.

Nie słaby udział publiczności taki spowodował rezultat, ale sposób nieregularny wpłacenia tak drobnej należytości, jaką stanowi prenumerata roczna na wydawnictwo moje. Wiemy, że stosunki finansowe w kraju nie bardzo są pomyślne; ale wiemy i to, że kto się bądźto ustnie, bądź pisemnie zobowiązał do uiszczenia przedpłaty, ten obowiązanym jest i usprawiedliwić niesłowności jego nie mogą żadne a żadne sofizmata. Oświadczam nawet publicznie, iż dawno rozwiązałbym już to wydawnictwo, które mi sto razy więcej kłopotów przysparza niż przyjemności, gdyby nie żywa sympatja i przyjaźń tej garstki życzliwych, która mi nigdy nie odmówiła swego wsparcia bez względu na to, czy się rozchodziło o bezinteresowne i skuteczne współpracownictwo, czy też o nie mniej skuteczną pomoc materjalną. Przykład tych ofiarnych

a po części wcale niezamożnych protektorów mego wydawnictwa mógłby jako wzór posłużyć niejednemu bogaczowi, który prenumeruje moje wydawnictwo i zrywa prenumeratę według fantazji, niepomny zasady, że „noblesse oblige“ i że obowiązek wsparcia celów publicznych jest stałym i nieustającym.

Co się zaś tyczy tych z pomiędzy moich abonentów, którzy zupełnie bezinteresownie dotąd wspierali i wspierają moje wydawnictwo a prenumerowali bez przerwy „Rocznik Samborski“ wraz z zapowiedzianem na przyszłość dodatkowem dziełem: „Polska w świetle niemieckiej poezji“, to uwiadamiam ich, że z 20tocentowych datków na to dzieło dotąd uzupełniłem kwotę 200 złr., złożoną we lwowskiej kasie oszczędności. Jest to rzeczywiście o wiele mniej, niźli na ten cel uzyskać się spodziewałem, nie chcąc jednak jeszcze więcej opóźnić wydawnictwa zapowiedzianego przezemnie dzieła, do którego materjału literackiego ściągnąłem sporo, rozpocznę druk już w Listopadzie b. r. a mam nadzieję, że go skończę na wiosnę roku następnego.

Równocześnie uwiadamiam publiczność czytającą, że z rozsprzedaży mego dziełka: „Hoei-lan-ki,“ czyli: „Koło, wapnem nakreślone“ zdobyłem dla pogorzelców podhajeckich 82 złr. i oddałem w ręce burmistrza podhajeckiego, p. Michała Borowskiego, oraz że egzemplarze tegoż dziełka, kosztującego 50 ct., są jeszcze u mnie do nabycia.

Sambor, 18. Lutego 1890.

G. Kohn.

Spis przedpłacicieli.

Biała i powiat bialski: Czytelnia polska, B. Grossbart, Dr. Bernard Ichheiser, Krysta, Malinowski, Dr. Nowak, Dr. Peterek, Dr. E. Stiasny i Stowarzyszenie wzajemnej pomocy, w Białej, Dr. Gąsiorowski, Gmina miasta Oświęcima, Jan Majkowski i Antoni Polaszek, w Oświęcimie.

Bóbrka: Zenon Rawicz Rojek, w Bóbrce.

Bohorodczany: Jonasz Horowitz i Pańciewicz, w Bohorodczanach.

Borszczów i pow. borszczowski: Kazimierz Dobrowolski, Hordyński, Dr. M. Komeriner, Kopystyński, Michniewski, Dr. Maksymilian Mosler i M. Zaleski, w Borszczowie, Longin Chodziński, w Korolówce, Kozaniewicz i Makarewicz, w Skale.

Brody: Bursztyn, Antoni Popiel i Antoni Witosławski, burmistrz miasta Brodów.

Brzesko i pow. brzeski: Dr. Ludwik Parvi i Edmund Romer, c. k. Starosta w Brzesku, M. Rossknecht, w Okocimie, Wacław Jarosz, ks. Lacroix i Karol Prochaska, burmistrz miasta Radłowa.

Brzeżany: Dzbański, Gizowski, Kurowski i Franciszek Wolski, w Brzeżanach.

Buczacz i pow. buczacki: Dr. J. Ausschnitt, Mieczysław Burzyński, Witalis Chamiec, Józef Grekowicz, Piotr Janiszewski, Dr. Edward Krzyżanowski, Marcinkiewicz, Bazyli Maykowski, Roman Mierzejewski, Miłaszewski, Dr. Fabius Nacht, Dr. Ferdynand Obtułowicz, Dr. E. Reis, Emil Schutt, c. k. Starosta, Sokal, Stojowski, Konstanty Stupnicki, ks. Telakowski i Wydział powiatowy, w Buczaczu, Jan Ferrari, Aleksy Salwicki, Leonard Smolik i ks. Józef Turkiewicz, w Monasterzyskach.

Chrzanów i pow. chrzanowski: Dr. Zygmunt Keppler, Kasper Kurek, Dr. Pawlas, Zygmunt Brochwicz-Rogoyski, c. k. Starosta, Kamila Sporyszowa i Dr. Wittlin, w Chrzanowie, Etgens, M. Kluczycka i Lipowski, w Krzeszowicach.

Cieszanów i pow. cieszanowski: Dr. Jabłoński, Schreiber, Jan Strzelecki i M. Tabeau, w Cieszanowie, J. O. ks. Ludwik Łodzia Poniński, c. k. emerytowany Starosta i Radca Namiestnictwa, w Horyńcu, Friser, ks. Jabłonowski, Jan Postępski i Efraim Turnheim, w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie): Ferdynand Syrzistie, c. k. Radca Namiestnictwa, w Czerniowcach.

Czortków i pow. czortkowski: Bieńkowski, Hołubowski, Juliusz Niewiadomski, c. k. Starosta, Dr. Stöckl i Wojciech Wę-

grzyński, w Czortkowie, Januszowski, w Jagielnicy i Tadeusz Noel, w Sosołówce.

Dąbrowa: Szczerbiński i Trzeciecki, w Dąbrowie.

Dobromil: Dr. Abdon Bieńczewski, Brzezowski i Czytelnia kasynowa, w Dobromilu.

Dolina: Andrzej Horodecki, Michał Jankowski, Władysław Kossakiewicz i Władysław Sołtyński, w Dolinie.

Drohobycz: S. A. Apfel, Dr. Natan Apfel, Józef Arvay, c. k. sekretarz Namiestnictwa i burmistrz urzędowy, Stanisław Chołodecki, Dr. Jakub Fruchtman, Dr. Goldberg, Godzisław Kobuzowski, M. Kreppel, Dr. Ign. Tiegerman, Ignacy Wierzbicki, Dr. Władysław Wolski i Franciszek Zych, w Drohobyczu.

Gorlice: Dr. Karol Neuman, w Gorlicach.

Gródek i pow. gródecki: Bazyli Dmuchowski, burmistrz w Gródku, Adolf Henze, Rafał Nowosielski i Świszczowski, w Gródku, Dr. Henryk Koliszer, w Czerlanach.

Grybów: Brason i Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Horodenka i pow. horodeński: Leon Kruszyński, Norbert Lorsch, c. k. Starosta w Horodence, ks. Mardyrosiewicz, ks. Nowobielski, Dr. Przetocki i Robacki, w Horodence, D. Wieselberg, w Jakobówce i Albert Nahlik, w Obertynie.

Husiatyn: ks. Bojarski, w Husiatynie.

Jarosław: Dr. Emil Blumenfeld, Damask, Kaufman, Dr. Julian Ruczka i A. J. Strisower, w Jarosławiu.

Jasło: Dr. R. Adamski, Jakub Pollak, Apolinary Przyłęcki i Klemens Sienkiewicz, w Jaśle.

Jaworów: Krischke, Szczaniecki i Jan Topolski, w Jaworowie.

Kałusz: Baczyński, Klemens Drozdowski, c. k. Starosta, S. Komornicki, Przestalski, Leon Skrowaczewski i Dr. Wurst, w Kałuszu.

Kamionka Strumiłowa: Edward Czermak, w Kamionce Strumiłowej.

Kołomyja: Józef Funkenstein, Dr. Głaczyński, Józef Haber, ks. Koblański, Józef Machnicki, Dr. Maramarosz, Dr. Milgrom, Dr. Piaskiewicz, Dr. Rittigstein, Rybczyński, Dr. Ezechiel Schuster, Honorat Sendzimir, Edmund hr. Starzeński, Dr. Stern, Dr. Gabriel Sysak, Salamon Wieselberg, Bronisław Witosławski i Dr. Łazarz Zipser, w Kołomyi.

Kosów: Grzegorz Beckman, Bursa, Zygmunt Gawłowski, Ludwik Łabęcki, Hipolit Sabat, c. k. Starosta i Franciszek Zajączkowski, w Kosowie.

Kraków: Abderman, Dr. Adamkiewicz, Juda Birnbaum, J. Bocheński, Bociański, Emil Borkowski, redaktor i wydawca „Djabła,“ Estreicher, Naftali Herzig, Dr. Michał Ichheiser, Dr. Łepkowski, W. Niwicki, Zygmunt Resch, Sebestjan Stafiej, Bernard Thieberg, Dr. Maurycy Wechsler, Dr. Bronisław Wolff i Dr. Zoll, w Krakowie.

Pow. krośnieński: Florjan Minkusiewicz, w Dukli.

Limanowa: Władysław Haydukiewicz, Zygmunt Mars i Wincenty Potocki, z Limanowy.

Lisko i pow. liski: Karol Franz, c. k. Starosta, Dr. Józef Freysinger, Antoni Kościński i Mikołaj Pańkowski, w Lisku,

Frippel, w Lutowiskach, Majewski, Morwitz, Pełypiak i Zacharjasiewicz, w Ustrzykach dolnych.

Lwów i pow. lwowski: Bank kredytowy, Mieczysław Baranowski, Dr. Blumenfeld, Dr. Salamon Bund, Dr. Emil Byk, Józef Chołodecki, Tadeusz Czarkowski-Golejewski, c. k. Starosta, Dr. Ignacy Czemeryński, Dr. Czeszer, Dr. Franciszek Dębicki, Diamand, Dr. Goldman, Dr. Gottlieb, Grabiński, Dr. Gross, Dr. Hefern, Dr. Herschman, Dr. Holzer, Dr. Józef Korczak Horodyski, Samuel Horowitz, Józef Howorka, Zygmunt Jasiński, Dr. Jekeles, Klipunowski, Dr. Józef Koliszer, Wł. Kostro, Dr. Edward Lilien, Juliusz Makarewicz, *D*r. Filip Mansch, Gustaw Mauthner, c. k. Sekretarz Namiestnictwa, Jerzy Mayer, *D*r. Niementowski, M. Nirenstein, *D*r. Piekosiński, Jakub Piepes, Karol Popiel, c. k. emer. Starosta, *D*. Posner, Zygmunt Richtman, Wł. Rieger, *D*r. Schaff, *D*r. Skałkowski, Karol Sklepiński, Smutny, Rudolf Studzieniecki, *D*r. Henryk Szydłowski, *D*r. Ernest Till, *D*r. Weiss, Welichowski, Wewiórski, *D*r. Franciszek Wolski, Władysław Wszelaczyński, Liberat Zajączkowski i Franciszek Zima, we Lwowie, Bolesław Andruszewicz, w Barszczowicach i Zygmunt Groblewski, w Winnikach.

Łańcut i pow. łańcucki: Jan Cetnarski, burmistrz miasta Łańcuta, *D*anielewicz i Alina Kahane, w Łańcucie, Czepielewski i Głębocki, w Przeworsku.

Mielec: *D*r. Brandt, *D*roba, Andrzej Pawlikowski i Emanuel Schabbus, w Mielcu.

Nadwórna: B. Chmurowicz, w Nadwórnie.

Nowy Sącz i pow. nowosądecki: Józef Pisz, Feliks Ritter, *D*r. Schornstein, J. Smoluchowski, Alojzy Szklarski, c. k. Prezydent sądu i *D*r. Wąsikiewicz, w Nowym Sączu, Władysław Ambroziewicz i *D*r. Leopold Gawełkiewicz, w Starym Sączu.

Nowy Targ i pow. nowotarski: *D*r. Ernest Geissler, Gmina nowotarska i B. Próchniewicz, w Nowym Targu, Stefan Kołtunik i Edward Schmidt, w Chabówce.

Podhajce: Michał Borowski, burmistrz miasta Podhajec, Władysław Łoś, Ferdynand Popiel, c. k.-Starosta († 1890 $^{8}/_{1}$) i Towarzystwo kasynowe, w Podhajcach.

Przemyśl: *D*r. Baumfeld, *D*r. Alfons Bieńczewski, *D*r. Oswald Blumenfeld, *D*r. Doliński, *D*ornwald, *D*udek, *D*r. *D*ukiet, *D*r. Aleksander *D*worski, burmistrz miasta Przemyśla, ks. Józef Fałat, Edward Gorecki, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa, *D*r. Hillel, A. R. Janeczek, Celestyn Jaworski, Fr. Kwaśniewski, Fr. Majerski, *D*r. Mendrochowicz, *D*r. Rosenbach, Andrzej Skala, *D*r. Skórski, *D*r. Smutny i *D*r. Tarnawski, w Przemyślu.

Rawa ruska i pow. rawski: Grzesikiewicz, Natan Kibitz i Hipolit Zawzięty, w Rawie ruskiej, Rudolf *D*üll, B. Kibitz i Salawa, w Uhnowie.

Rohatyn i pow. rohatyński: Fried, Władysław Manasterski, Karol Mühlner, Wiktoryn Reichelt, c. k. Starosta i Edmund Wohlfeld, w Rohatynie, Ligęza, w Żurowie.

Ropczyce i pow. ropczycki: Chrząszczewski, w Ropczycach i Wisłocki, w *D*ębicy.

Rudki i pow. rudeński: Czytelnia rudeńska, Kazimierz Kurek i Stanisław Wielkopolski, w Rudkach, *Dr.* Jakliński, Luszpiński, Ściobłowski i Wąsowski, w Komarnie.

Rzeszów: Dr. Als, *Dr.* Barzycki, *Dr.* Fechtdegen, Kalinowski, *Dr.* Reich, ks. Szaflarski i *Dr.* Zbyszewski, burmistrz miasta Rzeszowa.

Sambor i pow. samborski: Angerman, *Dr.* Biegelmayer, Juliusz Drak, Maurycy hr. Dzieduszycki, Eleonora Fitornikowa, Adam Głogowski, Karol Hanik, *Dr.* Irzyczek Maciejowski, Wilhelm Kasparek, G. Kohn, Konwent OO. Bernardynów, Wilhelm Kuhnen, Grzegorz Manastyrski, Nuzikowski, Marjan Oleński, *Dr.* Ignacy Petelenz, Przetocki, Józef Przybylski, *Dr.* Władysław Skalski, *Dr.* Michał Stefko, *Dr.* Józef Steuerman, *Dr.* Leon Witz i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, *Dr.* Ludwik Dolański, w Rakowej i Ludwik Balicki, w Wykotach.

Sanok i pow. sanocki: Całczyński, *Dr.* Goldhamer, Ignacy Honth, *Dr.* Aleksander Hübel, *Dr.* Iskrzycki, Ludwika Kahanówna, Henryk Lasocki, Marcelina Lisówna, Alojzy Schneider, Staruszkiewicz, Leon Studziński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa, Ludwik Świerczyński i Zygmunt Zdankiewicz, w Sanoku, ks. Laskowski, Anna hr. Potocka i Rzewuski, w Rymanowie, *Dr.* J. Galant, w Starym Zagórzu.

Skałat i pow. skałacki: Dr. Tadeusz Biliński, Salamon Heilpern, Stanisław Lang, Henryk Miączyński, Tomasz Pisarczuk i S. A. Telichowski, w Skałacie, Henryk Goldlust, St. Kądzielski, Aleksander Kruh, Emil May, *Dr.* Isaak Metall, Herman Ostersetzer, Schwager i Józef Tiger, w Podwołoczyskach.

Śniatyn i pow. śniatyński: Antoni Czarkowski, Wiktor Makowski, *Dr.* Wilhelm Rozenheck i Bolesław Takliński, w Śniatynie, Adolf Schapira, w Zabłotowie.

Sokal i pow. sokalski: Dominik Derdacki, Bruno Eitelberg, Dr. Filipowski, burmistrz miasta Sokala, Józef Kraus, Rauch, Sokalski, Franciszek Szymusik, *Dyonizy* Tchórzewski, emerytowany c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa († 1890 23/1), *Dr.* Wejda, E. Wysoczański i Zaczkowski, w Sokalu, A. Gross, Kuryś i Mieczysław Musiał, w Bełzie.

Stanisławów: Borecki, Cetwiński, *Dr.* Michał Fischler, Józef Jaegerman, Kajetan Kopacz kupiec, Kajetan Kopacz radca, Piotr Sedelmayer, Teodor Stachiewicz, *Dr.* Walery Szydłowski, burmistrz miasta Stanisławowa, Juliusz Turczyński i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie.

Staremiasto: Andrzej Aleksiewicz, Jerzy Koudelka i Marjan Władyczyński, w Staremmieście.

Stryj: Dzundza, *Dr.* Filip Fruchtman, Leon Gaertner, Józef Kosterkiewicz, Juliusz Kuhn, Konst. Lechicki, Manasterski, c. k. Starosta, Naganowski, Opolski i Wilhelm Schayer, w Stryju.

Tarnobrzeg: ks. Kasel, Franciszek Riess i Dr. J. Tumidajowicz, w Tarnobrzegu.

Tarnopol: Dr. Delinowski, Teofil Dujanowicz, Friedman, Jakub Gall, Dr. Gładyszewski, Ingwer, Emil Michałowski, Włodzimierz Nawrocki, Ludwik Piątkiewicz, J. Roguski, Alfred Silkiewicz, Dr. Trzcieniecki i J. Winiarz, w Tarnopolu.

Tarnów: Maurycy Adler, Michał Dujanowicz, Dr. Mieczysław Gałecki, Dr. Ludwik Glaser, Dr. E. Goldhamer, Dr. Lerner, Dr. Merz, Leopold Płaziński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa, *Dr.* Ringelheim, Karol Rudolf, *Dr.* Wiktor Szancer, ks. Ścisłowicz i *Dr.* Józef Stojałowski, w Tarnowie.

Tłumacz i pow. tłumacki: Jahn, w Tłumaczu, Wichański i Witosławski, burmistrz w Tyśmienicy.

Trembowla: Karol Berchard, ks. Kaliniewicz, Jan Leśniański, Stanisław Lipnicki i *Dr.* Julian Olpiński, burmistrz w Trembowli.

Triest (w Illyrji): Konstanty Brodzki, w Trieście.

Turka i pow. turczański: Seweryn Brysiewicz, burmistrz miasta Turki, Czyżewski, Hieronim Morawski, c. k. Starosta, Wiktor Pietsch, Abraham Süsswein, Konstanty Teliszewski, Jan Terlecki i Żurakowski, w Turce, Antoni Stanisław Chołoniewski, w Łomnie.

Wadowice: Dr. Iwański, burmistrz miasta Wadowic, Lipka, *Dr.* Stanisław Łazarski i Wilczyński, w Wadowicach.

Wiedeń: Bernard Kohn, we Wiedniu.

Wyżnica (na Bukowinie): Antoni baron Kapri, Józef Rudkowski, Antoni Sworakowski, Mieczysław Węgrzynowicz, Jan Zatłoka i Malachias Zaunkönig, w Wyżnicy.

Zaleszczyki: Adolf Frank, Efraim Geringer, Antoni *Gross*, księgarnia S. S. Grossa, Kajetanowicz, Stanisław Promiński, *Dr.* Schrenzel i *Dr.* Emilian Stoklasa, w Zaleszczykach.

Zbaraż: Kukawski i Antoni Petter, w Zbarażu.

Złoczów i pow. złoczowski: *Dr.* Billet, burmistrz miasta Złoczowa, Garfein, Frydryk Kuhnen, *Dr.* Misky, Wilhelma Niedźwiecka, *Dr.* Edwin Płażek, c. k. Starosta, *Dr.* Wesołowski i Wiśniewski, w Złoczowie, Antoni Kofler, *Dr.* Reiss i Jan Sokalski, w Olesku, Franciszek Szyjkowski i Leon Willner, w Zborowie.

Żółkiew: Mniszek, *Dr.* Muszkiet i Ponikło, w Żółkwi.

Powiat żydaczowski: Piotr Łabowski, Antoni Stecher i Dr. Emil Zadurowicz, w Mikołajowie, Bałaban, *Dr.* Chomicki i Piotr Tyszkiewicz, w Żurawnie.

Treść:

Str.

Andruszewicz Bolesław Mogiła, Przed ślubem—po ślubie, nowella 27
„ „ „ Na kresach, poemat epiczny 126
„ „ „ Urywki, wiersze . . . 138
„ „ „ W klasztorze sióstr niepokalanek w Jarosławiu, wiersz . 171
Antonowiczówna Janina, Noc na niebie, wiersz . . 38
„ „ Socjalistka, nowella . . . 49
„ „ Nudy, rozprawka 226
Będzikiewicz S. S., Piąty zjazd przyrodników polskich we Lwowie 80
Błękitna, Tęsknię, wiersz 37
„ Jedna droga, pieśń 175
„ Ukochany mój!, fantazja 225
Chołoniewski Antoni Stanisław, Ksiądz Stanisław Chołoniewski, biografia . . . 103
„ „ „ Pięknej, epigram . . 126
„ „ „ Do braci!, wiersz . . 178
Jurkiewicz Eugenjusz, Rybak podolski nad Strypą. (W załączniku dwie ryciny, wykonane przez autora) 195
*Kl**, Sokrates do swoich przyjaciół, heroida . . . 76
Kohn G., Polityczna działalność Abrahama Kohna i stosunek jego do stronnictw, artykuł uzupełniający (z ryciną tytułową) 3
„ Dwaj aniołowie, wiersz 25
„ Śmierć króla Artusa, ballada (z Geibla) . . 47
„ Świat lepszy, epigram (z Hieronima Lorma) . 228
„ Bibliografia 229
„ Sprawozdanie z czynności moich . . . 248
Korngut Aniela, Z księgi życia, szkic powieściowy . . 144
Kostro Stanisław, Wigilja, powiastka 172
Krasiński Zygmunt, Z ojców mych ziemi, wiersz (z ryciną Eugenjusza Jurkiewicza. Patrz także obraz pod tytułem: „Grupa z żywych osób.“) 101
Merzbach Henryk, Toast wygnańców w rocznicę powstania styczniowego, wiersz 46
„ „ Wiek nowy, wiersz 100
Morawski Szczęsny, Podgórzanie wojownicy, artykuł bibliograficzny 179

Nałęcz Pius z Witoszyna, Dumka ruska 26
Sedlaczkówna Janina, Epizod z nocy belwederskiej . . 131
Spitzer Salamon, Jak ma postępować szkoła, aby wzbudzić u dzieci poszanowanie cudzej własności? rozprawa pedagogiczna 197
Wojdałowicz Adam, Jakimi mają być nauczyciele jako wychowawcy? rozprawka pedagogiczna 39
Wolf Michał, Słowa pociechy nad grobem pobożnego rabina Abrahama Kohna, (w przekładzie G. Kohna) 20
Wómela Stanisław, Duch gór, ballada 142
„ „ Wiosna, wiersz 170
„ „ Hannibal, heroida 177

SPIS RYCIN.

Widok kamienicy jednopiętrowej we Lwowie, w której otruty został rabin Abraham Kohn (rycina tytułowa, według fotografii J. Hennera we Lwowie.)— Inicjałka (według fotografii Franciszka Schofera ze Sambora, str. 3.) — Grupa z żywych osób (według fotografii Eugenjusza Jurkiewicza z Kołomyi, str. 102.) Rybak podolski nad Strypą, I. i II. (według odnośnych fotografij Eugenjusza Jurkiewicza z Kołomyi, str. 194 i 196.)

SPROSTOWANIE POMYŁEK.

Str.	*wiersz*	*zamiast:*	*czytaj:*
14	4	zarzucają	zarzucą
14	7	zarzuca	zarzuci
201	22	poszanowanin	poszanowaniu